

Irena Jurgielewiczowa

Inna?

Nasza Księgarnia Warszawa 1979

© Copyright by Irena Jurgielewiczowa Warszawa 1975

LIST Z NOWINĄ

— Pestka przyjdzie?

— Przyjdzie.

— Na pewno?

— Na pewno, telefonowała. Zresztą nic mi już nie jest.

— Wszystko jedno, nie lubię, żebyś zostawała sama na tyle godzin — oświadcza ciotka Ewa, zbierając się do wyjścia. — Z Pestką będzie ci różniej. — I rzuciwszy na Ulę przelotne spojrzenie, dodaje z porozumiewawczą kpinką: — O ile, oczywiście, nie zabraknie wam tematu do rozmowy.

Ula uśmiecha się w milczeniu, rada, że na takie słowa można nic nie odpowiedzieć. Trudno byłoby odpowiedzieć: znowu wróciła miła i niepokojąca myśl, że ciotka Ewa jest dobra. Że się o nią, Ulę, troszczy, że ją rozumie (nie we wszystkim, oczywiście) i że ją lubi naprawdę. Dawniej była inna, nie tak surowa, jak ciotka Wanda, ale mimo swej żywości trzymająca się na boku, skrępowana, rzadko kiedy uśmiechnięta. A teraz? Zmieniła się, zmieniła się wyraźnie, od wakacji! Czemu? Jej ostatnie lato niczym szczególnym się nie zaznaczyło, mówiła po powrocie: „Lubię jeździć w te same kąty, do tych samych ludzi”.

A może jest inaczej, może dawna ciotka Ewa wcale tak bardzo nie różniła się od dzisiejszej, tylko Ula nie umiała tego dostrzec? Dlaczego więc umie teraz? Dlatego, że zaznała w Olszynach szczęścia?

I przecież z tym jej szczęściem to ostatnio już nie tak... „Byłam szczęśliwa” — myśli Ula. Czyżby i tego wystarczyło, żeby patrzeć na świat, jakby się miało nowe oczy? Dziwne.

— Poczęstuj Pestkę herbatą z konfiturami. Nic więcej w domu nie mamy?

— Są biszkopty.

— To sobie weźcie.

Ciotka wkłada płaszcz, zaraz rozejrzy się bezradnie, gdzie „wpakowała” szalik. Ula wyciąga go szybko spomiędzy ubrań.

— Proszę. I rękawiczki.

— To zdumiewające, jak ty od razu umiesz wszystko znaleźć. Jeszcze torba...

— Jest.

— No to idę! Ach, Ula! — nagły okrzyk i ciotka zawraca od drzwi. — Przecież ja mam dla ciebie list.

List! Nieczęsto dostaje się listy.

— Wyjęłam ze skrzynki, wracając do domu, i na śmierć zapomniałam. Zaraz... — zaczyna się grzebanie wśród papierów, które z dnia na dzień nawarstwiają się w przepaścistej torbie. Nic na to nie można poradzić, nic a nic, trzeba cierpliwie wczekać.

— Pewno od ojca — mówi Ula.

— Nie, Coś mi się zdaje, że od kogoś dużo młodszego.

Niewinne zdanie sprawia, że Ula popada w popłoch. Nie od ojca, tamci chłopcy przysyłają przecież tylko pocztówki, więc?... Nareszcie, nareszcie! Ach, ciociu, niechże się ciocia pośpieszy!

— Nie, to nie ten — mówi ciotka, nieświadoma tych niemych okrzyków. — Ciekawe, kiedy ja wreszcie zrobię porządek w swoich szpargałach. Biała, duża koperta...

Biała, duża koperta, za chwilę się ją otworzy. Jaki będzie początek? „Kochana Ulko”? Poprzednio Zenek zaczynał od takich właśnie słów, takie słowa mogą znaczyć bardzo dużo. Mogą — ale czy znaczą? Jeśli potem jest tylko parę suchych faktów i „serdeczne pozdrowienia” jako zakończenie, nie ma się w tym względzie żadnej pewności. „Teraz się dowiem” — myśli Ula. List to coś innego niż kartka, jest zamknięty, cudze oczy nie spojrzą na zawarte w nim wyrazy, w liście można napisać prawdę. Nawet taką, którą — gdyby byli razem — Zenek wypowiedziałby szeptem.

— Masz. Jest i kartka, zapomniałam!. No widzisz: tygodniami nic, a potem obfity plon.

Koperta: znane zamaszyste bazgroły. Pocztówka: poprawne pismo dobrego ucznia.

— Od kogo to?

W pytaniu ciotki tyle życzliwej ciekawości, że Ula opanowując rozczarowanie zdobywa się na odpowiedź: — Od Julka i Mariana.

— To ci, których poznałaś w Olszynach?

— Tak.

— Nienormalni — orzekła ciotka z wesołym błyskiem w oku.

Ula próbuje się uśmiechnąć, musi przecież sprostować nieprzewidzianej sytuacji.

— Dlaczego nienormalni?

— Dużo znasz chłopców, którzy piszą listy?

— No, nie.

— Właśnie. Nie lubią się wysilać.

— Myśmy bardzo się z Marianem i Julkiem zaprzyjaźniły, Pestka i ja.

— Przyjemnie, że o tym pamiętają. No, idę. Zamknij drzwi na zasuwę.

...Przyjemnie, że pamiętają. Oczywiście, że przyjemnie — choć uczucie zawodu ściska gardło. Zawracając do pokoju Ula odczytuje kartkę Mariana. *Kochana Ulko...* (On także pisze

„Kochana Ulko” i nic się za tym nie kryje, lubi ją i ona go lubi). *Przesyłam Ci serdeczne życzenia na święta Bożego Narodzenia i na Nowy Rok. Marian.* Krótko, parę słów, zdobył się jednak. A Zenek? Zenkowi nawet czegoś takiego nie chciało się napisać, zanadto musiałby się „wysilić”. Ula bezmyślnie obraca w palcach list Julka, po czym, nie otwierając, rzuca go na stół.

Podchodzi do okna i długą chwilę patrzy bezmyślnie w wirujący za szybami śnieg.

Jak biało! Tylko jezdnia przecina tę białość ciemnym pasem, dachy, gzymsy, gałęzie drzew — wszystko pokryte grubym kozuchem. Lekkie płatki wypełniają przestrzeń bezszelestnym kołowaniem, lecą z szarego nieba, bez chwili przerwy jakby nigdy nie miały przestać, jakby nigdy już nie miało być lata. Jakby nigdy nie było lata.

A przecież było, najpiękniejsze w jej życiu. Zgoda z ojcem — i Zenek. Tylko z nią jedną chciał się pożegnać, kiedy odchodził, jej jednej powierzył swoje tajemnice: napisał list, który spaliła nauczycywszy się go przedtem na pamięć. Mijają dni, jeden po drugim, chodzi się do szkoły, ma się kłopoty i przyjemności i bywa tak, jakby tamto wszystko wcale się nie stało. Ale stało się, każdej chwili można wrócić do zasłyszanych czy przeczytanych słów, przypominać je sobie i powtarzać. Jakby się miało skarb albo klejnot, schowany bardzo głęboko, wystarczy go wyjąć, by zabłysnął na nowo.

Nie, to niezupełnie tak. Klejnot jest zawsze taki sam, nie zmienia się. A słowa? Nic z nich nie ujęła, niczego do nich nie dodała, a mimo to są inne, niż były. Najpierw dawały samą najczystsza radość, potem, w miarę jak upływały dni, tygodnie i wreszcie miesiące, oprócz radości zaczęły budzić nieufność. Teraz jest w nich coś bardzo smutnego: trudno wierzyć, że mówią prawdę.

O chłopcach, o Pestce Zenek także zapomniał. Przez jakiś czas odzywał się do nich, krótko to trwało, urwało się już na jesieni. Wszyscy myśleli, że tamte wakacje to początek przyjaźni na całe życie, a wystarczyło, że się rozjechali, i już. Na przyszłe lato Marian i Julek znowu pojedą do Olszyn, mają tam dziadków, Ula oczywiście będzie u ojca. Pestka często zapowiada: „Wakacje — tylko w Olszynach!” Spotkają się we czworo — bez Zenka. Nikt z jego rodziny tam nie mieszka, po cóż miałby przyjeżdżać, jeśli z przyjaźnią koniec? Innych ma teraz przyjaciół, inne życie. A jakie to życie jest i jaki on sam teraz jest, tego nikt z olszyńskiej „załogi” nigdy się nie dowie.

Za szybami nie biało już, tylko niebiesko. Okna po drugiej stronie ulicy rozbłyskują coraz częściej: ludzie wracają do domów. Żółte światelka sączą się w zmaconą śniegiem przestrzeń, lada chwila zapalą się uliczne latarnie. Już! Błysnęły, szare niebo znikło, jest wieczór.

Ula westchnęła. Nie ma po co tak stać i dumać, niczego się nie zmieni, no i niczego się sobie nie wytłumaczy. Przekręciła wyłącznik, zasunęła firanki. Jak dobrze, że niedługo przyjdzie Pestka! Będzie różnie.

Na stole nie przeczytany list od Julka i kartka od Mariana. Przejrzała ją jeszcze raz, sprawdziła datę. Trzy dni. Długo.

Koperta zaadresowana kolorową kredką, zapewne dla uczczenia niezwykłej okazji, więcej ujawnia dobrych chęci niż umiejętności (może mu się po prostu śpieszyło, Julkowi zawsze się śpieszy). W środku — złożony na pół sztywny kartonik z świątecznym obrazkiem i odpowiednim nadrukiem. („Po co się tak wykosztował?” — myśli Ula). Obrazek przedstawia szopkę z wielką gwiazdą, często umieszcza się na życzeniach takie szopki, ta jednak wygląda jakoś szczególnie. Ula, zaintrygowana, wodzi po obrazku palcami. No tak! Gwiazda jest „poprawiona”, dokleiono jej srebrne promienie, w samym środku ozdobiono złotą kropką, a że tło umazało się nieco klejem, to przecież nic nie szkodzi. Ula uśmiechnęła się mimo woli wyobrażając sobie zapal, z jakim Julek zabierał się do tej roboty, oraz bałagan, który przy sposobności powstał na jego stole — a może i w całym pokoju.

List, oczywiście, w środku kartonika. O, to nie tylko życzenia jak u Mariana, zapisał prawie całą kartkę. Julek zawsze ma jej coś „ważnego” do zakomunikowania, może o prezentach, których się na święta spodziewa?

Kochana Ulo, życzę Ci wesołych Świąt!! Ja na święta jadę do Jurocina do Mariana, a teraz nie spadnij z krzesła, to się dowiesz, kto jeszcze tam będzie. Będzie tam Zenek!!! Napisał, że jego wójek ma przyjaciela z wojny który ma pod Jurocinem taką małą farmę i zaprosił ich na święta i będziemy się mogli zobaczyć. I napisał, że się bardzo cieszy, a ja to bym wolał żeby Zenek mieszkał u Mariana jak ja, a nie na tej farmie, Marian też by na pewno wolał, ale nie wiem czy się to da zrobić pewno nie jak dorośli się uprą. U Mariana będzie też jedna dziewczyna, nazywa się Danka, co my będziemy z dziewczyną robić pojęcia nie mam, wcale jej nie znamy i będzie się przy nas pętać. Ale to mięta nie przejmuję się wcale i chciałbym żeby święta były jutro żeby już jechać i zobaczyć Zenka. Pozdrawiam Cię serdecznie. Julek.

Ula stała bez ruchu z listem w ręku, doznając oszałamiającego uczucia, że to nie chłopcy, nie Marian i Julek spotkają się z Zenkiem, tylko ona sama. Jego twarz, postać, ruchy, sposób mówienia — odtwarzały się w niej tak wyraźnie, jakby rozstali się poprzedniego dnia. Słowa, „tamte” słowa z nielicznych rozmów i małej karteczki wracały jedno po drugim, na nowo budząc ufność. Napisał, że się cieszy. Nie zapomniał olszyńskich wakacji! Nie zapomniał!

Nierozumna, gwałtowna radość zszarzała po bardzo krótkiej chwili. Zenek pamięta o chłopcach, dał tego dowód, ale o niej?... Skąd można wiedzieć, że to odnosi się i do niej? List nie mówi o tym ani słowa.

Ach, gdyby mogła tam się znaleźć, w tym Jurocinie, choćby na krótko! Wystarczyłoby paru godzin (a może minut), żeby rozpoznać, jak jest naprawdę: czy to, co między nimi zaszło, jest jeszcze dla Zenka ważne. Jeśli tak, może do tamtych słów dołączyłyby się inne, nowe, takie, których nigdy jeszcze od nikogo nie słyszała i które właśnie przez Zenka, tylko przez Zenka powinny być dla niej wypowiedziane.

Niestety o jeździe do Jurocina nie ma mowy, nie ona, ale Marian i Julek zobaczą się z Zenkiem i będą z nim rozmawiać. Opowiedzą mu, co się z nimi działo od wakacji, Zenek także, choć oczywiście niewiele, zawsze mówił niewiele, zwłaszcza o sobie. A może wspomną o Olszynach? Niemożliwe, żeby nie wspomnieli! Rozbudzona wyobraźnia zaczyna działać, podsuwa piękniejący z każdą chwilą obraz przyjacielskiej wymiany zdań, z której wiele, bardzo wiele może wyniknąć. Zenek dowie się, że Ula często przesyła chłopcom wiadomości, zwłaszcza Julkowi, uświadomi sobie, jak strasznie dawno on sam się do niej nie odezwał — i napisze. W internacie, gdzie mieszka, trudno jest napisać list (list do dziewczyny!), za dużo kolegów, hałas, ciasno... W prywatnym domu, w czasie świąt, zupełnie co innego. „Napisze — myśli Ula. — Teraz napisze” — i pełna nowo rozbudzonej nadziei sięga jeszcze raz po Julkowy list, żeby się przyjrzeć „poprawionej” szopkowej gwiazdce. Kochany Julek, jak on strasznie Zenka lubił! I Zenek Julka także. Z Marianem były nieporozumienia, z Pestką małe kłótnie, z Julkiem — nigdy. I nikt losem Zenka nie przejmował się aż tak, jak Julek (prócz niej, oczywiście), choć nie wszystko przecież wiedział i mógł zrozumieć. „Kochany Julek” — powtórzyła w myśli Ula. Położyła list i kartkę na brzegu półki z książkami — i usłyszała dzwonek. Pestka!

Weszła zaróżowiona, kosmyki włosów, ciemne rzęsy lśniły topniejącym śniegiem — i z punktu się na powitanie roześmiała. Jak zawsze, takie było jej „dzień dobry” i jej „dobry wieczór”. Powody śmiechu zmieniały się, teraz bawiły ją spływające za kołnierz zimne krople, kiedy indziej cieszyło ją, że „leje jak z cebra” albo że „okropny wiatr, tchu nie można złapać”. Nawet listopadowa szarość z podłgą, nieustępliwą mżawką nie ma wpływu na ten krzepiący obyczaj, nic nie może Pestce przeszkodzić w wyrażeniu radości spotkania. Natomiast radość Uli ujawnia się, niestety, cicho i ubogo: bezsłownym uśmiechem. Na nic innego jej nie stać.

— Dostałam kartkę od Mariana! — oznajmia Pestka, zdejmując kozuch.

— Jaki grzeczny, co? A ty posłałaś mu życzenia?

— Tak.

— Ja nie! — śmieje się Pestka. — Zapomniałam na śmierć, trudno. Teraz już za późno, nie dojdą na czas.

— Dam ci kapcie, chcesz?

— Daj. Marian zawsze taki „solidny”, prawda? Zauważyłaś, jakie ma równe pismo? Coś nadzwyczajnego.

Ula nie o Marianie chciałaby mówić, jego kartka jest bez znaczenia w porównaniu z listem Julka. Nie sposób jednak tak od razu, nowina jest niezwykła, a słowa, którymi zostanie oznajmiona, muszą być zwyczajne, inne nie przeszłyby przez gardło. „Powiem później” — postanawia. Może odwłókszy nieco trudne wyznanie, uda się uzyskać także i to, by przy wymawianiu imienia Zenka nie poczerwieniec? Wprawdzie Pestka i tak „wie”, nie wszystko jednak — a rumieniec zdradziłby właśnie to nie ujawnione.

— Chcesz herbaty? Z konfiturami?

— Pytanie! Z wiśni?

— Z wiśni.

— Pycha.

Pestka znowu się śmieje. Miła jest, ach, jaka miła. Powie „pycha”, błysnie oczami, jakby czekało ją wystawne przyjęcie... i skromny poczęstunek przemienia się w radującą je obie uroczystość.

— Wstawiam wodę. Ciotka Ewa wyszła na całe popołudnie, możemy dziś posiedzieć u niej.

Wchodzą do dużego pokoju, Pestka zasiada na kanapce, podciągając nogi pod siebie.

— Wspaniale! Ale w twoim kąciku też jest bardzo dobrze.

— Lubię go, ale tam nie ma stolika. Tu wygodniej.

— Wspaniale — powtarza Pestka.

Chwileczka ciszy i Ula nagle się decyduje.

— Wiesz... dostałam także list od Julka.

— O!

— Jedzie na święta do Mariana, do Jurocina.

— Jak to: jedzie? To Julek tam nie mieszka?

— Pomyliło ci się. Julek mieszka w Siedlcach.

— Prawda, przecież mówił. To dlaczego mi się uroiło, że oni są razem? Ciągle zapominam, że to nie rodzeni bracia, tylko cioteczni.

— Pestka?...

Pestka podnosi głowę. Czeką. A Ula nic, ani słowa, i im dłużej to trwa, tym trudniej załatwić sprawę „zwyczajnie”.

— No?

— Nic — odpowiada Ula. Bez sensu, bez żadnego sensu! Czując, że się zaraz zaczerwieni, pyta niby od niechcienia, tonem, który w jej własnych uszach brzmi głupio i sztucznie:

— Wiesz, kto jeszcze będzie tam w czasie świąt?... Zenek.

— Zenek?! Jakim cudem?

Ten okrzyk, bezpośredni i pełen szczerego zdumienia, przywraca Uli równowagę. Najgorsze przeszło. Pestka niczego nie zauważyła, można teraz przekazać Julkowe rewelacje całkiem po prostu.

— Niebywałe! — ocenia Pestka wysłuchawszy wszystkiego z błyszczącymi przejęciem oczami. — Pomyśl, co za zbieg okoliczności! Przecież ten Jurocin to mała dziura — i właśnie tam się spotkają!

— Julek pisze, że strasznie się cieszy.

— Wyobrażam sobie — uśmiecha się Pestka — właściwie to nikt z nas się dla niego nie liczył, tylko Zenek.

Od rana do wieczora: Zenek i Zenek. Pamiętasz?

Zabawne pytanie. Jakby ona, Ula, mogła zapomnieć o czymkolwiek, co dotyczy tamtego lata. Zenek zawsze był dla Julka najważniejszy, zawsze „miał rację”, choćby naprawdę jej nie miał.

— Lubię Julka! — oświadcza Pestka. Ula chce powiedzieć to samo, tymi samymi słowami, przyjemnie jest doznawać zgodności uczuć — i nagle pyta z niepokojem:

— A Mariana?

— Co: Mariana?

— Lubisz go?

— No pewno. O co ci chodzi?

— Ale mniej niż Julka?

— Mniej.

— Dlaczego?

— Julek jest trochę wariat, wolę wariatów niż takich solidnych.

— Właśnie — mówi Ula z namysłem. — Wszyscy wolą.

— Co z tego?

— Czy to sprawiedliwe?... Właściwie to jest krzywdzące.

Przecież trudno być solidnym.

— Ach, ty!... — Pestka wzrusza pobłażliwie ramionami. — Jakie zmartwienie jeszcze sobie wymyślisz?

Ula nie podtrzymuje tematu, który niespodziewanie nasunął się na marginesie olszyńskich wspomnień. Pestka, pochylając się ku przyjaciółce, mówi z ożywieniem:

— Jak to się czasem dziwnie składa! Bardzo dawno nie rozmawiałam o Zenku ani z tobą, ani z nikiem i nagle wczoraj mówiło się o nim chyba z godzinę, a dzisiaj, u ciebie — wiadomość, że się odezwał, że chłopcy go zobaczą!

— Co to była za rozmowa? — Ula zadaje pytanie z nagle zrodzonym niepokojem. Jest nierozumny, bezpodstawny, przecież od dawna Zenkowi nic nie grozi i przed nikiem nie trzeba go bronić. Tylko że rozum niewiele ma w tej sprawie do powiedzenia.

— U nas w domu — wyjaśnia Pestka. — Przyszła znajoma mamy, wiesz, taka, co to wszystko wie lepiej. Zaczęła gadkę o młodych, przykłady, jeden ładniejszy od drugiego, a potem „film grozy”, czyli obraz „młodzieży wykolejonej”. No więc mama opowiedziała jej o Zenku.

— Po co?

— Jak to: po co?

— Zenek nie jest wykolejony!

— Wiadomo. O co ci chodzi?

— No i? — Ula opanowała się nieco. — Co dalej?

— Nic takiego, mama opowiedziała o Olszynach, jakeśmy Zenka spotkali, zajęli się nim, o twoim ojcu itepe i że w rezultacie Zenek jest pod opieką, uczy się i jest w porządku. I wiesz, co ona na to? Że wszystko pięknie, ale jak już raz ktoś się „potknął”, to nigdy nie można być pewnym, czy się to nie powtórzy. Wredna babą, no nie?

Ula, zaczerwieniona, jakby to ją samą obraziły 'przytoczone słowa, patrzyła w podłogę', przygryzając wargi.

— Dlaczego nic nie mówisz? — zdziwiła się Pestka.

— Co mam mówić? Nie mogę pojąć, że w ogóle można tak myśleć. To wstrętne.

— Wstrętne? Dla mnie to jest po prostu głupie.

— Jest głupie, pewno, ale poza tym... To tak, jakbyśmy kogoś piętnowali, rozumiesz? Jakbyśmy zamykali mu drogę: on może chce być kimś lepszym, a my mu nie dajemy! Czy człowiek się nie zmienia? Przecież się zmienia, a już zwłaszcza młody! Więc jak tak można?

— Nie przejmuj się, nie warto. Sama byłam wściekła, a potem mi przeszło. Przecież Zenka ani to ziębi, ani grzeje, takie opinie.

— Mnie nie chodzi tylko o Zenka.

— A więc o kogo?

— Tak

Sprawami „w ogóle” Pestka nieczęsto zwykła się zajmować, teraz także nie zatrzymują jej uwagi.

— Wiesz, jak ta baba nazwała twojego ojca? — pyta, gotowa już do śmiechu. — „Lekkomyślnym ryzykantem”: wziął do siebie chłopaka, który uciekł z domu i ukrywał się przed milicją! „Mógł przecież pięknie tego doktora okraść”, pouczyła nas. A mamusia na to, że takie „ryzykanctwo” bardzo jej imponuje.

— Tak się wyraziła? Naprawdę?

— No.

Ula znowu zaróżowiona, głupie to, cóż jednak zrobić? Każda wzmianka, każda okazja, która potwierdza fakt, że może być dumna ze swego ojca, wprawia ją w podniecenie. Teraz także: pochyla się i zwierza przyjaciółce z dumą:

— Wiesz, co ojciec kiedyś mi powiedział? Że woli być oszukany dziesięć razy niż raz posądzić niewinnego.

W ten właśnie sposób „tłumaczył się” przed nią w Olszynach ze swego względu Zenka postępku. Ula poczuła wtedy, że te słowa, wypowiedziane bardzo skromnie, jakby nigdy nic, a tak przecież odważne, tak sprzeczne z powszechnie głoszonymi praktycznymi sądami — to jest coś, za co zawsze już będzie musiała ojca kochać. Przypomniane, na nowo obudziły jej wzruszenie i wdzięczność.

— Tak... — odzywa się w zamyśleniu Pestka. — Twój ojciec to w ogóle! — I zmieniając nagle ton, dodaje z ożywieniem : — Strasznie się cieszę, że mnie zaprosił.

— A ja?! Wiesz, napisał niedawno, że czeka nas tam niespodzianka.

— Jaka?

— Pojęcia nie mam.

— Jak my wytrzymamy? — Pestka parska śmiechem. —

Słuchaj no... ta herbata to przechwałki czy naprawdę?

— O rany!

W kuchni pełno pary, woda na dnie czajnika, kręcą się rozbawione, zabierając wszystko, co trzeba, do pokoju. Pestka, wyjadając ze smakiem konfitury, opowiada o szkole, trochę o

lekcjach, a znacznie więcej o koleżankach i kolegach. Ula stara się słuchać uważnie, choć wcale nie szkolne sprawy zajmują jej myśl. Do listu Julka i wszystkiego, co się z nim wiąże, można będzie powrócić później.

— Marek pytał o ciebie — oznajmiła Pestka „znaczącym” głosem.

Ula wzrusza ramionami: oto jej odpowiedź.

— Powiedziałam mu — ciągnie perfidnie Pestka — że wracasz do szkoły za miesiąc.

— Zwariowałaś?

— Chciałam zobaczyć jego minę. No i zobaczyłam.

— E tam.

— Mówię ci. Liniował zeszyt i nagle zamazała mu się cała krecha. No to ja niewinnie: „Może ci pomóc?

Rączka ci drży”. A on, cały czerwony, żebym się odczepiła.

— Nic mnie to nie obchodzi.

— Nie jest ci przyjemnie? — roześmiała się Pestka. —

Powinno ci być przyjemnie.

— W zeszłym miesiącu nie odrywał oczu od Hanki.

— To co?

Pytanie jest zdawkowe, sprawia jednak Uli pewien kłopot.

— Tak jakoś mówisz, jakby to była zabawa.

— A to nie jest zabawa?

Pestka śmieje się prowokacyjnie. Ula nie poddaje się jednak temu nastrojowi, stawia mu wyraźny opór. Po chwili słyszy wypowiedziane z kpinką pytanie:

— Uważasz, że od razu ma być „na śmierć i życie”?

— Ach, nie... — broni się Ula, jako że nawet w oczach

przyjaciółki nieprzyjemnie być śmieszna. — Ale...

— Co?

— Nie lubię, jak ktoś, tak jak Marek, raz ta, potem zaraz inna. Nie podoba mi się to.

— Chłopcy tacy właśnie są, moja droga, żebyś wiedziała. Przewracają oczami, gadają Bóg wie co i zaraz potem cześć, wszystko im wywietrzało. Więc najważniejsze to uprzedzać fakty. Jak widzę, że który chce odpaść, to mnie już nie ma! O wiele wcześniej, niż on sobie uświadomi, że zmienia obiekt. Najlepszy sposób! Nie doznajesz zawodu, wszystko okey, można bawić się dalej.

— Ja tak nie umiem — mówi Ula. Może nawet nie chciałyby umieć? Brak jej jednak odwagi, by to Pestce powiedzieć.

— Powinnaś się nauczyć.

— Nie nauczę się. — Ula milknie, a po chwili wbrew rozczarowaniu i smutkom, które ją ogarnęły, kiedy na białej kopercie zamiast wyczekiwanego pisma Zenka rozpoznała bazgroły Julka, mówi z wątlą i nie dającą się wygasic nadzieją: — Może nie wszyscy chłopcy są tacy?...

— Wszyscy — rozstrzyga kategorycznie Pestka. Spojrzawszy na przyjaciółkę zmienia nagle ton i, zaintrygowana, pyta szybko: — Zenek wreszcie napisał?

— ...Co?

— Miałaś wiadomość od Zenka?

— Przecież wiesz, że miałam — mówi niechętnie Ula.

— Kiedy?

— No... na jesieni.

— A mamy grudzień.

Uli przelatuje przez głowę, że Pestka mogłaby stwierdzić coś zupełnie innego... Na przykład, że czas od końca września do gwiazdki zlatuje wszystkim strasznie prędko.

Albo — jeszcze lepiej — że chłopcy niechętnie piszą (co przecież jest prawdą) i brak listu o niczym nie świadczy. Niestety, takie rzeczy nie przychodzą jej na myśl. Zmarszczywszy brwi, pyta z zainteresowaniem:

— Jak to Zenek do ciebie w Olszynach powiedział? Aha, już wiem: „Jesteś jedyna na świecie”. Ładne słówko, podobało mi się, do tej pory się podoba. Tylko że już z tego nici. Zapomniał, normalne.

— Dlaczego tak o nim mówisz?

— Nic złego nie mówię. Fajny chłopak, wiadomo, że nawet niezwykły, ale pod względem „stałości uczuć” akurat taki sam jak wszyscy i wcale nie warto, żebyś się nim przejmowała. Było, skończyło się, kropka..

Ula zaciska usta. „Nie mów tego, nie masz prawa!” Oto, co chciałyby Pestce odpowiedzieć — ostro, kategorycznie! Nie przywykła jednak odzywać się w ten sposób, a poza tym... A poza tym Pestka ma zapewne rację, choć może bez potrzeby z takim naciskiem tę rację przedstawia. „Nie zdaje sobie sprawy, czym to wszystko dla mnie było — myśli Ula szukając dla przyjaciółki wytłumaczenia. — Gdyby wiedziała, nie mówiłaby przecież w taki sposób”.

— Ula?

— No?

— Okropnie się nachmurzyłaś.

— Ale skąd!... — Ula opanowuje się i wraca do rzeczywistości.

— Nie warto, mówię ci. Dasz jeszcze konfitur?

— No pewnie.

Potem jest mowa o świętach, które Pestka spędzi z rodzicami, a Ula z ciotkami, o sylwestrze i Nowym Roku, kiedy to obie razem znajdują się w Olszynach. Myśl o tej wyprawie wprowadza Pestkę w najserdeczniejszy nastrój, jest znowu tak wesoła i miła, że jej niebaczne słowa o Zenku wydają się Uli przypadkowe i całkowicie zasługujące na przebaczenie.

— Słuchaj! — wykrzykuje nagle Pestka. — A gdybyś przyszła do nas na wigilię? Dlaczego nie miałabyś przyjść?

— Jak to: dlaczego? Muszę być przecież z ciotkami.

— Koniecznie?

— A jak inaczej? Sama wiesz.

— Tak... — zastanawia się Pestka. — One ci zastępują matkę. No to przyjdź w pierwsze święto, przyjdziesz?

Sproszę całą naszą paczkę, chcesz? — i rozjaśniona swym nagłym pomysłem patrzy na Ulę z intensywną prośbą. — Zgódź się, fajnie będzie!

— Dobrze, czemu nie — odpowiada Ula, na nowo zawojowana.

Kiedy Pestka zaczyna się żegnać, pokazuje jej list z Jurocina. — Zobacz, jak Julek „poprawił” gwiazdę. Zabawne, prawda?

Pestka ogląda gwiazdkę, czyta list, parę razy parszcząc śmiechem.

— Fantastyczny ten Julek! — odkłada list na półkę, a potem, już w przedpokoju, mówi z namysłem: — To ja i Marka zaproszę w pierwsze święto.

— Po co? Mnie to do szczęścia niepotrzebne.

— Zenek będzie tam miał jakąś Dankę, ty będziesz miała Marka.

Ula podnosi na Pestkę zdumione oczy. Co te słowa mają znaczyć? I nagle, zrozumiawszy, wybucha gwałtownie:

— Nie zapraszaj go! Nie zapraszaj, słyszysz?

— Ula?!

— Jeśli go zaprosisz, to ja nie przyjdę.

— Niemądra jesteś, naprawdę.

— Może — ton Uli jest teraz oschły.

— Zrozum: łatwiej zapomnielibyś o tym twoim Zenku.

— On nie jest mój. A zapomnieć go nie chcę. Nie chcę!

Pestka wzrusza ramionami i ubiera się bez słowa. Niedobre jest to rozstanie. Zaledwie parę razy w ciągu wielu lat przyjaźni rozstawały się w ten sposób.

— W poniedziałek będziesz już w szkole?

— Będę.

— No to cześć.

— Cześć.

Drzwi trzasnęły, Ula stoi bez ruchu na środku przedpokoju. „Zenek będzie miał tam jakąś Dankę...” Skąd coś takiego przyszło Pestce do głowy? Kim ona jest, ta Danka?

Ach, kimkolwiek jest, to ona, nie Ula, zobaczy Zenka i spędzi z nim całe święta!

WBREW SOBIE

Pociąg jeszcze był w biegu, zwolnionym co prawda i utykającym na zaśnieżonych zwrotnicach, kiedy Marian dostrzegł Julka stojącego w drzwiach wagonu; wychylał się i zapalczywie machał ręką, jak najszybsze zwrócenie na siebie uwagi uznał widocznie za sprawę wielkiej wagi.

Gesty te, które ktoś, nie znający Julka, mógłby uznać za sygnały wołania na ratunek, nie wzbudziły w Marianie zdenerwowania. Czekał spokojnie, śledząc oczyma zbliżający się wagon.

— Marian! — wrzasnął Julek, zeskakując ze stopni.

— Sie masz stary — odpowiedział Marian. I zaraz zauważywszy, że Julek potrąca swoją torbą nogi podróżnych, dodał nakazująco: — Uważaj. Daj.

— Co?

— Torbę.

— A po co?

— Daj, mówię ci.

— Jak sobie chcesz. Trzy godziny stałem na korytarzu, tłok jak cholera.

— Bo niedługo święta.

— Marian?

— No?

— Zenek pisał drugi raz?

— Pisał.

— I co? Kiedy przyjedzie?

— Dzień przed Wigilią.

— Dopiero?! — jęknął Julek. — Dlaczego?

— Nie gadaj tyle. Lecimy do autobusu, widzisz, ile ludzi, następny dopiero za dwie godziny.

W autobusie o rozmowie ani marzyć, stoją daleko od siebie i Julek na próżno robi miny, że ta sytuacja jest dla niego nieznośna. Marian tkwi przyparty do drzwi przez obładowanego paczkami pasażera w kozuchu, autobus toczy się niemrawo i ostrożnie po zlodowaciałej nawierzchni, zwalnia na każdym zakręcie, jazda trwa długo jak nigdy. No, nareszcie — rynek i już dom. Spojrzenie w okna, odruchowe, po prostu żeby wiedzieć, czy jest jak zwykle. Owszem, jest: za szybą mama. Zobaczyła Julka i śmieje się. Mama zawsze tak gości wypatruje, a śmieje się tylko do tych, których lubi. Do Julka zawsze.

— Wujenko! — krzyczy Julek i nie oglądając się na Mariana biegnie przez podwórko do sieni. On także bardzo mamę lubi. A ojca?... Marian nie jest tego zupełnie pewien. Nieporozumień nie ma, Julek zachowuje się w Jurocinie jak u siebie, ale... No cóż, ojcu poza mamą (no i w pewnym sensie nim, Marianem) nikogo więcej do szczęścia nie potrzeba. Właściwie biorąc nic to złego, Marian wolałby jednak, żeby usposobienie ojca było trochę inne, żeby nie zamykał przed ludźmi siebie i swego domu tak szczelnie, jak ma to w zwyczaju. Domy „otwarte” są chyba przyjemniejsze?

— Rozbierajcie się — mówi pani Pietrzykowa. — Julek, bój się Boga, jesteś jeszcze chudszy niż rok temu. No i wyższy. Bardzo zmarzłeś? Rano było piętnaście stopni.

— Gorąco mi, że nie wiem.

— Myjcie ręce. Zaraz będzie jajecznica i herbata.

Przy jedzeniu mama wypytuje Julka o rodziców i Helenkę („szkoda, że nie przyjechała, ale sanatorium dobrze jej robi”), nie trwa to długo, mama nigdy nie ma czasu na rozmowy. Zabierze talerze zarządzając, co i jak: Julek ma iść spać, a Marian niech odgarnie śnieg z podwórza.

— Mnie się wcale nie chce spać! — protestuje Julek.

— Wstałeś o piątej rano.

— Nie usnę, mowy nie ma! Będę z Marianem zgarniał śnieg.

— Póki co, skończ herbatę.

— Z tym śniegiem nic przecież pilnego — mówi Marian. Przemarzył, czekając na stacji, i teraz wcale mu się nie chce z ciepła wychodzić. — Lepiej niech się Julek najpierw rozpakuje.

— Wielkie mi rozpakowywanie! Sto razy wolę iść na podwórze, zamiatać śnieg.

Zazwyczaj Julek nie kwapi się do takich domowych prac, jeśli teraz się wyrывa, to żeby jak najprędzej pogadać o Zenku. Pogadać można będzie jednak w domu, za chwilę zostaną sami.

— Ojciec wraca dziś wcześniej — mówi jakby do siebie mama.

Marian, który właśnie rozsiadł się przy stole wygodniej, prostuje się nieznacznie. Wie już, że nie warto odkładać roboty na później: skoro musi być wykonana, przyjemniej zrobić to na prośbę mamy niż na rozkaz ojca.

— Dobrze, pójdziemy. Chodź, Julek.

* * *

— Dlaczego on przyjeżdża dopiero na Wigilię? Dlaczego — Ledwie wyszli, kierując się do drwalni po miotły i szufłę, Julek wyprzedził Mariana i zagroził mu drogę swoją ruchliwą

osobą, jakby się bał, że inaczej nie uzyska odpowiedzi na niecierpiące zwłoki pytanie. — Przecież to bez sensu! Nie może wcześniej?

— Nie wiem, czy może, czy nie może. Napisał, że przyjeżdża dwudziestego trzeciego, a dwudziesty trzeci to jest dzień przed Wigilią. I że najpierw będzie na tej farmie, to się nazywa Chruścianka, a potem u nas.

— Potem, to kiedy? Na samą Wigilię?

— Nie. W pierwsze święto.

— O rany! — krzyknął Julek. — Nie będzie na wigilii?!

— No, przecież mówię. Tak napisał.

Julek kopnął z całej siły wystający spod śniegu pień, syknął z bólu i po chwili milczenia oznajmił ponuro:

— Uważam to za zupełnie idiotyczne. Co on tam będzie robił? I jeszcze w Wigilię!

— Jedzie tam ze swoim wujkiem.

— Co z tego?

— Głupi jesteś. To jest jego rodzina. W Wigilię każdy chce być z rodziną.

— A w Olszynach?!

— Co w Olszynach?

— Nie miał wtedy żadnej rodziny! Tylko nas.

— Mówisz, jakby to było samo szczęście.

— ...No, nie — zawstydził się trochę Julek. — Wiem, że nie. Tylko mi szkoda, że będzie z nami krótko. Na padało tego śniegu, że nie wiem. Z pociągu widziałem, jak szosą jechała odśnieżarka, wirnikowa. Widziałeś kiedy taką? — i nie czekając odpowiedzi, znowu zabiegł Marianowi drogę. — Jak Zenek już tu będzie, to nie damy mu wracać na noc do tej Chruścianki, mowy nie ma. Musi nocować z nami, prawda?

— Nie wiem, gdzie miotła — Marian rozglądał się po kątach drwalki, jakby wcale pytania Julka nie słyszał. Wolałby nie usłyszeć, jako że usłużna pamięć odtworzyła natychmiast przebieg pewnej niezbyt miłej rozmowy. Przyszła właśnie kartka od Zenka, że będzie na święta w Chruściance i może wpaść do Jurocina, Marian natychmiast to rodzicom powtórzył, no i ojciec, oczywiście, spochmurniał... Mama spoglądała na ojca z niepokojem (było jej przykro za Mariana, czuł to), próbowała nawet żartować, zmienić nastrój i sprowokować ojca, żeby powiedział coś miłego. No i powiedział: „Skoro już tu będzie w pobliżu, niech przyjedzie, trudno. Tylko żadnych noclegów, pamiętaj”.

— Jest miotłą — Julek ciągnął wyslizgany rękami kij zza sterty porąbanych drewek. — Marian! — zakrzyknął gwałtownie, jak zawsze, kiedy mu się coś niespodziewanie przypomniało. — A twoje króle?

— Możesz zobaczyć. — Lepiej co prawda byłoby zająć się zmiataniem, bo czasu mało, Marian rad jest jednak zmianie tematu. — Chodźmy do szopy.

— Dużo masz? — pytał Julek, kucając przed porządnie obudowaną i zabezpieczoną od zimna klatką. — W zeszłym roku miałeś cztery... O rany, Marian! — wrzasnął, otworzywszy drzwiczki. — Angory!

— Angory — potwierdził z satysfakcją Marian. — Dostałem na imieniny.

Julek zamilkł na długą chwilę; w skupieniu admiraował miękkie jak puch futra, koralowe oczy, śmiesznie ruszające się nosy, różowe, delikatne uszy. Wreszcie rzekł z westchnieniem:

— Ty to masz dobrze, jak pragnę zdrowia. U nas mowy nie ma o żadnych królikach. Nawet jak kto ma psa, to się ludzie wybrzydzą.

— Za to nie zamiatasz śniegu. I w łazience masz ciepłą wodę. A tutaj jak pompa zamarnie, to nawet zimnej nie ma. No, w blokach to już inaczej. Sporo bloków od zeszłego roku w Jurocinie pobudowano, zobaczysz, najwięcej pod lasem.

Jurocińskie bloki nie zaimponowały Julkowi wcale: z uwagą przyglądał się przyzmię desek, starannie ułożonych w kącie szopy.

— Fajne! — mruknął.

— Ojciec chce zrobić nowy ganek.

— Z takich desek toby mógł być szałas! — rozmarzył się Julek. — Prawie jak dom.

— Po co ci szałas? W zimie?

— Tak tylko mówię — wycofał się Julek. — Bo mi się przypomniał szałas Zenka. Parę razy się rozlatywał, pamiętasz?

— Teraz Zenek żadnego szałasów nie potrzebuje.

— Wiem przecież — w głosie małego zabrzmiało coś jakby rezygnacja. „Dziecinny jest, strasznie dziecinny — pomyślał pobłaźliwie Marian. — Chciałby, żeby znowu zdarzyła się Zenkowi jakaś przygoda. A życie Zenka jest teraz zupełnie inne niż w lecie, normalne, o żadnych »przygodach« nie ma mowy”.

— Ciekawe, jak Zenkowi idzie w szkole? — odezwał się, by nieco tę sprawę Julkowi uświadomić, ale że ten wzruszeniem ramion ujawnił pogardę dla spraw tak przyziemnych, rozzłościł się trochę i oświadczył, że na razie dość gadania, trzeba się zabrać do śniegu.

— Całe podwórze mamy zamieść? — spytał Julek.

— Ale skąd. Dwie ścieżki: do furki i do drwalki, wy

starczy.

Przez chwilę pracowali w milczeniu, Marian spokojnie i systematycznie, Julek pośpiesznie, z sapaniem i pogwizdywaniem na przemian. Nie na długo mu zresztą tej dobrej woli starczyło, raz i drugi przewrócił się na śnieg, niby nieumyślnie, a potem wygrzebywał się i otrzepywał bez końca.

— Te! — rzekł w końcu Marian. — Albo błaznowanie, albo robota.

Julek uznał, że rada wygłoszona przez Mariana jest doskonałym pretekstem do podjęcia rozmowy na nowo.

— A ty do tej pory nic nie wiesz — powiedział prowokacyjnie. — Nic a nic!

— Niby o czym?

— Wygrałem szkolny wyścig łyżwiarski. Młodzików oczywiście.

— Naprawdę? — Marian poczuł ze zdziwieniem, że wiadomość zrobiła na nim pewne wrażenie. Sam ślizgał się nieźle, ale o żadnych większych sukcesach nie było mowy.

— No!

— Dużo was startowało:

— Czterdziestu pięciu. Z trzech szkół.

— Fajno. W zeszłym roku też byłeś dobry, ale żeby tak, to nie myślałem.

— Trenowałem! Jak Zenek przyjedzie, to zaraz pójdziemy na lód.

— Może Zenek wcale nie umie się ślizgać?

— Zwariowałeś? Na pewno się ślizga, i to wspaniale. Na sanki też pójdziemy, prawda? Na Czarną Górę. Najlepiej na Czarną Górę!

— Nie wiem — mruknął Marian.

— Czego nie wiesz?

— Czy to się uda. Przyjeżdża przecież ta dziewczyna, ta Danka.

Julek zaniemówił, patrzył na Mariana szeroko otwartymi oczami, jakby nowina teraz dopiero dotarła do jego świadomości.

— Zapomniałem na śmierć! Na pewno przyjeżdża?

— Na pewno.

— O rany! Myślałem, że może się coś odmieni.

„Nie odmieni się” — pomyślał z niechęcią Marian. Przyjedzie i wszystko popsuje. Od czasu kiedy otrzymał kartkę od Zenka, zawiadamiającą, że zjawi się w Jurocinie w czasie świąt, ogarniały Mariana marzenia, których nigdy przedtem nie zaznawał: marzenia o przyjaźni. Znaleźć kogoś! Kogoś, komu można powiedzieć o sobie (nie o głupstwach, o tym,

co ważne, takich spraw z każdym dniem jest coraz więcej) i kto z kolei jemu, Marianowi, chciałby powierzyć swoje myśli.

I żeby można mu było ufać, być pewnym, że nigdy nie zawiedzie, nie wyda tajemnicy, a jeśli tylko będzie trzeba, to we wszystkim pomoże. Julek się do tego nie nadaje, za młody, a koledzy? Jest paru dobrych kompanów, to jednak nie to, zupełnie nie to, o co Marianowi chodzi. A Zenek? Wiele razy zadawał sobie Marian to pytanie i zawsze ta sama nasuwała się odpowiedź: tak, Zenek. Dlaczego? Nie bardzo umiał sobie na to pytanie odpowiedzieć: nie wszystko mu się przecież w Zenku podoba (wiele rzeczy mu się wyraźnie nie podoba), Zenek bywa szorstki i niemiły i nawet w dobrych chwilach jest dziwny, mało przystępny, jakby miał w sobie coś, co go różni od innych i co trzeba przed ludźmi ukrywać. Czy to nie są cechy odstrasające? Owszem!... Tylko że one właśnie najbardziej Mariana przyciągają: czyż nie takiego chłopaka jak Zenek warto rozumieć i w takim właśnie wzbudzić zaufanie?

Nie będzie to łatwe, musieliby przebywać dużo razem i najlepiej sami, we dwóch. „Nawet bez Julka” — przeleciało kiedyś Marianowi przez myśl. Zawstydził się, zaraz też zjawiała się krytyczna refleksja, że Zenek małego bardzo lubił, a nic nigdy nie wskazywało, że chciałby się zaprzyjaźnić z Marianem. W Olszynach nie zawsze żyli w zgodzie i choć trudno w to dziś uwierzyć, były przecież dni, kiedy panowała między nimi jawna wrogość. Jeśli jednak Marian teraz właśnie, po paru miesiącach rozłąki, zapragnął tej przyjaźni, to może i w Zenku coś się zmieniło? Jego obecne życie jest normalne, podobne do życia innych chłopców, dlaczegoż więc nie mieliby się zbliżyć o wiele bardziej niż dawniej? Zenek jest starszy, oczywiście, różnica nie jest jednak duża, no i bądź co bądź trochę się od wakacji wydorosłało.

— Marian! — pełen protestu okrzyk Julka uświadamia Marianowi, jak bardzo się zagapił. — No?

— Czego chcesz?

— Stoisz jak drąg i nic nie mówisz. Co to za jedna? Po co tu przyjeżdża?

„Żeby wszystko popsuć” — wraca do głowy natrętna myśl. Parę ruchów szuflą pozwala Marianowi opanować uczucia, których nie lubi ujawniać, i jako tako uporządkować myśli.

— No więc? — nastaje Julek. — Ile ma lat?

— Bo ja wiem — Marian wzrusza ramionami — trzynaście, czternaście, coś takiego. Nie znam jej.

— Nie znasz jej?

— Nie. Mama też nie. Ani ojciec.

— No wiesz! — oczy Julka z każdą chwilą bardziej okrągłe są ze zdumienia.

— Ona jest z domu dziecka i...

— Z domu dziecka? — Julek spojrział na Mariana z zastanowieniem, jakby wiadomość nasunęła mu nie spodziewane myśli, zaraz jednak zakrzyknął po swojemu: — No to co? To dlatego ma przyjeżdżać do obcego domu?

— Czekaj. Ona nie ma rodziców ani krewnych, tylko jakaś dawna przyjaciółka jej matki czasem ją zabiera do siebie, jak są święta. I teraz też ją zaprosiła, a potem się rozchorowała... więc napisała do mojej mamy, czyby ta dziewczyna nie mogła przyjechać do nas, kapujesz? Bo ta pani jest koleżanką mamy, kiedyś razem mieszkały, pisują do siebie itede. No i tak wyszło.

— Idiotycznie. My z Zenkiem i jakaś obca dziewczucha.

— Żeby jeszcze Helka przyjechała z tobą, jak zawsze, byłoby łatwiej.

— Nie wyobrażaj sobie, że ja się będę nią zamiast Helki zajmował. Ani mi się śni!

— Może myślisz, że ja mam na to chęć, co? — odpowiedział zgryźliwym pytaniem Marian. Złościło go, że Julek tak stawia sprawę, jakby to właśnie on miał być najbardziej poszkodowany. — A w ogóle to nie ma po co tyle gadać.

Dobra rada słabo na Julka podziałała. Milczał krótką chwilę, po czym wygłosił ponurą przepowiednię, że ta dziewczyna, ta Danko, zanudzi się w Jurocinie na śmierć. Bo każda dziewczyna musi mieć drugą, żeby gadać o głupstwach, a tu żadnej innej nie ma i nikt jej dla tej Danki nie stworzy.

— I powiem ci jeszcze jedno — kończył z energią. —

Trzeba to było wujowi i wujence wytłumaczyć! Chyba rozumieją takie rzeczy, nie?

— Mówiłem ci już, żebyś tyle nie gadał.

— Mogę nie gadać, a zajmować się nią nie będę, żebyś wiedział.

Marian wziął szufłę do ręki i odwróciwszy się od Julka, zajął się uklepywaniem przyzmy świeżego śniegu. Nadal był zły, może jeszcze bardziej niż przed chwilą. Za dużo sobie ten smarkacz pozwala! Mądrzy się, a nic nie wie. Łatwo powiedzieć: „Trzeba było wytłumaczyć”, a zrobić to — trochę trudniej. Z rzadka, jak ojciec jest w bardzo dobrym humorze, wypoczęty, wesoły, to mamie i nawet Marianowi udaje się coś swojego przeprowadzić, normalnie nikogo o zdanie nie pyta, sam decyduje o wszystkim. Tylko w zupełnych drobiazgach wolno im dwojgu rządzić się, jak chcą. „To dla twojego dobra” — odpowiada mamie, jeśli ta wnosi jakiś protest. Dba o mamę, to prawda, tylko że mama chociaż czasem wolałaby sama postanowić, co jest dla jej dobra, a co nie; tak samo zresztą jak i Marian.

A z przyjazdem Danki to w ogóle wszystko wyszło dziwnie, inaczej niż zwykle. Rodzice wyjęli list ze skrzynki, kiedy Mariana nie było w domu, wróciwszy zorientował się od razu,

że zaszło coś szczególnego: ojciec jest chmurny i rozgniewany, a mama... właśnie wyraz twarzy matki najbardziej Mariana zastanowił: ujawniała wyraźną zaciętość, jakby tym razem postanowiła postawić na swoim. Ojciec spoglądał na nią od czasu do czasu, jakby czekając, że ustąpi, i nie doczekawszy się „powiadomił” Mariana, że nadszedł taki a taki list i przez święta będzie w ich domu nieznana nikomu dziewczyna. Zakończył przemowę uwagą, że, jak się okazuje, „twojej matce” nie wystarcza ciężka praca w szpitalu i obowiązki w domu, bierze więc sobie na głowę kłopoty dodatkowe — nie licząc się ani z własnymi siłami, ani z tym, że bądź co bądź wszyscy potrzebują świątecznego odpoczynku.

Mariana uraził za matkę ironiczny ton, którym to wszystko zostało wygłoszone, i jak w każdym nieporozumieniu między rodzicami poczuł odruchową solidarność z matką. Niedługo to trwało; wyobraziwszy sobie świąteczne dni z kimś nieproszonym i zupełnie nieznanym, przyznał rację ojcu. Zazwyczaj czuł niechęć do jego niegościnnosci, ale w tym wypadku? Ojciec obcych nie lubi, denerwuje go, jeśli trzeba odstąpić od stałych domowych przyzwyczajzeń, dostosować się do kogoś, obsługiwać go, krzątać się... „Zamęczysz się” — mówi wtedy do mamy. Dlatego z takim trudem zgodził się na Zenka. Zgodził się jednak — a teraz ni z tego, ni z owego ta dziewczyna! To już naprawdę trochę za wiele, aż dziwne, że mama mogła na to przystać. Zawsze tak zabiega, żeby ojciec był zadowolony, o Mariana dba także, wie, co może mu sprawić przyjemność — i nagle jakby o tym wszystkim zapomniała. A może uznała za nieważne?...

Nie było sposobu zapytać jej o to. Przez pierwsze dni po nadejściu listu panował między rodzicami taki nastrój, że Marian urywał się z domu, jak tylko mógł; potem atmosfera się poprawiła, nie ulegało jednak wątpliwości, że sprawa Danki jest przesądzona i wszelkie na ten temat rozważania nie mają sensu. P.o cóż więc o niej mówić? Nie znosił kłótni, do jałowych dyskusji żywił wstręt. a poza tym był urażony, że matka nie podejmuje najlżejszej nawet próby, by mu swoje stanowisko wytłumaczyć. Sądził, że mu się to należy, przyjazd Danki odbije się przede wszystkim na nim, związane z Zenkiem plany tak czy inaczej zostaną przez tę dziewczynę pokrzyżowane. Mama na pewno dobrze się w tym orientuje, dlaczego więc nic nie mówi? Uważał, że go zlekceważono — i demonstrował niechęć wobec narzuconego gościa, nie głośno có prawda, raczej tonem i miną niż słowem, ale za to przy każdej sposobności. Mamie przelatywał wtedy po twarzy cień przykrości, Marianowi robiło się głupio — i nic, dalej trwał przy swoim. Dopiero serdeczne przywitanie mamy z Julkiem przywróciło domowi normalny nastrój.

— Ta miotła jest na nic — oświadczył nagle Julek.

— Bo co? — Że miotła jest tylko pretekstem, nietrudno było Marianowi rozpoznać. Mały odezwał się, bo miał dość milczenia, i tyle. — Jak ci się znudziło zamiatać, to idź do domu. Nikt ci nie broni.

— Wcale mi się nie znudziło, tylko ta miotła... twarda jak drapak. Zamieńmy się. Daj mi szufłę.

— Szufła dla ciebie za ciężka.

— Też! — oburzył się Julek. — Dla ciebie dobra, a dla mnie za ciężka?

Marian dość był wielkoduszny, by nie podkreślać faktu, że bądź co bądź jest od Julka znacznie wyższy i silniejszy.

— Jak chcesz, to spróbuj. I tak niedługo przerywamy.

— Bo co? Szufłą to ja mogę machać, ile chcesz! — oświadczył Julek, nowe narzędzie zwiększyło jego zapał do pracy. Nie na długo: czerwony z wysiłku, przystawał coraz częściej, za każdym razem znajdując nowy powód do rozmowy.

— Wujek! — zakrzyknął w jakiejś chwili i puścił się biegiem do furtki. Ojciec przywitał go bez wylewności, dość jednak serdecznie, i zaraz zwrócił się do Mariana:

— Nie mogłeś zabrać się do śniegu wcześniej? Za chwilę obiad.

— Zaraz po obiedzie dokończę.

— Razem dokończymy! — oświadczył ochotczo Julek.

— To się jeszcze zobaczy — mruknął Marian.

— Dlaczego?

— Nie kłóć się. póki co.

Istotnie powodu do kłótni zabrakło, już w czasie obiadu kleiły się Julkowi oczy, a po wypiciu gorącej herbaty parę razy tak się kiwnął, że o mało nie spadł z krzesła. Usłyszawszy rozkaz wujenki, że ma się przespać, otrzeźwiał na chwilę i próbował stawiać opór, zlekceważono jednak to wystąpienie, Pani Pietrzykowa kazała Marianowi zabrać Julka do swojego pokoju, dać mu Jasiek i koc; na razie niech się kładzie na tapczanie, polowe łóżko rozstawi się wieczorem. I to już było wszystko: nie minęły trzy minuty, a Julek spał jak kamień.

— A ty? — zwróciła się do syna pani Pietrzykowa. — Co będziesz robił?

— Wracam na podwórze. Skończę ze śniegiem.

— Mogłeś zabrać się do tego wcześniej — nie omieszkał zauważyć ojciec. — Niedługo zmrok.

— Zdążę.

— Julek przyjechał, więc tak jakoś zeszło — tłumaczyła Mariana matka.

Ojciec nie podtrzymał tematu, zapytał ją o szpital, czy było dużo roboty, potem, bzy pielęgniarskie dyżury na święta zostały już ustalone.

— Właśnie... — zaczęła jakby z obawą mama. Marian nie słuchał dalej, włożył kurtkę i wyszedł na podwórze.

Niedużo już roboty, mniej niż połowa ścieżki do drwalki, ale że nic to przyjemnego, zajrzał najpierw do królików. Dorzucił im siana, pełen zachwytu okrzyk Julka znowu rozbrzmiał mu w uszach. Po chwili inne Julkowe słowa zaczęły się Marianowi przypominać. Rozdrażniło go to. sięgnął ze złością po szufłę, rytmiczne szuranie drewna o zmarznięty śnieg rozległo się między domami zgrzytliwym echem. Pracował jak automat, ostro i dokładnie, nie myśląc o tym, co robi, opanowany rozbudzonym na nowo uczuciem rozgoryczenia. Na matkę — że swoim dziwnym pomysłem psuje wszystkim święta, na ojca, że z niepojętych powodów wyraził na to zgodę. Na siebie, że nie umiał się rodzicom przeciwstawić, na Julka, że mu to wypomniał. Wypomniał — i, niestety, miał chyba trochę racji! Bo nawet jeśli ktoś z natury jest zgodny i nie lubi się kłócić, to jednak w pewnych wypadkach powinien umieć walczyć o swoje. Powinien! Tu myśli Mariana zmąciły się. utrudniło im bieg coś niemiłego, coś, co wolałyby ukryć nawet przed samym sobą. Ale to na nic, i tak wiadomo, o co chodzi: że on. Marian, się boi. Boi się ojca.

Niedawno jeszcze uważał za naturalne, że trzeba ojcu ustępować i stosować się do jego woli, nie wypowiadając swego zdania, a w ważnych wypadkach odwołując się do pomocy mamy. Ostatnio i z biegiem czasu coraz częściej zdarzało mu się myśleć, że postawa ojca jest nie tylko, trudna do zniesienia, ale i niesłuszna, buntował się przeciw znoszeniu jej tylko z tego powodu, że „ojciec taki już jest”, jak mówiła mama. Chodząc do kolegów odkrył, że ich rodzice są na ogół tolerancyjni i albo wcale nie wtrącają się do swoich dzieci (Marian nie był pewien, czy właśnie tego by dla siebie pragnął), albo przynajmniej liczą się z ich zdaniem (tak, według Mariana, być powinno).

„To się musi zmienić” — stwierdzał przy okazji różnych domowych spraw, które ojciec po dawnemu przeprowadzał zgodnie ze swoją wolą. Ale jak tego dokonać? Od czego zmiana powinna się zacząć? Od kogo? Mamie nie przyjdzie to nawet do głowy, szkoda marzyć — choć na pewno chciałaby, żeby w domu było inaczej. Więc nikt inny, tylko on, Marian, powinien się na to ważyć. Powinien — i dopiero co, przed kilkoma dniami, miał po temu okazję. Zmarnował ją, nie zrobił najmniejszej próby, by się przeciwstawić! Zląkł się ostrych słów, przykrego tonu, złego nastroju w domu. No, a wynik wiadomy: Danką przyjedzie.

„Następnym razem się nie poddam, mowy nie ma” — myśli Marian, kończąc robotę. Nie wiadomo, kiedy „następny raz” się zdarzy, postanowienie pozwala jednak Marianowi

spojrzeć na świat i własne życie nieco pogodniej. Co do świąt, „mówi się trudno”, w taki czy inny sposób postarają się obaj z Julkiem dziewczynę unieszkodliwić i mieć jak najwięcej czasu dla Zenka. Może się jakoś uda.

W przedpokoju zatrzymuje Mariana podniesiony głos ojca i „pełen napięcia, chociaż cichy głos matki. Nieporozumienie. Nie lubi tego, nie cierpi. Jaka szkoda, że nie zamarudził na podwórzu! Dobrze chociaż, że Julek śpi.

— Poradzę sobie, nie bój się. — To mama. Próbuje coś ojcu wyperswadować.

— Oczywiście! — w słowach ojca ostra ironia. — Zawsze sobie radzisz. A że kosztem własnego zdrowia, to nieważne.

— Ależ, Romku...

Może wyjść, chociaż na parę minut? Przez ten czas skończą, jak wróci, będzie po wszystkim. Nim sięgnął po powieszoną dopiero co czapkę, usłyszał pytanie:

— Marian, to ty?

— Ja. A co?

— Chciałam wiedzieć, kto wszedł do sieni. Włóż kaptcie, na pewno buty mokre.

Żaden pretekst wymknięcia się na ulicę nie przychodzi do głowy, trzeba zostać. Marian opieszale ściąga kożuszek rozważając, gdzie się podziać. Julka lepiej nie budzić, do rodziców za nic! Pójdzie do kuchni — dokąd, niestety, dobiega z tamtego pokoju każde słowo. A może, świadomi, że jest w domu — odłożą rozmowę na później lub przynajmniej trochę się uspokoją? Ojciec wydaje się mocno rozdrażniony, mama także, choć stara się zachować spokój. Podejmują bez zwłoki wymianę zdań, obecność Mariana nie krępuje ich wcale.

— Nieraz przecież mam nocne dyżury.

— Ale nigdy tyle. Trzy noce w tygodniu przedświątecznym — to już przesada! Jeżeli nie możesz tego zmienić...

— Jakim sposobem? Dwie pielęgniarki są chore, mówiłam ci już.

— Jeżeli tak, to ta dziewczyna nie może przyjechać. Trudno.

„Ta dziewczyna”? Danką? Oczywiście, że chodzi o Dankę! Więc nie przyjedzie? Jeżeli ojciec tak twardo jest przeciw, to na pewno nie! Mariana ogarnia niespodziewana radość. Wbrew wszystkiemu, wbrew niechęci, którą czuje do ojca, kiedy ten mówi do mamy w nieprzyjemny sposób. Danką nie przyjedzie! Będą z Zenkiem sami. Sami! Pójdą na lód, pójdą na sanki, ułożą sobie czas, jak tylko Zenek będzie chciał.

W pokoju rodziców milczenie, rozmowa chyli się pewno ku końcowi. Mama... dziwnie jakoś brzmi jej głos, można by sądzić, że słowa dopiero co wypowiedziane przez ojca wcale do niej nie dotarły:

— Ta dziewczynka nie sprawi mi żadnego kłopotu. Innych lat Julek przyjeżdżał z Helcią, teraz przyjechał sam, więc...

— Helcia! — przerywa ojciec. — To zupełnie co innego, to rodzina.

„Ma rację” — myśli Marian. Mama niepotrzebnie przedłuża rozmowę, wiadomo przecież, że ustąpi. A tak, to ojciec jeszcze więcej się zirytuje i powie coś przykrego, mama się obrazi i przez parę dni znowu będzie w domu niemiło.

— Proszę cię. Ja...

Ojciec nie pozwala mamie mówić dalej.

— A ja cię proszę — przecina kategorycznie — żebyś jeszcze dzisiaj wysłała depezę: tak i tak, przyjazd niemożliwy, przepraszam, i koniec.

Tym razem cisza zalega w mieszkaniu na długo. Może mama układa tekst/telegramu? Ojciec spaceruje koło stołu, słysząc jego miarowe kroki. Poza tym nic, zupełny spokój. I nagle, kiedy już chyba nikt się tego nie spodziewał, rozlega się niegłośny, ale wyraźny głos mamy:

— Nie zrobię tego.

Oświadczenie jest tak niezwykle, tak niezgodne z panującym w domu obyczajem, że Marian zrywa się ze stołka i słucha dalszego ciągu z bijącym sercem, stojąc przy drzwiach jak wryty. Więc jednak mama postawi na swoim?

— Jak to? — wykrzykuje ojciec. Przestał chodzić, kroki ucichły. — Co to znaczy?

— Nie mogę. Naprawdę! Ta dziewczynka wie już, że ma przyjechać, cieszy się! I teraz mamy jej sprawić zawód?

— Sytuacja się zmieniła.

— Wiesz, co ona sobie pomyśli, jak dostanie depezę? Że z takimi jak ona nikt się nie liczy.

„Z takimi jak ona”... Jest w tym określeniu coś znanego, coś, co niespodziewanie budzi w Marianie niepokój.

— Mówisz, jakbyś ją znała! To po prostu śmieszne.

— Proszę cię! Jeżeli ona nie przyjedzie, będę miała popsute święta.

— A że ja będę miał popsute święta, jeśli będziesz musiała obskakiwać tyle osób, to o tym nie myślisz! — wybucha ojciec.

— Ależ, Romku! — protest mamy brzmi tym razem słabo. Złękła się? Straciła wiarę w swoją słuszność?

— Może po prostu uważasz, że nie zasługuję na odpoczynek? Może praca i równocześnie studia to według ciebie za mało!

— Romku, jak możesz?... — powtarza bezradnie mama. Dopóki chodziło o nią samą, o jej własne zmęczenie i pracę, znajdowała siłę do walki, teraz załamała się, bo chodzi o ojca. Nie umie przeciwstawić się jego zarzutom, choć są niesłuszne i niesprawiedliwe, nie umie! Jeszcze chwila, a zgodzi się na wszystko.

Jeszcze chwila. Tymczasem można sięść z powrotem przy stole, sięgnąć po gazetę albo stanąć sobie przy oknie i popatrzeć w ciemniejącą uliczkę. Marian spogląda w kuchenne wnętrze, spokojne i przytulne, potem szybkim spojrzeniem ogarnia przedpokój i uchylone drzwi do pokoju rodziców, jakby mierzył dzielącą go od nich odległość. „Tak — mówi do siebie. — Zrobię to”. Dłuższy czas wtórował w myślach argumentom ojca, wyławiając z nich wszystko, co sprzyjało jego własnemu pragnieniu, by spędzić święta tylko z Zenkiem, tylko jemu, bez żadnych przeszkód, poświęcić cały swój czas. A teraz inaczej... Teraz doznawał dziwnego uczucia, jakby właśnie to, co kiedyś z Zenkiem przeżyli, nakazywało mu wziąć w obronę nieznaną i wcale tu nie pożądaną dziewczynę. I Matka drgnęła, jakby nagle zjawienie się Mariana przestraszyło ją, ojciec też jest zaskoczony. Czeka ją, co powie.

Marian spuszcza głowę. Nie może patrzeć tak wprost, boi się. Przełyka ślinę.

— No? O co ci chodzi? — przynagla ojciec.

— Chciałem powiedzieć, że... Że nie można wysłać telegramu, żeby ta dziewczyna nie przyjeżdżała.

— Marian?! — matka patrzy na syna z niedowierzaniem.

— Dlaczego to „nie można”? — pyta ostro ojciec. — Może nam zechcesz wyjaśnić!

— Powinna przyjechać. Jeżeli już mama ją zaprosiła... Tak uważam.

— Tak „uważasz” — ojciec prawie krzyczy. Poczerwieniał, jest rozgniewany, wzburzony niespodziewanym oporem. — A matka? O matce to nie pomyślisz... ile będzie miała roboty! To się dla ciebie nie liczy, to jest dla ciebie bez znaczenia!

— Nie! — zaprzecza gorąco Marian. — Ale... — I milknie. Jak ma wytłumaczyć to, co sam z trudem przed chwilą zrozumiał? Ojciec bywa dla mamy niemiły i ostry, ale o nią dba, bardzo dba, i to jest dla niego najważniejsze. Tylko że czasem jest tak, że nie to właśnie powinno być najważniejsze, tylko coś innego... Ktoś inny, jak na przykład ta Danka. I mama tak na pewno uważa, i chciałaby, żeby ojciec tak samo, tylko że nie umie mu tego wytłumaczyć. A jeżeli mama tego nie umie, to jakże on, Marian? Pouczać ojca? Niemożliwe, nie przeszłoby przez gardło. Więc co powiedzieć? Ojciec czeka!

— Mama się przecież zgadza... — Nie, tak nie trzeba, nie trafi to ojcu do przekonania. I nagle Marian zwraca się gorąco i bezradnie do matki: — Mamo, proszę cię!

— Ależ, Marianie...

— Niech ona przyjedzie!

— Ja przecież chętnie! Romku?...

W odpowiedzi głuche milczenie, a tymczasem w głowie Mariana pojawia się argument, który powinien do ojca trafić, jest przecież człowiekiem solidnym.

— Mama ją zaprosiła, a to przecież jest jakby obietnica, prawda?... Pomyśli, że my, że nasze słowo... — Marian zacina się, wstyd mu mówić dalej. Ojciec spogląda to na niego, to na mamę i w końcu wzrusza ramionami.

— Więc nie dosyć, że jest Julek i będzie tu jakiś Zenek. to jeszcze ta dziewczyna!

Marian odwraca twarz, a mama jakimś dziwnym głosem, który ma oznaczać, że nic szczególnego nie zaszło, oświadcza, że poradzi sobie, nie ma strachu, od początku mówiła, że sobie poradzi, umie przecież organizować pracę.

— Ciekawe, kto się nią będzie zajmował? — zrządzi ojciec, ani słowem nie przyznając się, że przegrał. — Ja nie!

Powiedzieć, że obaj z Julkiem postarają się pomóc? Można by, ale że Marian nie lubi takich deklaracji, nie odzywa się więc. Ojciec pyta, gdzie gazeta, i idzie po nią do kuchni.

— Nie myślałam, że masz ochotę na przyjazd tej dziewczyny — mówi z cicha matka.

— Ja nie mam ochoty. Wcale.

Matka kieruje na Mariana wnikliwe, uważne spojrzenie i przygląda mu się długo. Czy zrozumiała? Coś musiała zrozumieć, bo powiedziała niepewnie, jakby prosząc Mariana o wyrozumiałość:

— Ojciec nie ze względu na siebie...

— Wiem, wiem — mruknął Marian.

* * *

— To już teraz mamy siedzieć w domu? Cały czas? — pyta Julek.

Odpowiedziało mu oznaczające „tak” kiwnięcie głową. Marian spokojnym, ale krytycznym okiem oglądał sanki, które przez dwa popołudnia naprawiali i lakierowali.

— Daj śrubokręt, muszę dokręcić.

— Polecimy chociaż na trochę!

— Ale skąd.

— Na przykład na górkę nad tartakiem. To blisko.

— Ona tu może być za dwadzieścia minut. Albo i prędeej.

— Zwariowałeś? Jest czwarta, autobus wlecze się z dworca prawie godzinę.

- Ją przywiezie pan Maniak. Ciężarówką.
- Maniak? — zdziwił się niemile Julek. — Dlaczego?— spytał ze źle ukrytą zazdrością.
- Przyjeżdża pierwszy raz, mogłaby nie trafić.
- Też! — Julek wzgardliwie odął usta. — To nie pójdziemy?
- Ma zastać zamknięte drzwi?
- Guzik mnie obchodzi. Nic by się jej nie stało, jakby trochę poczekała.
- Zajmij się czymś, nie stercz tak.
- To ty sterczysz. Ja chcę wyjść.

Marian odwrócił obie pary sanek płozami do góry.

- Od spodu to polakierowałeś, jakbyś miał w ręku drgawki — rzekł z niezadowoleniem. Krytyka nie zrobiła na Julku wrażenia.

— Całe popołudnie zmarnowane — podsumował ponuro i przysiadłszy na brzeżku krzesła wyciągnął przed siebie nogi najdalej, jak potrafił. Trwał tak bez ruchu, demonstrując beznadziejność sytuacji, dopóki Marian nie poradził mu dobrodusznie, żeby przestał się wygłupiać.

— A jutro? — zakrzyknął Julek, zrywając się. — Ciekawe, co jutro?! Znowu nigdzie nie pójdziemy?

Marian puścił zaczepkę mimo uszu. Dokręcił wszystkie śrubki, przyjrzał im się i wreszcie, pokonawszy niejasny wewnętrzny opór, powiedział z wahaniem:

- Zobaczymy. A w ogóle to może nie będzie tak źle.
- Co nie będzie źle?
- Z nią.
- Wyobrażam sobie! —zadrwił Julek.
- Z Pestką i Ulą też nie od razu chciałeś się zadawać.
- Porównanie!

— Dlaczego? Może ta Danka jest całkiem możliwa.

— A co ciebie obchodzi, jaka ona jest? — Julek patrzył na Mariana podejrzliwie. — Mnie obchodzi Zenek i żeby nikt nie przeszkadzał. A więcej nic.

— Głupi jesteś — orzekł Marian, czując, że posądzono go o skłonność do zdrady. Śmieszne!

- A ty jesteś dziwny — zemścił się Julek.
- Dziwny?
- A pewnie. Jak przyjechałem, to inaczej o tej Dance mówiłeś.

„To prawda” — uświadomił sobie Marian. Wyobrażał sobie wtedy, że Danka jest nieznośna, gadatliwa, wścibska — i z góry się na nią o to złościł. A potem, choć przecież niczego nowego się o niej nie dowiedział, jakoś mu to przeszło. Ale dlaczego? Dlatego, że ją obronił? Obronił ją, owszem (choć przedtem ani mu to było w głowie), i chyba od tamtej właśnie chwili zaczęło się w nim coś zmieniać. „Właściwie to to jest bez sensu” — osądził, próbując krytycznie ocenić sytuację. Może i bez sensu, ale co z tego? Chęć, by Danka nie doznała krzywdy w jego domu, nie dawała się stłumić.

Dlatego właśnie próbował wpłynąć na Julka, przed którym zataił pamiętną rozmowę z rodzicami (za trudno było o tym mówić) i który nie dawał się w żaden sposób ułagodzić. Przyjazd Danki nadal był dla małego nieznośną przeszkodą w spotkaniu z Zenkiem i budził w nim protest. „Ja także wolałbym, żeby nie przyjeżdżała” — myślał nieraz Marian. Skoro jednak przyjeżdża, niech to przebiegnie możliwie gładko. Może zresztą nie będzie to takie trudne? Może Danka jest miła? Na przykład cicha i spokojna jak Ula albo wesola i śmiała jak Pestka? Dlaczego właściwie nie miałyby taka być?

— Marian? — Uraza Julka zelżała i milczenie zaczęło mu ciążyć. — Co dostaniesz na gwiazdkę od swoich rodziców?

— A skąd ja to mogę wiedzieć?

— Ja też nie wiem, co dostanę! Moja mama wysłała prezent pocztą, do wujenki, powiedziała mi, że to piernik i orzechy, no, wiesz, na święta, ale...

— Twoja mama zawsze coś takiego przysyła.

— W tej paczce jest coś więcej, wymacałem!

— Wymacałeś?

— Tak, ale w żaden sposób nie mogę zgadnąć, co to jest. Coś miękkiego.

— Może szalik?

— Mam szalik!

Na dalsze zastanawianie się zabrakło czasu: w przedpokoju rozległ się ostry dzwonek.

— Ona? — szepnął Julek. Z przejęciem — wbrew demonstrowanej dopiero co wzgardzie i obojętności.

— Chyba.

Marian poczuł, że robi mu się nieswojo. Otworzył drzwi, z ciemnej, zimnej sieni wynurzyła się i stanęła w progu niewiele niższa od niego, zarumieniona od mrozu dziewczyna w czerwonej czapce. Nie wchodziła głębiej, tkwiła bez ruchu, z małą walizką w ręce i jakby rozważając, czy warto tu zostać, czy może lepiej iść gdzie indziej, bystrymi, bardzo niebieskimi oczami spoglądała to na Mariana, to na Julka.

— No? — huknął zza jej pleców zniecierpliwiony głos pana Maniaka. — Włóżcie! To tutaj, nie bój się,

— Czego mam się bać? — głośno roześmiała się Danka stawiając walizkę na środku przedpokoju. — To oni się boją.

— My? — oburzył się Julek. — Czego? Ciebie? — I dotknięty do żywego spojrzał na nowo przybyłą tak wrogo, że Marian szybko, choć niby od niechcienia, położył mu rękę na ramieniu.

— Rozbierz się — bąknął do Danki — mamy nie ma... ale ja...

— To się sobie nie przedstawiacie? — zgorszył się pan Maniak. — Taki dziś obyczaj?

— Jestem Marian... A to mój cioteczny brat, Julek.

— Danka — rzekła dziewczyna i łaskawym ruchem dorosłej osoby podała rękę obu chłopcom. Mina Julka ujawniła niedwuznacznie, że uważa ten gest za idiotyczny.

— Może pan wejdzie? — zwrócił się Marian do pana Maniaka wskazując drzwi do pokoju. Udawał swobodę, ale czuł się skrępowany jak rzadko. — Może pan zmarzył?

— Zmarzłem, ale wejść nie wejść, czasu nie ma. Kłaniaj się mamie.

— Mama prosiła, żeby podziękować.

— Dobra. Nie ma za co. Bywajcie.

— Do widzenia.

Trzasnęły drzwi. Byli teraz sami, we troje, na środku przedpokoju — i Marian nie miał pojęcia, co robić dalej. Okropność, że mamy akurat nie ma w domu! Nawet z ojcem byłoby różniej. Z niespodziewaną pomocą przyszedł mu Julek.

— Długo będziemy tu sterczeć? — spytał z tak jawnym niezadowoleniem, jakby w mieszkaniu nie było nikogo obcego. Pozwoliło to Marianowi ochłonąć.

— Rozbierz się — zwrócił się po raz drugi do Danki, tym razem prawie już normalnym głosem.

Ściągnęła płaszcz i czapkę, która spadła na podłogę; Marian spojrzał i zdrewniał: cały środek przedpokoju był zabłocony, gumowe podeszwy gościa zostawiły na wyczyszczonej podłodze mokre, czarne ślady. Co powie ojciec?! Iść po ścierkę, wytrzeć? Głupio! No i Dance będzie strasznie nieprzyjemnie.

— Chodźmy do pokoju.

— Ale nabłóciłam! — roześmiała się beztrąsko, jakby to było coś zabawnego.

Marian zeszywniał, początek jakiś trudny, ale może potem sytuacja się poprawi.

— Siadaj — rzekł, kiedy weszli.

Danka usiadła. I znowu nic, zupełne milczenie, nie pomagała mu wcale, nie robiła w tym kierunku żadnego wysiłku. I, co najgorsze, patrzyła prosto przed siebie, jakby to, co naokoło, wcale jej nie obchodziło.

— Siadaj — zwrócił się do Julka.

— A po co? Wolę stać.

— Jak sobie chcesz.

Co teraz? Pustka w głowie, zupełnie nie wiadomo, co powiedzieć. Ach, prawda! Marian z ulgą przypomina sobie zlecenie matki.

— ...Możemy zagrzać herbaty. I jeżeli jesteś głodna, to...

— Nie jestem głodna.

— Dlaczego myślałaś, że się ciebie boimy? — spytał zaczepnie Julek.

— Bo mieliście takie miny.

— Jakie?

— Głupie.

Julek poczerwieniał, Danka uśmiechnęła się złośliwie i spytała od niechcienia:

— Często ktoś tu z Warszawy przyjeżdża? Chyba nie.

— Zgaś w przedpokoju światło — zwrócił się do Julka Marian, poczuwszy, że na razie nie należy dopuszczać małego do głosu.

— Sam zgaś.

— Zgaś! — rzekł kategorycznie Marian.

Julek wzruszył ramionami na znak protestu, usłuchał jednak. Kiedy niechętnie wkraczał z powrotem. Marian spojrzał ku niemu, marszcząc ostrzegawczo brwi; Julek wzruszył ramionami po raz drugi, miał jednak taką minę, jakby dawał do zrozumienia, że wszystko, co się tu dzieje, nic go nie obchodzi. Na razie nie można było pragnąć niczego więcej.

Danka, która w czasie tych manewrów siedziała sztywno, jakby przyszła tu na pięć minut, i patrzyła w ścianę, poruszyła się nieznacznie, pytając:

— Znacie jakieś dziewczyny z Warszawy? Pewno ja jestem pierwsza.

„A Ula? A Pestka?” — przeleciało Marianowi przez głowę.

— Nie — mruknął nie od razu, bo wszystkie jego myśli pozegłowały w stronę Olszyn. Czy Pestka i Ula chwaliłyby się, że są z Warszawy? Nigdy! Nagle do jego uszu dotarło zjadliwe słówko: „Beznadzieja”, szepnięte przez Julka. Otrząsnął się i rzekł pośpiesznie:

— Może jednak coś zjesz?

— Wody bym się napiła.

— To chodź do kuchni.

Przeszli do kuchni, może tutaj zrobi się trochę swobodniej? Danka wypila dwa kubki wody, jeden po drugim, i odetchnęła głęboko.

— Okropnie było w pociągu gorąco.

— I pewno tłok — ofiarnie podtrzymywał rozmowę Marian.

— Najgorsze, że ten pociąg tak się wlecze. Można skonać!

— Szkoda, że nie wsiadłaś w torpedę — wtrącił niby od niechcienia, ale zjadliwie Julek, uznawszy widocznie, że milczał dostatecznie długo. Marian poczuł niepokój.

— Też! Żadna torpeda tu nie jeździ — oświadczyła Danka.

— A właśnie, że jeździ!

— Julek! — warknął Marian. — Jeździ — zwrócił się informacyjnie do Danki. — Jeździ, tylko że się w Jurocinie nie zatrzymuje.

— Więc po co się wysilasz? — Dziewczyna uśmiechnęła się drwiąco, patrząc na Julka.

— Jakby tu chodziła torpeda, przyjechałabym torpedą.

— Akurat by ci dali!

— Bo co?

— Bo za drogo kosztuje!

— Dla ciebie może za drogo, dla mnie nie.

— Pewno...

— Nie wygłupiaj się! — ostro przyhamował Julka Marian. Był na niego zły... a na Dankę także. Klóci się z małym o głupstwa, jak równa z równym, a jest przecież o dwa, trzy lata od niego starsza. Do czego jej to potrzebne?

— Pewno w ogóle nigdy torpedą nie jechałaś — ciągnął swoje Julek, na nic już niebaczny.

— Owszem — mówiła Danka unosząc dumnie głowę do góry. — Jechałam torpedą nad morze. I do Zakopanego. I do... do Poznania. Do Katowic też. Do Wrocławia.

„Kłamie” — myślał Marian. Nie miał żadnych w tym względzie wątpliwości. Ale dlaczego to robiła, tego nie mógł pojąć.

— W małych dziurach torpedy się nie zatrzymują — wywodziła górną Danką, patrząc po swojemu gdzieś, wysoko, nie wiadomo gdzie. — Niestety!

— Dziura? Jurocin to dziura? — krzyknął Julek. — Tu przyjeżdżają ludzie z całej Polski! Na wczasy, na wakacje! Tu są cudowne okolice i w ogóle to jest miejscowość historyczna! Nic nie wiesz, a gadasz!

— Przyglądałam się jadąc z dworca. Wystarczy mi.

— Słyszysz, Marian? — cicho i z wściekłością spytał Julek. — Wystarczy jej!

Zapadła cisza, Marian czuł, że najprzyjemniej byłoby wyjść i trzasnąć drzwiami. Musiał jednak zostać, więc ulegając niejasnej wewnętrznej potrzebie, powiedział nie-głośno, ale wyraźnie, tak, żeby to do Danki dotarło:

— A ja lubię Jurocin. Bardzo lubię.

Zauważył ze zdziwieniem, że się zaczerwieniła i spojrzała na niego szybko, jakby spłoszona. Poruszyło go to, pomyślał, że może coś niecoś zrozumiała, że odezwie się teraz jakoś inaczej.,

Danka nie powiedziała jednak nic, a kiedy zaczęła sobie swobodnie podśpiewywać, przypomniał jej sucho, że czas się rozpakować.

— A gdzie mam powiesić sukienki?

— Mama mówiła, żeby w szafie. W tamtym pokoju.

Ledwie zostali sami, Julek odezwał się z goryczą:

— Ładnie się zapowiada, co?

Marian milczał. W kilkanaście minut potem idąc ciemnym przedpokojem spojrzał w otwarte drzwi pokoju rodziców — i zatrzymał się nagle, tak dziwne było to, co zobaczył. Okrągły stół, nad nim lampa i w świetle tej lampy dziewczyna... tylko że ta, którą teraz miał przed oczami, wydawała mu się kimś zupełnie innym niż tamta, która krzykliwym głosem klóciła się z Julkiem o torpedę i demonstrowała pogardę dla Jurocina. Pochylona nad błyszczącym blatem pieczołowicie rozprostowywała zgniecioną nieco, cienką koronkową serwetkę zajmującą środek stołu, po czym postawiła na niej porcelanowego słonia, którego Marian dostał w prezencie, kiedy był jeszcze mały; zmieniała parokrotnie położenie figurki baczenie się jej przypatrując. Po chwili uznawszy widocznie, że jest tak, jak być powinno, cofnęła się lekko i uśmiechając się, pieszczotliwym, nieśmiałym, miękkim ruchem pogładziła kilka razy błyszczącą powierzchnię.

— Marian? — zawołał z kuchni Julek. — Ty wynosisz dziś śmieci czy ja? '

Marian drgnął, podłoga zaskrzypiała, Danka skoczyła ku rozłożonej na podłodze walizce, wyciągnęła z niej ciemną sukienkę i otworzywszy szafę, zaczęła w niej czegoś szukać.

— Nie ma wolnego ramiączka — rzekła głośno, z jawnym niezadowoleniem, kiedy Marian stanął w progu. — To na czym się powieszę? I wcale nie wiem, czy się zmieści, ciasno tu!

DLACZEGO?

Nagły dźwięk — sen się spłoszył. Szkoda. Nie pomaga zaciskanie powiek, sen się zaciera i traci kontury, jeszcze chwila, a zostaje nikłe wspomnienie, w którym jedno tylko jest wyraźne: że było błogo, ciepło, cicho, bezpiecznie — ktoś ważny i dobry czuwał obok, nic złego nie mogło się stać. Danka wzdycha, nie otwierając oczu, niechętna temu, co za chwilę zobaczy: wysoko nad głową rozległy sufit z samotną lampą w okrągłym kloszu, ściany z ciemną lamperią, z lewej strony łóżko Jasi, z prawej Stefki. naprzeciwko Wcrka, jej koc na pewno zwisa do ziemi, jak zawsze, Henia naciągnęła swój na głowę, dyżurna ze trzy razy potrząśnie ją za ramię, zanim tamta zechce spuścić nogi na ziemię. A wtedy, naturalnie, biegiem do łazienki i od razu wrzask, że ktoś zajął jej miejsce, zamoczył ręcznik, zabrał mydło i tak dalej.

Zaszumiało coś. zazgrzytało, cieniutko, inaczej niż zwykle dźwięknęły szyby, co to? Danka siada na posłaniu. Okrągły stół z koronkową serwetą, pośrodku słoń. cztery krzesła. Półprzymknięte spojrzenie krąży wokół pokoju, zatrzymując się i badając wszystko, co jest w polu widzenia. Okna małe jakieś, bliskie ziemi, z białymi firankami. Komoda, na niej wazon z zasuszonymi trawami, drewniane rzeźbione pudełko i albumy, szafka z oszkloną półką, stoi tam serwis do kawy, karafka, jakieś figurki i drobiazgi. Tapczan (posłany już!), koło tego tapczana lampa. Lampa na wysokiej nodze, niezwykła, u dołu jest półeczka, różne rzeczy tam leżą, popielniczka, gazety; na jasnych ścianach obrazki i fotografie. Dużo do oglądania, wszystko nieznanne, wszystkiemu chciałoby się przyjrzeć z bliska, dotknąć! To tutaj dzisiaj spała, po tym pokoju i po tamtym drugim, po śmiesznej, wesołej kuchni ze staroświeckim kominem będzie krążyć przez kilka dni. Nie po zastawionej łóżkami sypialni, nie po korytarzach, gdzie ściany drżą od hałasu, a jeśli jest pusto i idzie się samemu, każdy krok budzi dalekie echo. tylko tu. To jest mieszkanie rodzinne, tu mieszka rodzina. ..Nie bój się, będzie ci tam dobrze” — powiedziała „babcia Domańska”. Przez parę dni rzeczywiście się nie bała, myślała z radością, że wyjedzie, że mimo choroby „babci” nie zostanie z Werką i Stefką.

Potem strach wrócił, nie było sposobu go opanować. Koleżankom, naturalnie, mówiła, że cieszy się „nieprzytomnie” na te święta w Jurocinie („Wspaniała miejscowość, lasy, rzeka, jezioro”), ale tak naprawdę, to nie wiedziała, czy bardziej się cieszy, czy boi. Nawet jednak bardzo się bojąc, czuła, że chce jechać, że gdyby z jakiegoś powodu miało to nie dojść do skutku, byłaby zrozpaczona. Nie tylko dlatego, że zazwyczaj smutne i nudne są święta z Werką, Stefką, Michasią i innymi, które zostaną pod opieką kierowniczkę i wychowawczyń...

Tam, dokąd ją zaproszono, jest ojciec, matka, syn i często przyjeżdża jego cioteczne rodzeństwo. W domu „babci Domańskiej” jest tylko ona jedna.

Najtrudniej było wyobrazić sobie początek, wejście i przywitanie. „Dzień dobry” — a dalej? Co mówić? Jak się zachować? Chciałaby tak samo, zupełnie tak samo jak ci, którzy tam mieszkają i są u siebie od urodzenia. Gdyby się to udało, nie zauważyliby, że ona jest inna, myśleliby, że choć życie niezbyt dobrze jej się ułożyło, to przecież niczym właściwie się od nich nie różni. I wtedy mogliby ją nawet polubić...

Pragnęła, żeby ją polubili — z całych sił. „Babcia” wyczuła to, powiedziała na odjezdnym:

„Polubią cię, zobaczysz. Pohamuj tylko te swoje niemądre miny”.

Rozzłościła Dankę ta uwaga, bąknęła więc niechętnie: „Jakie miny?”

„Takie, że niby nic sobie z niczego nie robisz” — padła odpowiedź.

„Pohamować miny!” Nie zawsze je przecież robi, tylko wtedy, kiedy ją ludzie rozdrażnią. Na przykład kiedy wyobrażają sobie, że względem takiej jak ona to już na wszystko można sobie pozwolić.

Być jak wszyscy, nie robić min — czy to dosyć, żeby ją polubiono? Czowała, że nie. że trzeba czegoś więcej. Czego? Niektóre koleżanki — rozważała z ciężkim namysłem -- są lubiane szczególnie, prawie przez wszystkich!., za co? Chyba przede wszystkim za dobroć (większość myśli tylko o sobie), uprzejmość, niekłótniwość, niektóre także za wesołość i humor. ..Będę dobra, będę uważna, będę pomagając, postaram się być wesoła” postanawia solennie.

Przez całą drogę umacniała się w tych zamiarach, zwalczając strach. „Uda się, musi się udać” — mówiła do siebie. Na dworcu zaskoczyło ją niemile, że nikt z tamtej rodziny na nią nie czekał. Trudno, ten pan był zresztą przyjemny, widocznie pani Pietrzykowa przywita ją w progu, a „to dobry człowiek”, mówiła o niej „babcia”. Nie przywitała! Byli tylko chłopcy i patrzyli na nią głupio, ze zdumieniem, niespokojnie, jak na jakieś dziwowisko. Więc co miała zrobić? Co? Miała być „dobra”? Zachwycona, że się tu znalazła, uprzejma, wesoła? Ledwie przecież raczyli się do niej odezwać! Wykluczone, za nic. Pomyśleliby, że jej „zależy”, że się im podlizuje, bo są u siebie, a ją zaproszono z łaski.

Potem, kiedy pierwszy gniew minął, przyszło jej do głowy, że zagalopowała się zanadto, choćby z tą podłogą, a już szczególnie z kłótnią o jazdę torpedą: Czy Marian uwierzył? Chyba tak. gdyby nie uwierzył, toby ją przecież wyśmiał, a on tymczasem skrzyczał Julka. Był jednak zły i na nią. Parę razy był zły. No to co. warto się takim głupstwem przejmować?

Swoją drogą Marian jest trochę dziwny. Poważny, sztywny jakiś, chwilami to jakby kij połknął (tak czy inaczej — mniej drażniący od tego nieznośnego smarkacza, tego Julka). Czasem bardzo się zamyśla. Wieczorem, jak już rozpakowała walizkę, parę razy tak na nią spojrzął, jakby chciał o coś zapytać, o coś, co trudno mu zrozumieć. I nic, nie spytał ani słowem i dopiero kiedy zjawiała się jego mama, stał się swobodniejszy. Dostyc miła ta jego mama, owszem... A ojciec? Trochę mrukiwy, trudno zresztą wiedzieć, przyszedł, kiedy szykowało się posłania. Dla niej i dla pani Pietrzykowej tutaj — dla chłopców i pana Pietrzyka w tamtym drugim pokoju. Tamten pokój, choć większy, nie jest taki ładny jak ten. I nie taki porządkny, ten aż się błyszczy — stół, podłoga, obrazki, fotografie. Dużo tych fotografii! Największa nad komodą: ślubna państwa Pietrzyków. Koło okna też chyba oni — i dziecko między nimi. Marian,? Wskoczyła z łóżka, żeby dobrze się zdjęciu przyjrzeć.

Marian. Ma chyba pięć albo sześć lat, zupełne dziecko, okrągła buzia, tylko oczy i brwi prawie takie same jak dziś. Jego rodzice też odmienili się przez ten długi czas, oboje są tu szczuplejsi, pani Pietrzykowa uczesana do góry. mają zupełnie gładkie twarze, teraz już nie tak. Ciekawe, co Marian sobie myśli, jak patrzy na taką fotografię? Ojciec i matka... niby ciągle tacy sami, a z każdym dniem są mniej młodzi; w końcu będą starzy. „Moi rodzice nigdy nie będą starzy” — myśli Danka. Na fotografii, schowanej między listami w szufladce, siedzą koło siebie na schodkach przed domem „babci Domańskiej” i śmieją się. Zdjęcie jest zatarte/ ale dobrze widać, jak im wesoło. I tak już jest na zawsze, nawet wyobrazić sobie nie można, jacy byliby teraz. Inni, oczywiście... „A może i ja byłabym inna? — przychodzi nagle do głowy dziwaczna myśl. — Nie na zewnątrz: twarz, włosy, ręce, nogi, wzrost to naturalnie musiałyby być takie, jak jest, ale w środku? To, co myślę, co czuję, czego pragnę?...”

Zamyśliła się, westchnęła, potem jeszcze dokładniej przyjrzała się rodzinnej fotografii. Gdzie zrobiona? Ależ tutaj, w tym właśnie pokoju, widać okienną framugę, brzeg tapczana, róg komody z wazonikiem. Więc tyle czasu tu mieszkają! Przychodzą wakacje, Marian wyjeżdża, potem wraca —r do rodziców, do tych samych pokoi, do tych samych mebli. Jeśli coś się zmienia, to po trochu, powoli, pewno nawet się tego nie odczuwa. A ona?... W ciągu kilku ostatnich lat trzeci dom dziecka, ledwo się człowiek przyzwyczai, to już wszystko inaczej, najmiłsza, ukochana wychowawczyni przeniesiona do dalekiego miasta, najbliższe koleżanki rozjechały się, rzadko kiedy nawet miejsce w sypialni to samo, a jeśli to samo, to obok jakaś nowa i trzeba przyzwyczajać się od początku.

— Dziewczyno, co wyprawiasz! — pani Pietrzykowa w progu, na pół rozgniewana, na pół rozśmieszona. — Boso i w koszuli! Zaziębisz się.

— Zaraz się ubieram.

— Jeszcze wcześniej, wracaj do łóżka.

— Chłopcy śpią?

— Chyba tak.

Nie spali jednak, w każdym razie nie Marian, i po chwili z głębi mieszkania Danka usłyszała jego zwrócone do matki pytanie, skąd wziąć drzewo na stojak do choinki., Nastąpiła krótka wymiana zdań, choinka ma być ubrana przed obiadem, a wszystko skończone i sprzątnięte przed drugą, ojciec wraca dziś wcześniej.

— Nie zapomnij, o czym wam wieczorem mówiłam, pilnuj też Julka — zakończyła z naciskiem pani Pietrzykowa. Po chwili dodała: -- Poproście Danusię, żeby wam pomogła.

Trzasnęły wyjściowe drzwi, w mieszkaniu zaległa cisza. Marian cofnął się widocznie do swego pokoju. Może z powrotem położył się do łóżka?

Dance nie chciało się spać, myśl o choince podnieciła ją. Święta nie zawsze się udają, wcale nie zawsze. Bywały wesołe i miłe (zwłaszcza jak ich grupą opiekowała się panna Zofia!), bywały takie, że wieczorem z rozczarowania i z żalu płakało się w poduszkę, albo zwyczajnie nudne: żadnych zajęć i tylko człowiek czekał, kiedy się, do diabła, skończą. Tylko jedno jedyne nie zawodziło nigdy: choinka. Zawsze się nią cieszyła, zawsze!... Zapachem (z lasu, z tajemniczego, mało znanego świata), zielonością, a nade wszystko tym, że się ją stroi. Nawet jeśli nie bardzo jest czym. to coś się zawsze wymyśli, żeby było ładnie. Panna Zofia mówiła wiele razy, że ona, Danka, ma świetne pomysły, że w jej rękach zabawki „same się rodzą”, do Danki należała też zwykle decyzja, gdzie co powiesić, i koleżanki święcie jej w tym względzie słuchały.

A tutaj?... Czy chłopcy pozwolą, żeby właśnie ona choinkę ubrała? Marianowi nie zależy chyba na takim zajęciu, za dorosły, ale Julkowi? Może się nie zgodzić, choćby dlatego, żeby zrobić na złość. „Prosić go nie będę” — postanowiła Danka z każdą chwilą pragnąc coraz goręcej, żeby jej ustąpił. Kilka starych ozdób, kolorowy papier, bibułka (no i żeby trochę pomogli), a już ona sobie poradzi. Łańcuchy klei się bardzo szybko, szybko można też zrobić papierowe koszyczki, no i te ptaszki, które tylko jej i nikomu więcej, tak ładnie wychodzą. Popracowałyby parę godzin, starając się ze wszystkich sił, najlepiej, jak potrafi — i rodzice Mariana, wróciwszy do domu, spytaliby ze zdumieniem, kto choinkę ubrał tak ślicznie. „To Danka” — odpowiedzieliby chłopcy. Już przedtem, w czasie roboty, widząc, jak ona dobrze sobie radzi, byłiby dla niej mili, nie tylko Marian, ale i Julek i wtedy łatwiej byłoby jej ustrzec się od takich wygłupów jak wczoraj... Zrozumieliby, że ta obca, Danka, choć nie ma domu, jest taka sama jak wszystkie dziewczyny. Potem przez całe święta, ile razy by kto przyszedł, mówiłoby się zaraz: „Prawda, jaka śliczna choinka? To Danka nam ją tak ubrała!” I może,

może ktoś w tym domu (Marian? Pani Pietrzykowa?) pomyślałby sobie, że na przyszłe święta też nikt inny, tylko ona powinna choinkę ubierać...

* * *

Deski, które miały służyć jako podstawka, okazały się za długie, należało je przepiłować, poszli więc do drwalki. Danka przyglądała się robocie chłopców, pełna obawy, że będzie trwała bardzo długo. Julek wykrzykiwał co chwila: „Piła nie bierze!”, albo: „Tępa jak nieszczęście!”, Marian komenderował flegmatycznie: „Nie pchaj, kiedy ja ciągnę. Teraz ty. Ciągnij!” Mimo tych emocji po paru minutach deski osiągnęły należyty wymiar i Julek zabrał się do zbijania ich na krzyż. Marian obciosywał tymczasem pień choinki, po czym obaj przystąpili do obsadzania drzewka w stojaku, dbając, by utkwilo mocno w wywierconym otworze i „trzymało pion”, jak należy. Danka pilnowała się, żeby o nic nie pytać i w ogóle jak najmniej się odzywać: mogłaby choćby niechcący powiedzieć coś takiego, co ich rozzłości, i potem trudno byłoby o jakiegokolwiek wspólne działanie. Na razie nic zresztą nie zapowiadało kłótni, chłopcy od rana byli wyraźnie przyciszeni, przy śniadaniu zachowywali się sztucznie, ale grzecznie, a kiedy Marian zaproponował, żeby poszła z nimi do drwalki, to Julek co prawda wyraźnie się skrzywił, nie powiedział jednak ani słowa. Ta zaskakująca zmiana, w zasadzie pomyślna, nie budziła w Dancie całkowitej ufności: przecież nie „sami z siebie” postanowili tak się zachowywać, kazano im, pani Pietrzykowa im kazała. Z jej strony to miło, tylko że, jak wykazuje doświadczenie, „grzeczność” z nakazu niewiele jest warta: trwa krótko i nie bardzo można na niej polegać. Urywa się w najbardziej niespodziewanym momencie.

Może na przykład urwać się, kiedy ona zwyczajnie powie, że chce ubrać choinkę — a chłopcom (zwłaszcza Julkowi) wcale się to nie spodoba. Jak więc postąpić? Prosić, żeby pozwolili? (Człowiek cierpienie na samą myśl!). Bąknąć od niechcienia, że ostatecznie ona, Danka, może się tym zająć? Byłoby, oczywiście, najprzyjemniej, żeby wszystko ułożyło się samo. Ale czy się ułoży?

No i ułożyło się! Choinka stanęła w rogu pokoju. Julek wdrapał się na pawlacz (chciał to zrobić Marian, ale mały uważając widocznie, że włożenie na pawlacz, to przywilej, uznał ten pomysł za wyraźną dla siebie krzywdę) i zdjął dwa zakurzone pudełka po butach. Kiedy je otwarto. Danka zajęła się wydobywaniem zgniecionych łańcuchów, splątanych „anielskich włosów”, matowych i błyszczących bombek, złożonych szyszek i innych drobnych przedmiocików, które niepotrzebne i zapomniane cały rok, znowu na kilkanaście dni nabrały wartości i znaczenia. Niestety, nieliczne tylko z kruchych skarbów nadawały się do użytku.

— Mało — mruknął Marian.

— Tak — potwierdziła Danka. — Choinka jest duża.

— To ojciec ją wybierał!

Wujek ją wybierał razem z nami — upomniał się o swoje Julek. — Razem chodziliśmy, we trzech.

— Niektóre można naprawić — Danka z uwagą przebierała zabawki, oddzielając lepsze od zupełnie zniszczonych.

— To napraw! — palnął Julek, podniecony jakimś nowym pomysłem. — A my...

— Julek — rzekł ostrzegawczo Marian.

— No co? My moglibyśmy pójść z sankami na kopiec. Przecież wujenka mówiła, że mamy przywieźć jabłka.

— Po obiedzie.

Julek westchnął, pokonany.

— To co teraz?

— Jeśli nawet naprawimy, co można, to i tak będzie mało.

— Wielka rzecz! Wujenka na pewno każe dokupić bombek, jeśli ją Marian poprosi.

Marianowi twarz trochę po tych słowach zeszywniała, nie należał widocznie do tych, którym łatwo jest prosić o pieniądze. A Danka z całkiem własnych powodów inaczej, nie bombkami, pragnęła ustroić choinkę.

— Jeżeli macie kolorowy papier — odezwała się z wahaniem -- moglibyśmy zrobić łańcuchy.

— Trochę papierów mam — zastanowił się Marian ale...

— Też pomysł! — zaprotestował Julek. — Akurat czas na łańcuchy! Zawiesimy, co jest, doda się trochę waty, niby taki śnieg, i gotowe.

— Łańcuchy można zrobić systemem taśmowym — rzekła Danka.

— Co? — oczy Julka ożywiły się nagłym zainteresowaniem. — Jak to?

— W godzinę zrobimy parę metrów. Jeśli chcecie.

— Ale jak to: systemem taśmowym? — denerwował się Julek. — Nic nie rozumiem!

— Zobaczysz. Każdy musi mieć swoje stanowisko pracy.

Marian błyskawicznie pojął, o co chodzi, z Julkiem szło marudniej: wiercił się na krześle i patrzył nie tylko na własną robotę, ale i na to, co robią inni. Wciągnął się jednak i on: kleił paski, zwijane w kółka i podawane mu przez Dankę, a przedtem wycinane z arkusza przez Mariana. Po jakimś czasie, widząc, że łańcuch wydłuża się z minuty na minutę, wpadł w zapał i oświadczył, że okręca łańcuchami całą choinkę.

— A gdyby zrobić jeszcze inny? Ze słomy i bibułki? Marian ma już tyle pasków gotowych, że sam może je podawać Julkowi, a ja robiłabym tymczasem ten drugi. Macie słomę i bibułkę? Może być po prostu parę bibułkowych serwetek.

— Znajdzie się.

Nastąpiła przerwa, Marian wyszukał wszystko, czego było trzeba, i Danka, nawłókszy igłę długą nitką, zabrała się do nowej roboty, oni zaś wrócili dti dawnej. Mówili mało, Julek zapytał tylko, o której pójdzie się po jabłka, potem wspominali zeszłoroczną choinkę, że była brzydsza niż ta, ta jest wyjątkowo gęsta i wysoka.

— Jest wspianiała — powiedziała gorąco Danka.

Zerknęli na nią. było w tym ich spojrzeniu zaskoczenie, może niedowierzanie? Parę już razy popatrywali w ten sposób, za każdym razem powiększając jej wstyd za wczoraj. Głupio się zachowała, okropnie głupio! Czy można liczyć, że jej to zapomną? Twarze chłopców budziły ufność, zdawały się mówić, że na przyszłość będzie lepiej. Właściwie już teraz, przy tych przygotowaniach, jest przyjemnie, może nawet nikt się już nie dziwi, skąd i po co się tu wzięła? Ma tu po prostu swoje miejsce, i koniec. (Tak naprawdę, to go nie ma, bo skąd, ale miło sobie taką rzecz wyobrazić. W każdym razie jak ktoś zaczął coś robić z innymi, to już nie może tak nagle odejść, że nikt tego nie zauważy).

Właściwie biorąc, ci chłopcy wcale nie są tacy niesympatyczni, jak sobie po przyjeździe wyobraziła. Spojrzała na obu po kolei, schylonych nad stołem; Marian tnie papier z uwagą, jakby równość pasków była sprawą wielkiej wagi, Julek sownicie maże klejem kółka i własne palce, urozmaicając sobie pracę albo wydymaniem policzków, albo wysuwaniem języka, albo układaniem warg w zabawny ryjek. Zdaje się, że wcale nie będzie trudno ich polubić.

Poczuła wyraźną do tego skłonność i przez krótką chwilę wydawało jej się, że skoro ona tak myśli o nich, to oni podobnie myślą o niej. Może wcale nie „na rozkaz” są dzisiaj mili, tylko sami z siebie? Bo przecież tak naprawdę to lepienie łańcuchów nie jest żadną zabawą dla chłopaków, a oni nie myślą się urwać i wyglądają, jakby byli zadowoleni. Więc może są zadowoleni? Może uważają, że wcale nie jest trudno z nią wytrzymać (wczoraj na pewno myśleli, że okropnie trudno, sama się o to postarała!)?

Marzenia, które na przemian ze strachem wypełniały ostatnie warszawskie dni i potem towarzyszyły w podróży — znowu są żywe. „Pani Pietrzykowa — zastanawia się Danka, obliczając swoje szansę — pani Pietrzykowa jest serdeczna, to pewne. Pan Pietrzyk?... Nie wiadomo, na ten temat nic jeszcze nie da się powiedzieć, zresztą ważniejsi są chłopcy”. Chłopcy są najważniejsi — zwłaszcza Marian. Na razie obaj powściągliwi, odzywają się rzadko. Cóż dziwnego, początek zawsze jest niełatwy, przecież i ona nie wie, o czym

rozmawiać, choć bardzo tego pragnie. To się zmieni. To już się zmienia! Wczoraj nie przyszłoby im do głowy, że dzisiaj spędzą z nią parę godzin bez kłótni i awantur, w zupełnej zgodzie. A jutro będzie jeszcze lepiej, przyzwyczają się, oswoją... Jak się jest razem od rana do wieczora i nikt nie przeszkadza, to można się zżyć, bardzo!

— Julek, dlaczego nie ma tu w tym roku twojej siostry? — spytała, żeby przerwać milczenie. — Zawsze przyjeżdżaliście razem, prawda?

— Skąd wiesz, że mam siostrę?

— Od pani Domańskiej.

— Ja wcale pani Domańskiej nie znam.

— Ojej, Julek — zniecierpliwził się Marian. — To ta przyjaciółka mamy, mówiłem ci.

— Aha — bez zainteresowania przyjął do wiadomości Julek.

— Helka nie przyjedzie, bo trochę choruje i jest w sanatorium — wyjaśnił Dance Marian.

— Szkoda.

— Wolałabyś, żeby tu była z tobą jakaś dziewczyna, prawda?

— Ja?... — Danka zamyśliła się na chwilę. Oczywiście, z dziewczynami niby łatwiej, zawsze jest o czym pogadać, ale za to trzeba się pilnować, są wścibskie, chcą wszystko wiedzieć. Chłopcy inaczej. Powiesz im, to dobrze, nie powiesz, to nie, nie dopytują się. twoja sprawa. Ci dwaj, Marian i Julek, też o nic nie pytają, w każdym razie o nic, co chciałaby przemilczeć. — Ja mam dziewczyn dosyć na co dzień. Powiedziałam „szkoda”, bo mi żal, że będzie tam sama.

— Nie będzie sama, rodzice do niej pojedą — rzekł Julek.

Przez mgnienie Danka poczuła piekący ból, los nieznaney, chorującej dziewczynki wydał jej się godny największej zazdrości. Opanowała się, nie ma sensu pozwalać sobie na takie uczucia. człowiek rozkleja się i tyle.

— Czy nie dosyć tych łańcuchów? — spytał Julek.

Od jakiegoś czasu zaczął się wiercić, widać było, że zbyt długo przy stole nie wytrzyma.

— Jeszcze trochę — uśmiechnęła się Danka. — Będzie ładniej.

— W tym roku ja zawieszam żarówki! — buńczucznie zapowiedział Marianowi Julek.

— Zapamiętaj sobie!

— Dobrze, dobrze. Nie zależy mi.

— Nie zależy ci. a zawsze ty to robiłeś! — dawne krzywdy sprawiły, że Julek wypowiedział to zdanie z wyraźną goryczą.

— Powiedziałem, że dobrze, więc się nie żołądkuj.

— Zrobię teraz trochę innych zabawek — odezwała się Danka. — Tak... dla urozmaicenia.

Marian spojrzał na wiszący koło drzwi stary zegar.

— Niewiele już masz czasu.

— To nie będzie długo. Pośpieszę się — zawiązała szybko pętelkę na końcu swego łańcucha i mile podniecona, zaczęła wycinać z kolorowego papieru mniejsze i większe skrzydełka, które potem znanym sobie sposobem przy pomocy zapalki miała połączyć z główkami i ogonkami. Przez chwilę nie mówili nic, Julek tylko wzdychał coraz częściej i jakby tracąc siły, coraz mocniej się garbił.

— Wiesz — odezwał się do niego Marian. — Tata dokupił dwanaście nowych żarówek.

— O rany! Jakiego koloru?

— Różne.

— Fajno!... — Miła wiadomość przywróciła Julkowi nieco energii. — Ale wiesz — wykrzyknął nagle — z tym Zenkiem to cholera mnie bierze! Że nie będzie z nami na wili! Przecież to skandal!

— Co zrobić? Nic na to nie poradzimy.

— Ale w pierwsze święto zapalimy choinkę od razu, jak tylko wejdzie!

Danka, całkowicie dotąd zajęta swymi ptaszkami, podniosła głowę i spojrzała na chłopców z uwagą.

— Zwariowałaś? — zgasił Julka Marian. — W biały dzień? On ma tu być przed obiadem.

— Na chwilę można zapalić nawet w biały dzień! A co?... — zastanowił się nagle mały. — Myślisz, że wujek nie pozwoli?

— Dlaczego ma nie pozwolić? Tylko że to nie ma sensu.

— Ma sens! — wykrzyknął Julek. Oczy mu rozbłyły, policzki zaróżowiły się z emocji. — Od razu pozna, że to na jego cześć!

— Śmieszny jesteś.

— Co to za Zenek? — spytała Danka. Nikt jej nie odpowiedział, Julek z żarem w głosie obwiniał Mariana o udawanie i nieszczerłość: — Myślałby kto, że się wcale na jego przyjazd nie cieszysz. Mnie na to nie nabierzesz, nie bój się!

— Co to za Zenek? — powtórzyła pytanie Danka. Ręce jej, dopiero co pracujące żwawo i zręcznie, leżały beczynnym na stole. Śledziła chłopców oczami, zbita z tropu, zaniepokojona, ich słowa zdawały się oznaczać, że grozi jej coś, czego wcale nie przewidziała. Zaczynało już być dobrze, cieszyła się, a teraz?

— Zenek... — zaczął Julek. — Zenek... — przerwał, widać było, że objaśnienie, kim jest Zenek, przerasta jego możliwości.

— Spędziliśmy z nim zeszłe wakacje — powiedział Marian. — W Olszynch.

- Mówisz, jakby to była zabawa, te wakacje! — oburzył się Julek. — A w ogóle — zwrócił się bojowo do Danki — to nie wyobrażaj sobie, że Zenek to taki chłopak jak inni!

— Bo co? Zrobił coś nadzwyczajnego?

— A żebyś wiedziała!

— Na przykład? Zbudował raketę i poleciał na księżyc?

Julek, obrażony, odął usta i ostentacyjnie zamilkł. Danki, której niepokój przemienił się w gniew, wzruszyła ramionami i pytająco spojrzała na Mariana.

— My wszyscy... — Marian zatrzymał się. Jemu także mówienie o Zenku sprawiało wyraźną trudność. — My wszyscy bardzo go polubiliśmy.

— Jacy: wszyscy?

— Były tam jeszcze dwie dziewczyny, Pestka i Ula.

— Bardzo fajne dziewczyny! — wmieszał się prowokacyjnie Julek.

— Cicho bądź! — poskromił brata Marian. Zmarszczył brwi i zastanawiając się nad każdym zdaniem, co Dankę wprowadzało w dodatkowe rozdrażnienie, mówił o Zenku dalej: że zjawił się w Olszynch niespodziewanie, że został tam jakiś czas, bo był ranny w nogę, że jest bardzo dzielny, że...

Julek nie wytrzymał:

— On uratował dziecko! — krzyknął gwałtownie. Choć dopiero co tak dotknięty, że postanowił z Danką nie rozmawiać, włączył się żywiołowo w relację Mariana, tym razem nie dając się już uciszyć. Mówili prawie równocześnie, jak to Zenek zupełnie sam wędrował „przez pół Polski”, jak zamieszkał na wyspie i byli ciągle razem, i zaprzyjaźnili się, i...

Nie bardzo uważnie słuchała tych wywodów, nie robiła wysiłku, by uchwycić kolejność zdarzeń i zrozumieć choć jako tako charakter chłopaka. Jedyne, co miało znaczenie, rysowało się aż nadto wyraźnie: że ci dwaj uwielbiają go. Powzięła do nieznajomego ostrą niechęć — jakby ją oszukał lub skrzywdził, jakby jej zabrał coś, co nie do niego, a do niej powinno przynależeć. Entuzjazm Julka, a nade wszystko wyraz uroczystego skupienia w twarzy Mariana (myślałby kto, że zwierza ważne tajemnice) powiększały z każdą chwilą jej rozgoryczenie. Miała chęć krzyknąć, żeby przestali, że dość tego głupiego trajlowania. opowiastek, które tyle ją obchodzą, co zeszłoroczny śnieg! Siedziała, jednak drętwo, zabawiając się bezmyślnie zwijaniem i rozwijaniem skrawka papieru. Marian, spojrzawszy na

nią raz i drugi, zmieszał się jakoś, dopowiedział nieskładnie parę zdań i umilkł. Julek także stracił rozpęd.

— Żadna dziewczyna takich rzeczy nie rozumie — mruknął wzgardliwie, po czym zdecydowanie oświadczył Marianowi i Dance, że co do niego, to dłużej niż piętnaście minut z tymi łańcuchami nie wytrzyma. — A ty? — zwrócił się oskarżycielsko do dziewczyny. — Dlaczego siedzisz i nic nie robisz?

Wzruszyła ramionami, Marian, podawszy Julkowi kilkanaście pasków papieru, oświadczył sucho, że i tak muszą niedługo kończyć, bo późno.

— Miałaś zrobić jeszcze coś innego — przypomniał Dance z wahaniem. — Jakies inne zabawki.

— A miałam.

— To się musisz pośpieszyć.

— Nie będę ich robić. Odechciało mi się.

— Ale dlaczego

— Bo tak.

Marian umilkł, zaległa niedobra cisza, Julek poświstywał ze złości. Danką sięgnęła po swój łańcuch, przyjrzała mu się i bardzo wolno, jakby mieli godzinę czasu przed sobą, zaczęła wystrzygąc z bibułki nowe gwiazdki i ciąć słomę na małe kawałeczki.

— Kończ już — zwrócił się do Julka Marian. — Zawiesimy, co jest. i trzeba sprzątać.

— Najpierw „elektryczność”! — przypomniał Julek, zrywając się od stołu. — J a to robię!

Wysunęli choinkę na środek pokoju, przynieśli drabinkę, Julek, szczęśliwy, że nareszcie dorwał się do ulubionej roboty, rozmieszczał lampki wśród gałęzi. Marian podawał mu żarówki i dla sprawdzenia, czy działają, włączał światło. Wśród wszystkich tych robót coraz częściej i z coraz większą niecierpliwością spoglądał na Dankę, która nadal jakby nigdy nie tkwiła przy stole, zajęta swoim łańcuchem.

— Słuchaj — odezwał się wreszcie — skończ już.

— Bo co?

— Niedługo obiad. — I najwidoczniej chcąc ją dobrze usposobić dodał zachęcająco: — Lubisz ubierać choinkę? Jeśli tak, to może...

— Nie zależy mi.

— Jak chcesz. W każdym razie z łańcuchami koniec.— Był dotknięty, poznała to po jego tonie i wyrazie twarzy, nie zamierzała się jednak przejmować.

— Co się tak śpieszysz? — spytała i rozsiadłszy się wygodnie, sięgnęła po nożyczki,

— Niedługo przyjdzie ojciec.

— To co? Boisz się swego ojca?

Marian poczerwieniał, stanął przy stole bez ruchu i zdawał się rozważać, co ma odpowiedzieć. Po chwili westchnął jakby bezradnie, wziął pudełko z bombkami i z pomocą Julka zaczął je rozwieszać”. Łańcuch zrobiony z kolorowych kólek został zahaczony u samego szczytu tuż pod srebrną szklaną gwiazdą, po czym udało się omotać nim drzewko aż trzy razy.

— Ale długachny! — sapnął z zadowoleniem Julek. — Teraz jeszcze ten ze słomy. Dawaj, Danko.

Nawet nie drgnęła. Niech się trochę pomęczą, jak są tacy.

— No? — przynaglał mały. — Dawajże.

— Zaraz.

— „Zaraz”, a nawlekasz dalej.

— Robię pętelkę.

— Może być bez pętelki. Zaczepię o gałąź, i już.

Miała ochotę drażnić się z nimi dłużej, ale nieopatrznie rozwarła palce przytrzymujące łańcuch i Julek wyrwał go jej jednym zręcznym ruchem.

— Za pięć druga — z cicha, lecz z naciskiem powiedział do niego Marian. — Zawieszaj, ja posprzątam.

— Danko mogłaby posprzątać! — huknął Julek.

Wstała leniwie i podszedłszy do pieca, oparła się o niego plecami. Marian nie zareagował, milcząc zaczął zbierać ze stołu papiery, klej i stare pudełka, po chwili przyniósł z kuchni szczotkę i śmietniczkę. Zanim zabrał się do zamiatania, Julek gwałtownie wezwał go na pomoc: łańcuch niezręcznie zarzucony splątał się fatalnie i mały nie mógł sobie z nim poradzić.

Danko przyglądała się ich kłopotom z daleka, opanowując chęć, żeby podejść i zwyczajnie po ludzku powiedzieć: „Ja to zrobię, zajmijcie się czym innym”. Poszłoby jej to przecież znacznie szybciej niż im, czuła w palcach, jak należy nitkę przekładać, żeby się wyrównała i ozdobnie zawisła między gałązkami. Tak, palce jej były w pogotowiu, ale... Nie, nie będzie tym chłopcom pomagać! Po co? Na nic się to nie zda.

— Wujek idzie — powiedział nagle Julek, spojrzawszy w okno. Marian drgnął, ogarnął oczami zaśmieconą podłogę. Danko wyprostowała się, czekając. Może zwróci się do niej o pomoc?

— Na miejsce — sucho rozkazał Julkowi Marian, wskazując ruchem głowy, jak należy choinkę ustawić. — Uważaj! — syknął, kiedy drzewko zachybotalo się i omal nie przewróciło. W przedpokoju rozległ się dzwonek, mały pobiegł otworzyć. Marian przykucnąwszy popychał choinkę w kąt między oknem i tapczanem, z trudem pokonywając opór nierównej podłogi. W stronę Danki nie spojrzał nawet przelotnie — jakby jej tu wcale nie było.

Sekunda wahania — i Danka poczuła, że dłużej tego nie wytrzyma. Chwyliła szczotkę i zataczając dla pośpiechu szerokie koła, zgarniała w jedno miejsce skrawki papieru, słomy i bibułki. Z przedpokoju dobiegała rozmowa pana Pietrzyka z Julkiem, Julek gadał coś o choince, pan Pietrzyk pytał, czy wujenka już wróciła.

Marian podniósł się i odwrócił, kiedy Danka zamaszystym ruchem wmiotła barwne śmieci pod komodę. Wyczytała w jego twarzy zdziwienie czy raczej zmieszanie — i właśnie wszedł do pokoju pan Pietrzyk.

— No, jak się macie? — powiedział przychylnie. — Choinka, jak widzę, gotowa. Ale do stołu to powinno już być nakryte, mama i tak dość ma roboty.

Marian nie odpowiedział na tę uwagę ani słowa, a Julek pytał z podnieceniem:

— Wujku, wujek widzi, jakie łańcuchy? Wujek widzi? Fajne, nie?

— Widzę, widzę. Owszem, dość ładnie to wygląda. — Pan Pietrzyk siadł na tapczanie i sięgnął po kaptcie. — Co to jest? — zagadnął nagle ostrym głosem, patrząc w stronę komody. — Co to za porządki?

Danka znieruchomiała, serce zaczęło jej walić ze strachu, jakby to, co zaszło, groziło katastrofą.

— Któż to tak pięknie sprzątał? No?

Stała z głową spuszczoną, sztywna, czując, że spojrzenie pana Pietrzyka bada wszystkich troje po kolei. „Julek zaraz powie, że nic nie wie, nie było go przecież w pokoju” — przeleciało jej przez głowę. Julek milczał jednak, dał się natomiast słyszeć głos pana Pietrzyka:

— To znaczy, że nikt. Rozumiem.

— Spieszyłem się — odezwał się nagle Marian. — Było późno i dlatego...

— Masz w domu zegar, prawda?

— Zaraz sprzątnę.

— Teraz, żeby narobić kurzu? Sprzątniesz po obiedzie. Nakrywajcie do stołu.

Danka szybko wysunęła się z pokoju do kuchni. Po chwili zjawił się tam Marian.

— Nakryję — powiedziała. Ani jedno właściwe słowo nie przychodziło jej na myśl.

— Danka...

Podniosła głowę i choć to było trudne, przez króciutką chwilę patrzyli sobie w oczy. Spojrzenie Mariana miało wyraz szczególny: nie gniewał się na nią, z namysłem i powagą rozważał coś, czego nie mógł pojąć. Może chciał ją zapytać, dlaczego jest taka niemożliwa. Nie zapytał jednak.

— Potrafię nakrywać, naprawdę — powtórzyła bezradnie. W ten tylko sposób, śmieszny i głupi, usiłowała okazać mu swoją skruchę i wdzięczność. Marian zdawał się to rozumieć: otworzył szafkę, szuflady i pokazywał jej, gdzie są talerze, łyżki, widelce, noże, wszystko, czego do obiadu potrzeba.

GOŚĆ

Śniadanie, sprzątanie po śniadaniu, zaraz zaczną się godziny, które mają spędzić we troje. Czym będą wypełnione? Wieczorem, kiedy pani Pietrzykowa mówiła coś Marianowi na ten temat, Danką słuchała radia i teraz nic nie wie, a pytać nie ma ochoty, bo trochę się tych nadchodzących godzin boi. Wczorajszego popołudnia nie zaszło wprawdzie nic przykrego: pan Pietrzyk sprawę przemilczał (śmieci spod komody znikły nie wiadomo kiedy), pani Pietrzykowa poprosiła Dankę o pomoc w kuchni (co było miłe), chłopcy wywędrowali na długo, a kiedy wrócili z jabłkami, w domu zrobił się wesoły rwetes, wszyscy zajęli się rozkładaniem owoców, gdzie tylko się dało. Potem na gwałt kolacja (pani Pietrzykowa szła na nocny dyżur) — i na temat choinki nie padło ani jedno słowo. Uznano widocznie, że skoro gotowa i nieźle wygląda, to w porządku, nikt nie zainteresował się, jak ta wspólna robota przebiegła. Może zresztą w tym domu (czy w innych też?) nie ma zwyczaju rozmawiać o głupstwach, skoro brakuje czasu na rzeczy znacznie ważniejsze?

Bo to rzeczywiście było głupstwo, drobiazg — wmawia w siebie Danką — i dorosłym nic do tego! Tylko że teraz, kiedy znowu są sami, ten drobiazg sprawia, że nie bardzo wiadomo, jak się między nią i chłopcami ułoży. I pomyśleć, że tak dobrze się już zapowiadało! Robili razem łańcuchy, bez kłótni, zgodnie, zaczęli nawet z sobą rozmawiać — i nagle, od chwili kiedy padły słowa o Zenku — wszystko się popsulo.

„Popsulo się”, to tak się mówi, ona sama popsulo. Tylko że, niestety, dopiero dzisiaj sobie to uświadomiła, szkoda, że nie wczoraj. Cóż Marian i Julek winni, że polubili jakiegoś dzielnego chłopaka i cieszą się na jego przyjazd? Wiedziała od początku, że to „babcia Domańska” wyrobiła jej zaproszenie od pani Pietrzykowej, że nikt jej przedtem nie czekał ani pragnął widzieć, ani nawet wiedział o jej istnieniu! Skąd więc prawo do pretensji? Skąd? Przecież to bezdennie głupie!

A jednak na wiadomość o Zenku doznała uczucia, jakby ją ci chłopcy podstępnie oszukali, narazili na wstyd i śmieszność. Musiała się odegrać! Natychmiast, od razu — choćby to nie miało żadnego sensu. Zachowała się obrzydliwie — i chłopcy tak właśnie musieli jej zachowanie ocenić.

A najgorsze — to, co na końcu. Na próżno wmawiała w siebie, że nic się nie stało. Stało się, właśnie że się stało: postąpiła jak tchórz, pozwoliła, żeby Marian wziął jej winę na siebie.

Gdyby przynajmniej wina była poważna, gdyby jej odkrycie groziło czymś istotnym! Wczorajsze „przestępstwo” jest dziecinne, uczeń pierwszej klasy takie popełnia i potem „wstydzi się”. Cóż mogłoby ją spotkać, gdyby się przyznała? Cierpka uwaga, więcej nic —

tylko że wtedy, w tamtym okropnym momencie, kiedy ojciec Mariana patrzył na każdego z nich po kolei, wydawało jej się, że za chwilę padną słowa, których nie będzie mogła znieść: „Naturalnie, czegoż po Dance można się spodziewać?...” Nie chciała ich usłyszeć, za nic, za nic!

Czy możliwe, żeby Marian się tego domyślił? Skąd mógł wiedzieć, jak to jest, kiedy się przyjeżdża do domu jak ten (rodzinnego) i chciałoby się być „swoim” i potrzebnym, a jest się obcym i zbędnym? Każde słowo czy ruch to jakby ślepiec macał ręką, czy trafia, gdzie trzeba — i nikt przy tym nie powinien tego zauważyć, broń Boże! To jest męczące, czasem tak bardzo, że trudno o prawdziwą radość, nawet jeśli się człowiekowi udaje. A jeśli się nie udaje, traci się grunt pod nogami, nie wiadomo, co robić, najlepiej byłoby uciec na koniec świata.

Marian nie doświadczał takich sytuacji, jego życie jest zwyczajne, normalne, z rodzicami, w domu, wszystko jak należy. A jednak przyznał się do tego, czego nie zrobił, żeby jej, Dance, oszczędzić przykrości, zataił swój postępek przed Julkiem i rodzicami i w dodatku nie przypomina o nim ani słowem. Jakby zapomniał. Pamięta, rzecz prosta, nie wiadomo tylko, co o tym wszystkim myśli.

Z jego zachowania nie można wywnioskować nic a nic, jest takie jak przedtem. Może całe zajście po prostu mało go obeszło? „Niemożliwe — protestuje Danka w myśli. — Obeszło go bardzo”. Czula to, czula to doskonale, kiedy w kuchni szepnął jej imię i patrzył na nią z głębokim namysłem.

— Co robimy? — pyta Julek.

— Sprawunki — Marian wyciągnął z kieszeni zmiętą kartkę i westchnąwszy rozprostowuje ją na stole. — Cała kupa.

- Koniecznie teraz właśnie mamy iść do sklepu?

— A kiedy?

— Ja tobym teraz poszedł na lód.

— Mama dziś piecze.

— Nie mówię, że na długo. Poślizgalibyśmy się z godzinę, a wracając kupimy w Samie, co trzeba.

— No... — zamyślił się Marian, skłania się ku projektowi Julka, to widać. — Właściwie można by.

Dankę ogarnia niepokój. Co z nią? Zostanie w domu?

— Umiesz się ślizgać? — zwraca się ku niej Marian.

— Umiem. Ale łyżew nie przywiozłam.

Cisza. Marian rozważa jakąś sprawę, w Julku wywołuje to widoczną niecierpliwość. Czeka na decyzję i wreszcie wybucha:

— No więc jak? To dlatego, że ona nie ma łyżew, mamy nie chodzić na ślizgawkę?

— Możemy iść na sanki.

— Wolę ślizgawkę!

— Julek.

— Co?

To „co” jest obrażone, pełne goryczy. Mały patrzy na Mariana spode łba.

— Wiesz dobrze, co.

Możecie sobie iść na lód — wkracza do sprawy Danka. Pragnęła, żeby wystąpienie zabrzmiało zgodnie, miękko, jakby nic jej nie kosztowało, niestety, głos trochę się załamał i nie wiadomo skąd zjawilo się słówko „sobie”. Opanowała się i dokończyła dzielnie: — Zostanę w domu, wcale mi na ślizgawce nie zależy.

- Słyszysz, Marian?... Jak jej nie zależy, to przecież...

Marian nie daje Julkowi dokończyć, udziela mu braterskiej rady, żeby się nie wygłupiał, i pyta Dankę, czy poszłaby na sanki. Są dwie pary, jedno małe, drugie duże. dwie osoby doskonale się pomieszczą. Więc?

— Mogę iść. ale jeżeli Julek woli łyżwy...

— Pewno, że wolę! Tu są takie stawy, nie masz pojęcia, a jak jest ostra zima, to można i na rzece.

— Po co tyle gadania, jak Danka nie ma łyżew? — zirytował się Marian. — Idź do szopy i wyciągnij sanki.

— A jak przyjedzie Zenek, to też nie pójdziemy na lód. tylko na sanki? — wybucha Julek. — Tak?! Przyjechać do Jurocina i nie ślizgać się! Ładny interes!

— Nie martw się — sucho zwraca się do niego Danka z coraz większym trudem starając się ukryć, co czuje. — Pójdziecie na lód choćby na cały dzień... z tym waszym Zenkiem.

Niechęć do intruza, chwilowo ułagodzona zachowaniem Mariana i własnym względem siebie krytycyzmem, znowu daje o sobie znać. — Ja zostanę w domu. Z największą przyjemnością!

— Danka... — Marian jakiś niepewny, poczerwieniał, widać, że nie bardzo wie, jak się zachować. — Julek! — przerywa zaczęte zdanie. — Mówiłem ci, żebyś wyciągnął sanki z szopy.

Mały na to nic, czyżby uznał, że przeholował? Wątpliwe. W każdym razie wychodzi bez słowa.

— Danka... — Marian znowu się zacina. — Dlaczego się nie ubierasz? Wiesz, Julek... Julek głupio się zachowuje, ja wiem, ale on nie jest taki. Tylko że on się świetnie ślizga, niedawno wygrał jakiś tam wyścig, więc umyślił sobie, że się przed Zenkiem popisie. Wszystko przez to.

— Aha... — Niczego nie można z siebie wydobyć prócz tego mruknięcia na znak, że zrozumiała. Julek został w pewnej mierze wytłumaczony. Dance nie wydaje się to zresztą szczególnie ważne, co innego w zachowaniu Mariana ma dla niej znaczenie: że zauważył jej przykrość i zrobił, co mógł, by ją ułagodzić. Więc jest dobry naprawdę? Pytanie nie nadaje się do głośnego wypowiedzenia. Marian zresztą znowu ma taką twarz, jakby dopiero co rozmawiali o pogodzie, zwyczajną i obojętną. Danka sięga po kurtkę w milczeniu.

— Gotowicie? — pyta Julek, uchylając drzwi.

— Gotowi. — Marian bez pośpiechu naciąga ciepłą wiatrówkę i nauszniaki. — Wiesz? — zwraca się do Danki. — Myślę, że może uda się pożyczyć jakieś łyżwy.

— Dla Danki? — włącza się z nagłym zainteresowaniem Julek.

— Przecież nie dla nas.

-- Od kogo?

— Zastanowię się jeszcze.

Na ulicy, dopóki chodnik jest szeroki i mało ludzi, idą obok siebie we trójkę, chłopcy ciągną sanki. Danka chciałaby ciągnąć razem z Marianem, nie proponuje tego jednak, może by go to peszyło? Nie zna tutejszych obyczajów.

— To daleko... tam gdzie mamy iść?

— Nie — mówi Marian.

— Boisz się, że na końcu świata? — pytanie Julka jest żartobliwe, wcale nie wrogie. Może przyszło mu na myśl, że jeśli zdobędą dodatkowe łyżwy, to na pewno pójdzie na wymarzoną ślizgawkę z Zenkiem? A może po prostu słońce, mróz i ruch wprawiają go w dobry humor?

„Właściwie to tu jest zupełnie ładnie” — uświadamia sobie Danka. Na bocznych uliczkach domy prawie wiejskie, w ogródkach otoczonych płotami — a jak spojrzeć daleko ku przedmieściom, to prawie wszędzie u krańca uliczki widać las. Na jezdniach pustawo, z rzadka przejedzie trzęsący się autobus czy ciężarówka, czasem chłopska fura — i znowu cicho. Nad dachami w bezwietrznej przestrzeni wiotkie i proste smugi dymów.

— Te domki — mówi Danka. — Dziwne jakieś. Ładne.

— Zobaczysz rynek — odpowiada obiecująco Marian. Domki, które na niej robią wrażenie, bo wyglądają, jakby były ze starego obrazka, niedzisiejsze, śmieszne zarazem i

wzruszające, nie są przedmiotem jego dumy. Po paru krokach ruchem głowy wskazuje przecznicę.

— Ośrodek zdrowia. Trochę dalej jest technikum mechaniczne.

— W Jurocinie jest technikum?

— Liceum też.

— Ona pewno wyobraża sobie, że tu nie ma nawet podstawówki — prosto przed siebie, nie wiadomo do kogo mówi Julek.

Danka nie podejmuje zaczepki, uśmiecha się, wcale nie ma chęci na kłótnię. Marian bąknął: — Nie pleć — i idą spokojnie dalej.

Im bliżej owego rynku, tym więcej przechodniów, nieraz trzeba się rozdzielać lub nawet schodzić na jezdnię. Za każdym razem Danka stara się wrócić między Julka i Mariana, jakby to miejsce w środku było dla niej zastrzeżone. Nie jest tak, oczywiście, ale miło pomyśleć, że ktoś z przechodniów, spojrzawszy na nich, maszerujących w ten sposób, dojdzie do przekonania, że są rodziną albo przynajmniej, że się z sobą bardzo przyjaźnią. Na święta przyjeżdżają przecież tylko bliscy, nikomu więc nie przyjdzie na myśl, że ona jest obca i znalazła się tu przypadkiem.

— Serwus — słyszy koło siebie nieznany głos.

— Serwus — odpowiada Marian. Wysoka, tęga dziewczyna mija ich, obrzuciwszy wszystkich troje ciekawym spojrzeniem. Dankę ogarnia nagły niepokój, lęk przed sytuacją, której wcale przedtem nie przewidziała, a która w czasie przemarszu przez to miasteczko, gdzie na pewno wszyscy się znają, może powstać każdej chwili. Gdyby na przykład ta dziewczyna zatrzymała się i spytała Mariana, kim ona, Danka — jest, co wtedy chłopcy powiedzą? Co powie Julek?...

Pewno prawdę. Dlaczegoż by miał zmyślać? Nie przyjdzie mu to w ogóle do głowy.

— Na tę waszą górkę to koniecznie trzeba iść przez rynek?

— Bo co? — zdziwił się Marian.

— Przez rynek najbliżej — mówi Julek.

— Ale tłok — i czując, że to wyjaśnienie brzmi niemądrze, Danka dodaje: — Niewygodnie z sankami.

— Cześć, Marian! — woła puciołowaty blondynek, przecinając jezdnię na ukos. — O, i Julek przyjechał, sie masz, stary. To siostra? Nie wiedziałem, że masz jeszcze drugą.

— Dużo rzeczy jeszcze nie wiesz — odpowiada bez namysłu Julek i szarpnąwszy sanki, nim tamten zdążył zareagować, wysuwa się szybko naprzód.

— Cześć, Henio — żegna wzburzonego blondynka Marian. Znowu idzie, jak szedł. O wymianie zdań, która dopiero co miała miejsce i która najpierw Dankę wzburzyła, a potem rozradowała — ani słowa, żadnego wyjaśnienia.

Mijają rynek; na środku szeroko rozparty budynek ratusza, z boku kościół.

— Widzisz? Z siedemnastego wieku, wieża podobno jeszcze starsza. A fara z piętnastego. Pod tynkiem odkryli malowidła.

— Podoba mi się — mówi Danka. Ubogo to brzmi, nie tak, jak by chciała. — Te kamieniczki z podcieniami też ładne.

— Niedawno odnowione. Za rogiem jest pawilon handlowy, zupełnie nowy.

— To tam, wracając, pójdziemy po sprawunki?

— Tak.

Milczą jakiś czas, za dużo ludzi, żeby rozmawiać. Julek wysforował się naprzód o kilkanaście kroków, idą teraz wąską, odludną uliczką, która wspina się nieznacznie pod górę. U jej krańca jaskrawo bieleje w słońcu śnieżne zbocze.

— Marian.

— No?

— Mówiłeś o tych łyżwach. Ale...

— Co?

— Akurat kto pożyczcy.

— Dlaczego? Normalna rzecz.

— ...Ja nie wiem.

— Żeby tylko pasowały, o to chodzi.

— Od kogo chcesz pożyczyć?

— Mam koleżanki.

— One mnie nie znają.

— Mnie znają. I mamę.

Zwyczajne słowa, zwyczajnie też zabrzmiały, jak wszystko, co mówi Marian, żadnej przechwałki, proste stwierdzenie faktu. „Ludzie mu ufają” — myśli Danka, wie o tym i wcale się temu nie dziwi. A ona, ona sama?... Tak całkowicie to jeszcze mu nie ufa, boi się, choć nie ma żadnego powodu: wczoraj, z tymi śmieciami, zachował się nadzwyczajnie, dzisiaj cały czas jest uważny i miły. Nie wiadomo jednak, czy w końcu człowiek się nie natnie, nie dozna przykrego zawodu, lepiej się pilnować... Ale jak się pilnować, jeśli z każdą chwilą coraz bardziej przy Marianie bezpiecznie?

— Jedna koleżanka mieszka niedaleko stąd, pod lasem — Marian wraca do sprawy łyżew., — Pójdę tam po obiedzie. Nie wiem zresztą, albo ja. albo mama.

— Mama? zaniepokoiła się Danka. — Pewnie twojej mamie nie będzie się chciało.

— Dlaczego? Mama jest...

Urwał, lekko się zaczerwieniwszy, i Danka odgadła od razu. jakiego słowa nie chciał dopowiedzieć. „Babcia Domańska” miała rację, nazywając panią Pietrzykową „dobrym człowiekiem”. No. ale żeby po pracy, kiedy tyle roboty w domu. chciało jej się tracić czas, wychodzić na mróz w drobnej, nieważnej sprawie?

— Zresztą jeśli się nie uda. to przecież nic takiego — stwierdza Danka bohatersko. Tym razem udało się całkowicie, głos nie zadrżał. Marian pominął jej słowa milczeniem, zrozumiał chyba jednak, że skłamała, że naprawdę bardzo jej na łyżwach zależy. Taką w każdym razie żywiła nadzieję.

* * *

— Ale się wleciecie! — przywitał ich Julek, kiedy dobrnęli na szczyt wzgórza. — Byłem już w zagajniku, dwa razy. widzicie? — pokazywał wyżłobione przez saneczki głębokie ślady, wiodące łagodnym zboczem ku niedalekiej skupinie drzew. — Ale tam nie warto, słabo niesie. Pojedziemy na karcznię, prawda?

— Jeśli Danka nie będzie się bała.

— Dlaczego mam się bać?

— W tamtą stronę ostro niesie, stromo jest.

— Niech będzie, co ci szkodzi. Gdzie ta karczma?

— Żadnej karczmy nie ma, tylko miejsce się tak nazywa, bo kiedyś tam stała. Widzisz te dwa świerczki na dole i łączkę? To tam.

— Nie uważam, żeby w tamtą stronę było stromo.

— Zobaczysz po drodze — roześmiał się Julek.

— Z tego miejsca zbocze wygląda łagodnie, fakt — rzekł Marian. — Najważniejsze, żeby nie wpaść na kamienie, śnieg jeszcze niegłęboki. Siadaj — zarządził, ustawivszy sanki na pochyłości.

Zajął pierwsze miejsce, Danka za nim. Odepchnął się silnie — i już jechali w dół. Z początku dość wolno, potem coraz szybciej, aż w końcu wiatr zaczął gwizdać w uszach.

— Dobrze się trzymasz? — krzyknął Marian.

— Dobrze! — odkrzyknęła.

Dobrze się trzymała — i w ogóle było jej dobrze. Cudownie? Cudownie, choć równocześnie bardzo się bała. Parę razy podskoczyli mocno do góry, raz omal nie spadła, ścisnęła więc sanki kolanami z całej siły i kiedy podrzucało ich do góry, czuła teraz w udach gwałtowny ból. To nic, ani syknęła, za dobrze jest, żeby się zdradzać z czymś takim.

— Uważaj teraz! — zawołał Marian. Wpadli na wysoki garb, przez chwilę sanki leciały w powietrzu, poczuła serce w gardle — i znowu z miękkim, równym szumem sunęły w dół. Kiedy zbliżali się ku płaszczyźnie, Marian zahamował i sanki szerokim łukiem podjechały pod pień obwisłego świerka. Wstali, Danka zatoczyła się lekko na zeszywniałych nogach, poczuła zaskoczenie, że przedmioty wokoło nie są w ruchu — i nagle się głośno roześmiała. Nie wiedziała z czego, po prostu tak, ze szczęścia — więc żeby się usprawiedliwić, bąknęła:

— Ale fajnie! Zjedziemy jeszcze raz?

— Jeśli chcesz.

— Chcę.

— Dobra, zjedziemy.

— A gdzie to Julek?

— Pewno się wywalił... jest, jedzie.

Julek wybrał inną drogę niż Marian, nie na świerki, tylko na starą szopę, stojącą na początku drogi do miasta. Zrozumiała dlaczego: ostatni, mały odcinek zbrocza był tu bardzo spadzisty, pozwoliło to Julkowi wjechać na łączkę szybko i efektownie. Przez chwilę zląkała się, że w dbałości o ten efekt wpakuje się na sterzący ze śniegu kołek od płotu — wymiął go jednak, zeskokczył z sanek przed samą ścianą, a teraz szedł ku nim z czerwonymi od mrozu policzkami i bardzo podniecony.

— Te podłe sanki wcale nie niosą! — oświadczył natychmiast, nie mogąc się pogodzić z faktem, że go wyprzedzili.

— Co opowiadasz — mruknął Marian. — Myślałem, że szopę rozwalisz,

— Naprawdę? — Julek rozpogodził się trochę. — Tylko na tym małym kawałku niosło, jak trzeba. Bo twardy śnieg.

Zawrócili pod górę, wędrując zakosami. Marian umiejętnie wymijał zaspę, parę razy zapadli się jednak głęboko, co pozwoliło Dance dokonać odkrycia, że takie nagłe ugięcie się białej powierzchni nie wiadomo dlaczego rozśmiesza i ją, i obu chłopców prawie do łez. Kiedy dobrnęli wreszcie na szczyt wzgórza, Julek spoważniał, wysunął się do przodu i zabiegł drogę Marianowi.

— Słuchaj!... Teraz to ja z tobą zjadę!

— Dlaczego? — mruknął Marian.

— Dlaczego? — powtórzyła za nim Danka, by natychmiast pytania pożałować. Nie należało się odzywać, to sprawa Mariana.

— Jak jadę sam, to nie ma żadnego pędu, żadnego, mówię ci, to dziecinne sanki, lekkie, że nie wiem! — tłumaczył żarliwie Julek. — Słuchaj, jeden raz! Dobrze?

— A Danka? Ma tu czekać?

— To co? Zaraz będziemy z powrotem. No?

Marian poprawia nauszники — i ani słowa. Julek wpatrzony w brata... Może należałoby ułatwić im sytuację, oświadczyć, że ona, Danka, chętnie poczeka, głupstwo, nie ma o czym mówić?

Poczuła, że ktoś, kim chciałaby być, ale nie jest, postąpiłby w taki właśnie sposób. Ona sama — nie, o, nie! Czy nie umówili się z Marianem, że zjadą razem? Umówili się. A teraz okazuje się, że dla Mariana tamte słowa są bez znaczenia! Stoi sobie i oddaje się rozważaniom, czy jechać z Julkiem, czy z nią. Miałaby mu w tym pomagać? Owszem, „pomoże” mu: oświadczy, że wcale jej na sankach nie zależy, w najmniejszym stopniu, absolutnie, zejdzie sobie na dół piechotą. „Powie tak — podnieca sama siebie, by wytrwać w chroniącym ambicję, a więc najszlachetniejszym postanowieniu. — Niech nie myśli, że mnie to już można lekceważyć, jak się komu podoba! Powiem mu to zaraz!”

Nieśmiałe spojrzenie Mariana, jakby miał ją prosić o coś, czego się trochę wstydzi — i półotwarte już usta Danki zwierają się. Ciekawe, jakie usłyszy usprawiedliwienie.

— Danka?... Pojadę z Julkiem, dobrze?

Nie Danka, ale Julek reaguje na to pytanie.

— Co jej się pytasz!

— Julek.

—Co? — bardzo krnąbrnie zabrzmiał ten odzew na braterskie skarcenie. — No, co?

Nie było odpowiedzi. Marian odszedł parę kroków o wystający ze śniegu pniek odbijał z obcasów stwardniały śnieg.

— Julek — przywołał brata nagłaco, choć z cicha.

— No? — Mały zbliżył się i czeka z chmurną twarzą. Danka, która przysiadła tymczasem na sankach i patrzy przed siebie, nie umie się wstrzymać, żeby ku chłopcom nie zerknąć. Julek odął usta, rozgoryczony. Marian jakby nigdy nic, spokojny i opanowany.

— Słuchaj — zaczął, kiedy mały trochę się ku niemu pochylił. — Słuchaj — powtórzył bez gniewu, jak ktoś znacznie starszy do kogoś znacznie młodszego. I ściszywszy głos (za mało, by dźwięk słów do Danki nie dotarł) dodaje z perswazją: — Jak ty się zachowujesz, zastanów się. Przecież ona jest naszym gościem.

Julek przez chwilę nic, zmarszczył tylko brwi,

— Gościem?

— Oczywiście — szepcze Marian. — Powinieneś to rozumieć.

Znowu chwila ciszy.

— Dobra już, dobra...

— No! — słówko Mariana jak przypieczętowanie zgody.

Zawracają, Danką powoli wstaje z sanek, otrzepuje śnieg, udaje, że nie ma pojęcia, o czym mówili, że w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Bawi się podniesioną z ziemi szyszką, usiłując ją rozchylić.

— Nasion to już chyba w niej nie ma, co?

— Chyba nie — odpowiada Marian. — Wysypują się na jesieni.

— A po co ci nasiona? — dziwi się Julek.

— Po nic. Tak sobie.

— Wiewiórka niedawno była — Julek pokazuje rozrzucone pod pniem drzewa twarde rude łuski.

Danka wyobraża sobie wiewiórkę na gałęzi z szyszką w łapkach, przyjemnie byłoby na to popatrzeć. Ale i tak jest przyjemnie, od paru chwil jest bardzo przyjemnie. Rozżalenie, które boleśnie ścisnęło jej serce, znikło, znowu można oddychać lekko i swobodnie.

— Siadaj — zwraca się do niej Marian, ustawiając sanki na skraju zbocza.

— Nie. Zjeżdżaj z Julkiem. Ja poczekam.

— Co? Dlaczego?

— Nie marudźcie, szkoda czasu.

— Przecież to ty miałaś zjechać z Marianem — mówi Julek przełknąwszy i tak dorosłym, grubym głosem, że Danką z trudem wstrzymuje uśmiech.

— Zjadę sobie do zagajnika. Na twoich sankach, jeśli mi pożyczysz. Chyba się pode mną nie załamiam?

— Ale skąd!

Marian przysłuchuje się tej rozmowie z niejaką podejrzliwością, swoim zwyczajem, który Dance udało się już podpatrzeć, wstrzymując się od pytań, które nie prowadziłyby do wyjaśnienia. — No to chodź, Julek, siadaj — decyduje po krótkiej chwili.

— Ja prowadzę! — wykrzykuje Julek.

— Możesz prowadzić.

Już ich nie ma. Przed chwilą wydawało się czymś obraźliwym, nie do przyjęcia, żeby ją mieli zostawić, choćby na parę minut. A teraz, kiedy stało się to z jej własnej inicjatywy,

kiedy dzięki niej Julek przeżywa upragnioną przyjemność (czemu i Marian jest rad), czuje się tak, jakby to ją właśnie spotkało coś radosnego. Niebo, śnieg, świerki, czasem z tych świerków zlatuje skrzący pył... Pięknie. I tak jakoś uroczyście.

Jurocin widać stąd jak na dłoni. Danka bez trudu rozpoznaje rynek z wieżą ratusza, kościół, szkołę, przygląda się uliczkom, usiłując odnaleźć te, które mijala idąc z chłopcami. Niezupełnie się to udaje, plan miasteczka zacierają gęste, choć bezlistne kępy drzew. Wyraźnie zarysowane są tylko dachy.

Przyjemnie patrzeć na dachy, dach to przecież dom.

Który z nich pokrywa dom rodziców Mariana, trudno wiedzieć, najważniejsze, że ten dom stoi tam pomiędzy innymi. I jeśli nawet nie w tej chwili, to za parę godzin pokaże się nad nim cienka strużka dymu, co oznacza, że przynajmniej ktoś jeden z rodziny jest na miejscu i czeka na swoich. No i na gościa, jeśli to gość spodziewany.

„Ona jest naszym gościem” — powiedział do Julka Marian. I to nie było powiedziane „tak sobie”, to znaczyło, że Marian uważa ją za gościa prawdziwego, jak wszystkich, którzy są zaproszeni, najnormalniejszego w świecie. I w dodatku te słowa zabrzmiały szczególnie... Jakby się cieszył, że właśnie ona, Danka, jest gościem w jego domu.

A że się wahał, czy wziąć na sanki Julka, czy ją, to nie dlatego, że ich „umowa” nie miała dla niego znaczenia, tylko że nie chciał zrobić Julkowi przykrości, mały był rozzalony. Właściwie trudno mu się dziwić: z wymarzonej ślizgawki wyszły nici, na sankach zamiast „dorosłej” jazdy z Marianem zjeżdżanie samemu, bez „pędu” i jakiegokolwiek sportowej emocji, a że jest dziecinny, więc takie sprawy są dla niego szalenie ważne. Jest bardzo dziecinny. Te odęte wargi, to spojrzenie pełne goryczy i urazy, z jakim patrzył na nią i na Mariana! Poczula żal, wstyd — i snujące się swobodnie myśli zatrzymały się nagle jak przed przeszkodą.

Jak to się dzieje, że teraz współczuje Julkowi, rozumie go — a kilkanaście minut przedtem jego zachowanie tak ją rozzłościło? Że myślała o nim jak o nieznośnym smarkaczu, który zgłasza głupie pretensje? I jeszcze jedno, najdziwniejsze, trudne do uwierzenia: że w czasie kłótni stało się tak, jakby postępek Julka tam na dole w miasteczku, jego odpowiedź udzielona ciekawskiemu koledze, która wzbudziła w Dance zachwyt i wdzięczność — nigdy nie miały miejsca. Zapomniała o zajściu gruntownie, całkowicie! Więc jej złość może być tak silna i ślepa, że paraliżuje pamięć?

A w stosunku do Mariana... Uznała, że ją zlekceważył, i wbrew temu, czego doświadczyła, nie znalazła ha jego obronę nic a nic! Pragnęła tylko jednego: żeby mu „zajechać za skórę”, dotknąć, niech i jemu będzie przykro!

A potem parę słów powiedzianych ciepłym, miłym głosem: „Ona jest naszym gościem”, tamto pryska, okazuje się nie tylko głupie i bezsensowne, ale i bardzo niesprawiedliwe. „Mam okropne usposobienie — myśli Danka. — Okropne! Przecież tak nie można”.

Gość. Gość powinien być miły — a ona co? Jest tu zaledwie od przedwczoraj, a już parę razy zdążyła zachować się idiotycznie: zaraz po przyjeździe (aż wstyd sobie przypomnieć), wczoraj przy ubieraniu choinki, a dzisiaj — niewiele brakło, a zrobiłaby awanturę o głupstwo!

„Nie będę taka — postanawia. — Będę uprzejma, grzeczna, zgodna i uważna”. Jadąc do Jurocina postanawiała to samo, wtedy robiła to jednak „w ciemno”. „Babcia Domańska” mówiła miłe rzeczy o pani Pietrzykowej, o reszcie rodziny nie wiedziała jednak nic. Teraz Danka wie o rodzinie sporo, przede wszystkim o Marianie i głównie ze względu na niego chciałyby być „dobra”. Sądzi też, że będzie to chyba możliwe. Nawet jak przyjedzie ten Zenek.

Myśl o przyjeździe obcego nie jest przyjemna, tego się sobie nie wmówi, nie należy się jednak go bać. Gdyby powstały jakieś trudności — to jest przecież Marian.

* * *

— Bardzo ładny sklep.

— A coś ty myślała? — po swojemu odezwał się Julek.

Danka uśmiechnęła się, Marian wyjaśnił rzeczowo, że pawilon handlowy zbudowano w Jurocinie zeszłego roku, oprócz Samu jest tam jeszcze fryzjer, apteka, kawiarnia i sklep tekstylny. Biorąc w rękę metalowy koszyk, dodał spojrzawszy ku Dancie porozumiewawczo (co zrobiło jej przyjemność):

— Julek to zupełnie jakby był stąd, a on jest przecież z Siedlec. I Siedlce od Jurocina większe, bo ja wiem, ze trzy razy.

— A ja wolę Jurocin od Siedlec sto razy!

— Może dlatego, że nie chodzisz tu do szkoły — uziemił brata Marian. — Przyjeżdżasz tu na święta.

— Wcale nie dlatego.

— Jurocin jest bardzo ładny — włączyła się do rozmowy Danka.

— Podoba ci się? — spytał uważnie Marian. — Naprawdę?

— Wiesz, tam na górcie, to ja wcale nie zjeżdżałam do zagajnika. Tylko stałam i przyglądałam się. Ale nie mogłam znaleźć twojego domu.

— Pokażę ci, jak tam znowu będziemy.

Zwyczajna rozmowa o zwyczajnych sprawach — a każde zdanie, poza prostą i oczywistą treścią, zdaje się zawierać coś dodatkowego, jakąś zapowiedź. Jaką, to trudno określić, czuje się tylko, że miłą, budzącą ufność do siebie, do Mariana i do tych wspólnych dni, które mają przed sobą.

— Co kupujemy? — pyta Julek.

Marian wydobywa kartkę i odczytuje listę.

— Podzielimy się — zarządza — będzie prędej. Ja idę do spożywczego. Julek niech kupi żarówki, dwie sześćdziesiątki, nylonowy zmywak i cztery spodki pod szklanki. Idź z nim, Danka, mama prosiła, żeby te spodki nie były grube, nie wiem, czy on to przytomnie załatwi.

— Też! — wzrusza ramionami Julek.

— Przypilnuję — mówi zgodnie Danka, choć przyjemniej, rzecz jasna, byłoby z Marianem. — Nie złość się — uśmiecha się do Julka — chłopaki mają prawo nie znać się na takich rzeczach.

Rozstają się, Marian dołącza do kolejki po tłuszcze i sery, a Danka z Julkiem wędrują w drugi koniec rozległego sklepu, między stoiska przemysłowe. Zakup spodków odbywa się bez wahań, jako że są tylko cienkie, zmywaków brak w ogóle, teraz jeszcze żarówki.

— Proszę dwie sześćdziesiątki — Julek zwraca się do ekspedientki swoim „dorosłym”, grubym, sztucznym głosem i natychmiast zupełnie innym, dziecinnym jeszcze pyta Dankę z przejęciem: — Patrz, co to jest? Co to może być?

— Elektryczne lampki. Kieszonkowe.

— Takie cienkie? Coś bujasz.

— Nie. Widziałam takie same w Warszawie.

— U nas w Siedlcach takich nie było. — Informacje Danki w dalszym ciągu nie budzą w Julku zaufania.

— Można obejrzeć? — zwraca się do ekspedientki Danka, chcąc zrobić Julkowi przyjemność; niech weźmie w rękę i niech się przekona.

— Miniaturki — objaśnia uprzejmie ekspedientka. Dostrzegłszy widocznie, że to słowo niewiele mówi, dodaje: — Najmniejsze lampki, jakie nam kiedykolwiek przysłano. Świecą bardzo dobrze.

— Fajnie! Ile to kosztuje?

— Osiemnaście złotych.

Julek wzdycha.

— Fajne, naprawdę. Niewiele co grubsze od ołówka.

No, chodźmy do Mariana. — I obejrawszy się na stoisko z elektrycznymi przyrządami, westchnął sobie jeszcze raz.

* * *

— Danuśka?... — odezwała się znad stolnicy pani Pietrzykowa. Od samego początku to właśnie zdrobnienie sobie dla Danki wymyśliła i wymawia je nie tak zwyczajnie, tylko miło, miękko. W domu tych państwa pod lasem, do których poszły pożyczyć łyżwy, przedstawiła ją „to jest nasza Danuśka”, jakby się znały od dawna. A potem, choć nie miała przecież pojęcia, że Danką boi się pytać, nie dopuściła do żadnych rozmówek na jej temat, opowiedziała coś o szpitalu i zaraz o łyżwach i butach, że podobno Marysia na razie nie jeździ („Tak mi powiedział Marian”), więc gdyby to było możliwe itd. Ci państwo byli, zdaje się, trochę zaskoczeni, ale zaraz powiedzieli: „Dla pani Pietrzykowej wszystko! Nigdy nie zapomnimy, jak się pani naszym dzieckiem w szpitalu opiekowała”. Marysia, bardzo przejęta, pobiegła po łyżwy, odbyło się mierzenie — i już koniec, przeszło szybko i niegroźnie. A powrót? Pani Pietrzykowa zastanawiała się, co jest w domu do roboty, co upiecze, do czego trzeba się zabrać najpierw, jakby Danką mogła coś w tym względzie doradzić. Widocznie nie wyobrażała sobie, że o przygotowaniach do świąt można wiedzieć bardzo niewiele. „Ile to ja razy byłam w święta poza internatem?”... Obliczenie wykazuje, że trzy razy. Niewiele! I nigdy w takim domu jak ten.

— Ach — mówi pani Pietrzykowa — zrobiłam głupstwo, zapomniałam postawić mąkę na piecu, żeby się ogrzała. I nie namoczyłam rodzynek!

„To źle?” — odruchowo chce zapytać Danką. Nie mówi nic, po Co się zdradzać? Przyjemnie jest, strasznie przyjemnie, że mama Mariana traktuje ją jak normalną dziewczynę, która zna się na sprawach domowych. A równocześnie, pewno dlatego, że Danką jest gościem — żadnych zarządzeń, rozkazów, wszystko odbywa się tak, jakby decyzje były wspólne.

— To może teraz je namoczyć?

— Dobrze. Zastanawiam się, czy nie zająć się już makiem.

— Mogę się zająć.

— Trzeba przekręcić przez maszynkę.

— Przekręcę. Tylko nie wiem...

— Jak założyć maszynkę, co? Ja też się muszę dobrze zastanowić, co po kolei, zawsze mi się myli.

„To na pewno nieprawda, mówi tak, żebym się nie peszyła” — myśli Danką. I przychodzi jej na myśl, że przy pani Pietrzykowej nie jest chyba trudno być dobrym. Ludzie są różni,

niektórzy są tacy, że człowiek nie potrafi być dobry w żaden sposób, choćby nawet chciał. Zresztą wtedy najczęściej i nie chce, bo po co?

Pani Pietrzykowa, Marian... Julek też, Julek jest sympatyczny, nie trzeba się tylko zrażać głupstwami. Pan Pietrzyk? Tego nadal nie zna się prawie wcale, jest szorstki, dzisiaj jednak zajrząwszy do kuchni, powiedział: „Widzę, że masz tu dzielną pomocnicę”, i pani Pietrzykowa bardzo ładnie się do niego uśmiechnęła.

„To jest miły dom — myśli Danka, czując radość i spokój, jakiego od dawna nie zaznała. Na przywitanie wygłupiłam się, ale potem już z godziny na godzinę szło Coraz lepiej. Nic złego nie grozi, będzie dobrze”.

ZAMĘT

Kiedy mak został przekręcony, rodzynki przebrane, a ciasto, jak naocznie można było stwierdzić, zaczęło „jechać do góry”, powstała w kuchni ważna kwestia, co w czym się będzie piekło, no i jednej blaszki, szczególnie poręcznej do łamańców, ani rusz nie można było znaleźć.

— Ach! — zakrzyknęła nagle pani Pietrzykowa. — Przecież ta blaszka jest u Dziubałowej.

— U kogo? — pyta Danka, jako że nie wymieniono przy niej tego nazwiska ani razu.

— To nasza najbliższa sąsiadka, wiesz, taki zielony dom z ganeczkiem.

— Wiem.

— Pożyczyłam jej tę blaszkę dwa tygodnie temu. Mogłabym posłać chłopców, ale...

Danka nic, ani słowa, choć wie, że to źle. Należy natychmiast, bez żadnych wahań, oświadczyć, że pójdzie i przyniesie. Cóż wielkiego? Za parę minut będzie z powrotem. Tak, tylko że w ciągu tych paru minut trzeba mówić z kimś obcym, z kimś, kto spojrzy na nią z uwagą, zdziwi się, skąd się w Jurocinie wzięła, i zapewne nie pożałuje sobie dociekliwych pytań. Wynik wiadomy: zaciekawienie szczególnym gatunkiem człowieka, który ona, Danka, sobą przedstawia. Bardzo trudno takie zaciekawienie znieść! Dlaczego chłopcy nie mieliby pójść po tę cholerną blaszkę? Nic im się nie stanie, jeśli przerwą naukę na parę minut.

— Obejdę się jakoś — mówi pani Pietrzykowa pogodnie, przeczekawszy dobrą chwilę. Coś się pod tą rzekomą pogodą kryje. Przykrość? Zawód?

— Ale dlaczego? — podrywa się Danka. — Zaraz przyniosę.

— Pewno ci się nie chce wychodzić na taki mróz.

— Lubię mróz. A dzisiaj jest tylko pięć stopni.

— No to idź i załatw zgrabnie, pani Dziubałowa na pewno się spieszy, że zapomniała oddać.

Danka już przy wieszaku, zdejmuje okrycie. Z pokoju Mariana dobiega znudzony głos Julka, bardzo niegładko, z częstym zahaczaniem się zdający sprawę z przebiegu stosunków polsko-krzyżackich. Głos urywa się nagle, Julek w progu, pełen niespodziewanego ożywienia.

— Dokąd idziesz?

— Do pani Dziubałowej.

— Julek! — woła Marian z głębi mieszkania.

— Zaraz! — odkrzykuje mały. — Po co tam idziesz?

— Przynieść blaszkę do pieczenia.

— Ja mogę przynieść. Polecę raz-dwa.

Zgodzić się?... Pokusa jest silna, uprzejmość Julka wydaje się jednak Dance nieco podejrzana.

— Julek, no! — wzywa Marian.

— Ojej, nie nudź, zaraz przyjdę.

— Julek, chodź no tu do mnie. — Zaproszenie do kuchni nie robi na małym przyjemnego wrażenia.

— Dlaczego mam nie pójść? — uprzedzając atak, zwraca się bojowo do pani Pietrzykowej. Danka, przewidując wynik pertraktacji, wkłada czapkę.

— Obiecałam twoim rodzicom, że Marian cię podciągnie z historii i matematyki, wiesz o tym — mówi pani Pietrzykowa. — Wczoraj nie uczyłeś się wcale, jutro Wilia, i potem dwa dni świąt.

— Wrócę za pięć minut!

— I przez godzinę będziesz opowiadał, że się nie możesz skupić. Już ja cię znam.

— Ale, wujenko!...

— Ale, Juleczku!. No, kochany, idź do Mariana.

Julek robi do Danki minę oznaczającą, że jest w tym domu krzywdzony ciężko i niesprawiedliwie. Ma tak wielką chęć się przelecieć, a ona tak wielką chęć zostać — i nie mogą się rolami zamienić! Trudno, nieraz w życiu . głupio się układa. Śmiesznie też pomyśleć, że według pani Pietrzykowej jej, Dance, nie chce się wyjść z domu przez lenistwo, a jak jest naprawdę, tego nie dowie się, bo skąd? Chociaż jest dobra i choćby nie wiem jak tłumaczyć (co oczywiście nie wchodzi w rachubę), nie uwierzyłyby, że to żadne lenistwo, tylko strach. No tak, strach... Nigdy nie wiadomo, co człowieka od obcych spotka, czy ich słowa nie rozbudzą goryczy, gniewu czy jakiegoś głupiego żalu. (Nie zawsze do ludzi, czasem do siebie — że głupie wyciąga wnioski ze swojej sytuacji i głupio się zachowuje).

Na ulicy ciemno, ta część miasteczka słabo jest oświetlona. Stopnie ganeczku „zielonego domu” ledwo widoczne — blask ulicznej latarni prawie tu nie dociera — trzeba je więc wymacać nogami. Danka puka odważnie, następuje chwila oczekiwania, a tymczasem w głowie układają się zdania, które powinny brzmieć swobodnie i bardzo grzecznie (postanowienie, że będzie „dobra”, zachwiane przez króciutką chwilę, z powrotem nabrało mocy) — a zarazem tak, żeby nie przekształciły się w rozmowę. Kobiety lubią gadać, pani Dziubałowa jako sąsiadka wszystko zapewne chciałaby wiedzieć. „Nie dam się wciągnąć” — postanawia Danka, mobilizując się do oporu.

Po krótkiej chwili okazuje się to, na szczęście, zupełnie niepotrzebne: drzwi uchyla starszy mężczyzna, a wysłuchawszy, o co chodzi, oświadcza po prostu: „Żony nie ma, ale poszukam”. I żadnych pytań, żadnych komentarzy, zupełnie nic! Blacha znaleziona, Danka dziękuje, on dziękuje i to już wszystko.

Jasne wnętrza zamyka się, oślepienie oczy na razie nie widzą nic prócz ciemności i małych żółtawych okienek po obu stronach uliczki. Dopiero po chwili można dostrzec, że niebo lśni mętną szarością, że z otoczki mroku wyłoniły się czarne zarysy domków i płotów, a także — co jest miłe i przyciąga wzrok — że w smugach światła zza szyb miękko, równo, spokojnie pada śnieg. Jak cicho! Nawet własnych kroków prawie nie słychać.

W ostatnich tygodniach mówiło się nieraz: „Żeby tylko w święta było ładnie...” No i jest ładnie. Ślicznie — i już chyba pogoda się nie popsuje, jutro Wigilia.

Wigilia. Dziwny dzień, uroczysty, ważny. Wszyscy się nim przejmują, wszyscy chcą, żeby tego dnia było przyjemnie, serdecznie, miło — a jeśli doznają zawodu, jest im ogromnie przykro. Jej samej niewiele razy było dobrze (tak naprawdę), a parę razy bardzo źle. Dlatego to Danka zawsze się Wigilii trochę boi, choć równocześnie zawsze ma nadzieję, że tym razem będzie lepiej. A teraz, w tym roku?...

„Nie boję się — odpowiedziała sobie, by już po chwili dodać zabobonnie, na wszelki wypadek: — Prawie wcale się nie boję”. Powinno być dobrze! W każdym razie co do niej, zrobi wszystko, wszystko, co w jej mocy, żeby się do wigilijnego nastroju przyczynić,

T jakby to postanowienie należało co prędzej wprowadzić w czyn, Danka przyśpiesza kroku. Dopiero co przewyciężyła się, wbrew strachom postąpiła, jak należy — czyż to nie jest szczęśliwa zapowiedź na najbliższe dni? Osądziła, że tak, na pewno tak! Przebiegła szybko znane podwórze, minęła sionkę, otworzyła drzwi — i pierwsze zdanie, jakie usłyszała, zatrzymało ją w progu.

— Jak mogliśmy kupić, kiedy Danka była z nami cały czas? — głos Julka. — A potem trzeba już było wracać do domu.

— Gdybyście nie poszli na sanki, byłby czas na wszystko. Kiedy to załatwicie?

— Dzisiaj sklepy są otwarte do ósmej — stwierdza Marian. — Zdążymy.

— Ale co jej kupić? — wykrzykuje Julek. — Pojęcia nie mam!

— Marian ci pomoże.

— On też nie wie!

— Wiem. Obmyśliłem sobie.

— A co? — Julek wyraźnie zaintrygowany.

— Zobaczysz.

— Ode mnie też obmyśliłeś?

— Nie. Tylko od siebie.

— Widzi wujenka? To co ja mam zrobić, pytam się!

— A może... — pani Pietrzykowa pełna wahania. — Może korale?

— Korale?!

— Widziałam bardzo ładne, czerwone.

— Nie będę się wygłupiał, żeby jej dawać korale.

— Uważasz, że to nie prezent od chłopaka?

— No pewno. Wujenka, najlepiej niech wujenka sama coś wybierze i kupi ode mnie.

— Ja akurat mam ogromnie dużo czasu na takie rzeczy!. Dobrze, że od wuja i od siebie coś znalazłam. Wasze prezenty to wasza sprawa, trudno i darmo.

— Nie martw się, Julek — odzywa się Marian. — Znajdziemy coś. I chodź już wreszcie.

— Gdzie?

— Jak to gdzie? Skończyć lekcję.

— A nie lepiej' najpierw polecieć do Samu?... Wujenka !

— Która godzina? — pani Pietrzykowa trochę zaniepokojona.

— Po siódmej. I ja już mam tylko jedno zadanie, skończę po powrocie. Albo jutro.

— Oszalałeś? — wtrąca Marian. — Jutro Wigilia.

— Jutro mowy nie ma.— popiera syna pani Pietrzykowa. — Skończysz dziś, zaraz, jak wrócicie. Skończysz?

— Skończę.

Danka przemyka cicho drzwi i biegiem puszcza się przez podwórze do furtki. Tu zatrzymuje się i chwilę czeka. Kiedy od strony sieni rozlegają się kroki chłopców, zawraca ku domowi, jakby nigdy nic.

— O, Danka — od niechcienia mówi Julek. — Byłaś u Dziubałowej?

— Tak.

— A my idziemy po sprawunki... wujenka nas posyła.

— Aha.

Marian ani słowa, sztywny jakiś czy skrępowany, Danka też zresztą nie czuje skłonności do wymiany zdań. Wyminęli się, furtka trzasnęła. Danka znowu staje przed wejściowymi drzwiami. Wziąć za klamkę i znowu będzie w miłym domu, pani Pietrzykowa uśmiechnie się na przywitanie, jak zawsze. Na uśmiech trzeba odpowiedzieć uśmiechem, a wcale nie wiadomo, czy to się uda. Kojący spokój, który Danka czuła w sobie idąc zaśnieżoną uliczką, ufność, że dalsze dni łącznie z najważniejszym, z Wigilią, niczym jej nie grożą, że miną

przyjemnie i gładko — to już znikło. W myślach bezład, wzruszenie i wdzięczność płaczą się z uczuciem goryczy. I przecież ten nieprzyjemny stan ducha trzeba za wszelką cenę ukryć.

— Danka?

— Tak.

— Jak się udało?

— Dobrze. — Na razie rozmowa między kuchnią i przedpokojem, przerywana zdejmowaniem palta, wytrząsaniem śniegu z włosów i nakładaniem kapci. Czynności te przedłużają się ponad potrzebę, musi tak być, opanowanie się wymaga czasu.

— Wiesz, ciasto wyrosło doskonale i już w piecu, mam nadzieję, że nam nie opadnie. Daj blaszkę, zaraz wałkuję ciasto na łamańce. Potem już tylko pozmywać, cośmy zabrudziły przy robocie, i będzie koniec.

— Pozmywam, proszę pani.

— Doskonale, może najpierw szklanki i talerze, ja tymczasem zajrzę do strucli.

Chwila ciszy. Danka sięga po brudne naczynia, jedno po drugim, jak leci, Jak to Marian powiedział?... „Ja już sobie obmyśliłem!”... To znaczy, że nie zdecydował od razu, byle zbyć, to znaczy, że się zastanawiał.

— Kochanie, prosiłam, żeby najpierw szklanki...

— Przepraszam.

— Nic, głupstwo, najlepiej odstawiaj je od razu na miejsce, na półkę, zrobi się nam luźniej. Szklanki na tę wyższą półkę.

— Przepraszam...

— Ależ nie masz za co! — roześmiała się pani Pietrzykowa. — Strucle ładnie się rumienią, widziałaś?

— Co?... Aha, tak.

— Danuśka?

— Szklanki już... — mówi prędko Danka nie odchylając się znad miski. — To teraz widelce i noże.

— Co ci jest? Jakaś jesteś nieswoja.

— Nie... Naprawdę!

— Może zmęczyłaś się na sankach, parę godzin na mrozie, a nie jesteś przyzwyczajona. Pewno ci się bardzo chce spać.

— Tak, trochę.

Danka z ulgą podchwytuje przypuszczenie pani Pietrzykowej, jeśli komuś chce się spać, nie ma chęci do rozmowy, każdy to rozumie. Naprawdę nie jest senna ani trochę, w głowie aż

się kłębi. Gdyby mogła wyjść, być sama, pomyśleć spokojnie! Nie da rady, trzeba przeczekać, na szczęście opanowała się już jakoś, chłopcy, jak wrócą, niczego chyba nie zauważą. A okazja do „spokojnego pomyślenia”, jak wiele razy w jej życiu, znajdzie się nie wcześniej niż przy zgaszonym świetle — pod kołdrą.

Wyjściowe drzwi otwarte i zamknięte niegłośno, pewno pan Pietrzyk. Pani Pietrzykowa pośpiesznie i nieco nerwowo chowa do szafy porozstawiane naczynia, rozwiesza ścierki, jedna chwila i kuchnia wygląda tak, jakby żadna większa robota nie miała tu miejsca. Tylko bijące od pieca gorąco i zapach ciasta zdradzają, co się dzieje.

— No, jak tam?

— Jak widzisz — odpowiada pani Pietrzykowa z wyraźnym zadowoleniem z siebie. — Ciasto się już dopieka.

— Zdążysz? j

— Naturalnie, mówiłam ci przecież, że zdążę. Danusia bardzo mi pomogła.

Pochwałę miło usłyszeć, choć wymiana zdań wydaje się Dance trochę dziwna. Jakby pani Pietrzykowa pragnęła mężowi udowodnić coś, z czym on nie bardzo mógł czy może się pogodzić.

— A gdzie to chłopcy?

— Poszli do sklepu.

— Teraz? O tej porze?

— Sama ich posłałam.

— Po co? — pytanie brzmi ostro, odpowiedź też powinna być ostra. To przecież śmieszne, żeby dorosły musiał tłumaczyć się z takiego głupstwa.

— ...Po żarówki — mówi pani Pietrzykowa jak najbardziej łagodzącym tonem. — Wiesz, w przedpokoju się przepaliła.

— Mogli pójść wcześniej, a teraz coś ci pomóc.

Żarówki zostały kupione przed obiadem... „Na moją intencję to kłamstwo” — myśli Danka i zasłyszana rozmowa przypomina jej się zdanie po zdaniu.

Chłopcy wracają, Julek robi sporo sztucznego hałasu, gada o śniegu, o taksówce, która się stuknęła z autobusem, bo wpadła w-poślizg, o tłoku. Pan Pietrzyk bezceremonialnie przerywa te opowieści, kolacja ma być prędko, „a potem sami pozmywacie”.

— Pozmywają, pozmywają, nie bój się — znowu łagodzi pani Pietrzykowa.

— Przecież zawsze zmywam, jak mama ma dyżur — sucho mówi w stronę ojca Marian.

— To wujenka jeszcze dziś ma dyżur? — wykrzykuje ze zdumieniem Julek. — Na całą noc? Przed samymi świętami?

— Ano, właśnie — mówi pan Pietrzyk, co brzmi jak oskarżenie pod adresem wszystkich obecnych.

— Normalna rzecz w pielęgniarskim fachu — pogodnie odpowiada Julkowi pani Pietrzykowa. — Święta nie święta, ktoś z chorymi musi być. No, kochani, nakrywajcie do stołu, a ja wyjmę ciasto.

— Pachnie rajsko! - ocenia Julek i Dance nie po raz pierwszy przychodzi na myśl, że jest miły, a w naprężonej sytuacji po prostu nieoceniony. Ona sama nie potrafi się zdobyć ani na jedno słowo, Marian, który wrócił do domu bardzo zadowolony, wyraźnie teraz spochmurniał. Mijają się, nakrywają do stołu, nic do siebie nie mówiąc, Marian ze spuszczoneymi oczami, jakby się wstydził. Ale cóż on winien? Trudno, żeby odpowiadał za swego ojca! Może należałoby mu to podszeptać, niech się nie martwi... Sprawa zbyt jest jednak delikatna, by Danką mogła się na to ważyć.

— Nie przejmuj się — usłyszała niespodziewanie, kiedy się zetknęli w przedpokoju.

— Kiedy ja nic... — odszepnęła poruszona. — Naprawdę!

Zauważył więc, że jest nieswoja, że nastrój wywołany przez pana Pietrzyka jest dla niej przykry, chciał jej dodać ducha, pomóc! Ogarnęło ją pełne wdzięczności wzruszenie, że Marian jest taki. Taki dobry. I zaraz, jak niepokojące echo tych uczuć, przemknęła myśl o tym, co on sobie dla niej „obmyślił”.

* * *

Kiedy chłopcy poszli do siebie, zgasło światło i tylko pod drzwiami od kuchni, gdzie pan Pietrzyk czytał gazety, błyszczała jasna smuga, myśl o prezentach ogarnęła Dankę całkowicie. Patrzyła w ciemność, wytrzeźwiona przez uporczywe pragnienie, żeby poradzić sobie, jakoś wybrnąć. Ale jak?...

Spodziewała się, jadąc tutaj, że coś tam na gwiazdkę od nieznannej pani Pietrzykowej dostanie, podobnie jak dostawała od „babci Domańskiej”, jeśli właśnie u niej była na wigilii. Przypuszczenie, rzecz prosta, było przyjemne, pobudzało różne nadzieje (bezsensowne, nigdy nie otrzymuje się prezentów, których się pragnie najbardziej, nic jednak nie szkodzi trochę pomarzyć). Na przykład, żeby to było coś niezwykłego, co wzbudzi żywiołową zazdrość koleżanek. Po powrocie ze świąt wszystko się pokazuje, omawia, ocenia, a te z dziewcząt, którym ofiarowano słodczyce i więcej nic, wymyślają na gwałt różne pilne zajęcia, żeby „nie mieć czasu” i nie brać w rozmowach udziału (nikogo, oczywiście, nie zwiódą). Danką zna to na pamięć i z obserwacji, i z własnego doświadczenia, wiele razy zasmakowała świątecznej i poświątecznej goryczy.

Tym razem nie grozi jej to wcale, pani Pietrzykowa przygotowała coś od siebie i swego męża, a ton słów wskazywał, że nie chodzi o torebkę cukierków czy pierników. Można by się cieszyć, a tymczasem zamiast radości jest taka gorycz, taka gorycz... I wstyd. Człowiek schowałby się w mysią dziurę.

Nie ma mysiej dziury, nie ma żadnego miejsca, dokąd można by uciec — i wrócić po wszystkim. Zostanie tu, w tym pokoju, na oczach pana Pietrzyka, pani Pietrzykowej, Julka i Mariana. Czy uroczystość odbędzie się *przy stole, czy koło choinki, przed wigilią czy po, tego nie wiadomo; każda rodzina ma pod tym względem własne obyczaje. Interesowało ją to, kilkakrotnie snuła na ten temat dłuższe rozważania wyobrażając sobie różne możliwości. A teraz wszystkie nie znane i niepewne szczegóły straciły znaczenie wobec tego, co żadnym wątpliwościom nie Ulega: że wręczą jej podarunki państwo Pietrzykowie, Julek i Marian. A ona nic — nikomu.

I w dodatku wszyscy uznają to za zupełnie naturalne!

Czegóż innego można się spodziewać po takiej dziewczynie jak ona? Nie ma rodziców, nie ma domu, nie ma pieniędzy. Zrozumiało, że dopóki nie otrzyma prezentów, które są dla niej, jej ręce będą puste, jej rzeczą jest czekać, by się napełniły ich darami — a potem okazać wdzięczność. W stosunku do niej nikt wdzięczności nie poczuje, nie będzie miał za co.

„Nie chcę!” — myśli Danka, zbuntowana przeciw niesprawiedliwości losu. Nie chodzi o dorosłych! Głos pani Pietrzykowej, uśmiech, słowa, choćby takie jak: „Ciasto się nam ładnie piecze”... Pani Pietrzykowej nie będzie przykro dziękować, wcale nie. Jej mężowi trochę, nie jest zbyt sympatyczny, zdarzało się już jednak, że gwiazdkowe prezenty dostawała od prawie nie znanych ludzi, wychowawców, członków jakiegoś komitetu, nie bardzo to miłe, ale można znieść. Tak czy inaczej, normalna rzecz, żeby dorośli coś młodym na gwiazdkę ofiarowali, sami podkreślają, że święta są przede wszystkim dla dzieci (nie jest się dzieckiem, ale do dorosłości daleko), tą sprawą można by się nie przejmować.

Ale Julek i Marian?...

Julek i Marian! Ani na jedną chwilę nie przyszło jej do głowy, że i oni dadzą jej prezenty. Nie wiedziała, kto pierwszy wystąpił z tą inicjatywą, chłopcy czy pani Pietrzykowa, w każdym razie uznano to za konieczne i Marian zaczął „obmyślać sobie”, co jej ofiarować. Polecieli do sklepu, wrócili przejęci, Marian — dopóki ojciec nie popsuł mu humoru — był rad, jakby znalazł właśnie to, o co mu chodziło.

Jutro, w jakiejś odpowiedniej, uroczystej chwili prezenty zostaną jej wręczone. „Masz, Danka, to dla ciebie”, „Danka, proszę, weź” lub jakieś inne podobne słowa; ona na to

grzecznie, najgrzeczniej, jak się tego po niej spodziewają: „Dziękuję, Julku”, „Dziękuję, Marianie”.

I trzeba będzie udawać, że jest rozradowana. Oni też będą udawać — tylko coś zupełnie innego: że nie zostali skrzywdzeni. Marian zachowa się tak, jakby w ogóle nie zauważył, że niczego w zamian za swój prezent nie dostał, nawet Julek będzie się pewno starał, żeby nie okazać zawodu. I wszystko to nic a nic nie pomoże, wiadomo, co każdy z nich będzie o niej myślał.

Julek — to już trudno. Ale Marian!... Znowu i znowu nasuwały się pamięci jego słowa i spojrzenia, jego postęпки, wszystko, co zaszło między nimi od wejścia w drzwi tego domu do szepniętego w przedpokoju: „Nie przejmuj się”.

Parę razy zachowała się inaczej, niż trzeba, i Marian parę razy był na nią zły, ale nigdy... Co nigdy? Zamyśliła się, zagłębiła w siebie, by znaleźć odpowiedź na to pytanie. Po jakimś czasie wiedziała już: nigdy jej nie poniżył. Chyba w ogóle nie przychodzi mu do głowy, że mógłby ją poniżyć — chociaż wie dobrze, że nikt nie stanie w jej obronie. Opiekuje się nią, bo gościem trzeba się opiekować — a nie dlatego, że jej „współczuje”. O tym, że ona nie ma domu, zdaje się nie pamiętać, chwilami można by nawet sądzić, że ten fakt wcale nie dotarł do jego świadomości.

No, ale jutro uświadomi to sobie w całej pełni, zobaczy, jakiego rodzaju jest ona gościem. Wyobraził sobie, że takim jak wszyscy, a skoro on w to wierzył, to ona uwierzyła także, i zaraz okazało się, że „być dobrą” wcale nie jest tak bardzo trudno. Nawet zawiść o Zenka udało się opanować, po cóż zresztą miała się o niego martwić, skoro chłopak pokaże się dopiero w pierwsze święto? Sądziła, że najważniejsza jest Wigilia. Najważniejsza — tak, a teraz wiadomo już, że i najgorsza. Aż dziwnie pomyśleć, że parę godzin temu, idąc ciemną uliczką i patrząc w oświetlone okna tego domu. wyobrażała sobie, że nie ma się czego bać, że wszystko dobrze się układa i dalej się ułoży!

Ułoży się, naturalnie: „Dziękuję panu”, „Dziękuję pani”, „Dziękuję, Julku”, „Dziękuję, Marianie”, potem zachwyty nad tym, co się otrzymało, „wdzięczność”, „radość”...

„Nie chcę!” Poczula gwałtowny protest, usiadła na łóżku, wyprostowana, napięta, jakby miała przed sobą kogoś, kto temu wszystkiemu zawinił. Trwała tak długą chwilę, patrząc w ciemność bez zmrużenia powiek, aż w oczach zakręciły się łzy. I nagle myśli Danki zmieniły kierunek.

Jałowe gorzkie rozważania rozwiały się, uczucie buntu zanikło. Wszystkie siły ducha, energia, dobra wola, odwaga skupiły się na jednym: jakim sposobem sobie poradzić. Bo że musi sobie poradzić, to nie ulegało już żadnym wątpliwościom.

Usnęła, kiedy „sposób” został wynaleziony i cały bieg sprawy dokładnie zaplanowany.

* * *

— Może trzeba coś załatwić? Coś kupić? — spytała Danka, zmywając naczynia po pośpiesznie zjedzonym śniadaniu. — Mogę pójść zaraz.

— Chyba już nic, ale może coś mi się jeszcze przypomni. — Odpowiedź pani Pietrzykowej brzmiała niezdecydowanie i Danka nabrała nieco nadziei, że otrzyma polecenie, które pozwoli wybiec na miasto. — Ja naprawdę bardzo chętnie — dorzuciła przekonywująco, choć nie bez wyrzutów sumienia: jej uprzejmość była w gruncie rzeczy oszustwem, a nie jest przyjemnie oszukiwać kogoś takiego jak pani Pietrzykowa. Cóż jednak począć, jeśli nie ma innej rady?

— Skończę z rybą i chwilę pomyślę.

— Bardzo jest pani zmęczona po nocnym dyżurze?

— Nie był najgorszy, chwilowo na naszym oddziale są tylko dwie ciężko chore. Jedna poczuła się gorzej, wzywałam dyżurnego lekarza i zrobiliśmy zabieg. Posiedziałam sobie przy niej, uspokoiła się, potem nic poważniejszego, na szczęście, nie zaszło. Ale bywają takie noce, że nie daj Boże, dzwonek za dzwonkiem i trzeba natychmiast decydować, co najpilniejsze. W ogóle w nocy pracuje się w daleko większym napięciu niż w dzień. A najgorsze ze wszystkiego, to jak chory cierpi i nic mu nie można pomóc! Tego to nie lubię, bardzo nie lubię!

Ostatnie zdanie zabrzmiało tak, jakby nie o szpitalnych pacjentach była mowa, tylko o rodzinie, o przyjaciółach... Danka podniosła oczy i z kąta nad zlewem patrzyła na pochyloną nad stołem okrągłą twarz, okoloną siwiejącymi, puszystymi włosami, ani ładną, ani brzydką, zazwyczaj rumianą, teraz wyraźnie pobladłą, a mimo to pogodną — i poczuła się nieswojo. Pani Pietrzykowa mówi z nią jak z kimś dorosłym, a zarazem bliskim, opowiada o swoim zawodzie, spodziewając się zainteresowania i oddźwięku, gdyby ją poprosić, opowiedziałaby chętnie dużo więcej, przeżyła w szpitalu niejednen ciekawy wypadek czy niezwykłą sytuację i przypuszcza, że te sprawy mogłyby Dankę zainteresować. W zasadzie ma rację, tak niewiele wie się o życiu, które płynie poza internatem i szkołą, tak rzadko ma się okazję mówić o nich z kimś budzącym zaufanie i mądrym! Danka pełna jest gotowości do takiej rozmowy — ale nie teraz, nie teraz! Potem, kiedy tamtą sprawę będzie miała za sobą, uda się może wrócić do tematu, na przykład zapytać o szkołę pielęgniarek, o wybór zawodu, wszystko jedno o co. byle nawiązać, byle pani Pietrzykowej nie przyszło na myśl, że jej zwierzenia minęły bez oddźwięku!

— Już wszystko pozmywałam — oznajmiła Danka, wycierając ręce. I pragnąc przyspieszyć domowe decyzje pyta, pełna gotowości: — To co teraz mam zrobić?

— No, wypadaloby ładnie sprzątnąć pokój, przetrzeć podłogę, zetrzeć kurz.

Danka znieruchomiała. Sprzątać pokój — to znaczy zostać w domu, i to na dłużej, a przecież ona musi wyjść, musi! Jak najprędzej, zanim wrócą chłopcy, nie ją przecież, ale Mariana czy Julka posłano by na miasto, gdyby się to okazało potrzebne.

— Ale... — bąknęła i umilkła, zląkszy się, że pani Pietrzykowa zauważy jej napięcie.

— Co?

— Nie, nic, pomyślałam tylko, że jeśli trzeba coś załatwić, to może lepiej teraz, przed sprzątnaniem.

— Kiedy nic już chyba nie potrzeba. Chłopcy przyniosą pieczywo, poszli do piekarni.

— Wiem.

— Długo nie wracają, przed samymi świętami zawsze jest kolejka po świeży chleb.

— Więc nigdzie nie trzeba iść?...

— Wiem, że chętnie byś się przeleciała — odzywa się pani Pietrzykowa z uśmiechem, choć widać, że jest nierada — wcale ci nie bronię. Sama posprzątam, zdążę, nie martw się.

Danka poczuła, że czerwieni się aż po nasadę włosów.

— Co znowu, proszę pani! — zaprotestowała prawie niegrzecznie, a w każdym razie o wiele bardziej szorstko, niżby należało. Speszona tym jeszcze bardziej niż przed chwilą, sięgnęła porywczo po szczotkę i ścierkę do kurzu.

— Danuśka?... — oschłość znikła, w głosie pani Pietrzykowej serdeczne, przenikliwe zdziwienie.

Danka ani słowa. Nie może przecież nic wyjaśnić, niczym się usprawiedliwić. Wyjmuje śmietniczkę ze znanego już sobie miejsca koło komina i pyta pośpiesznie:

— A może trzeba zapastować?

— Ach, nie.

Co począć? Zamiatając i ścierając kurze Danka rozpaczliwie szuka sposobu wybrnięcia z sytuacji. Rano, kiedy chłopcy zbierali się do wyjścia po chleb i mówiło się, że to „potrwa”, była najpewniejsza, że znajdzie się dla niej taki czy inny sprawunek do załatwienia, i nie obmyśliła sobie żadnego pretekstu, żadnego kłamstwa, które pozwoliłoby ulotnić się z domu w możliwie naturalny sposób. Teraz było na to za późno. Niedługo na wszystko będzie za późno!... Więc? Zostawić sprzątnanie i skorzystać z chwilowej nieuwagi pani Pietrzykowej włożyć palto i wybiec? Można by, zdarza się nieraz, że drzwi od kuchni są zamknięte, zwłaszcza jak się coś smaży czy gotuje. Ale co powiedzieć po powrocie? A jeśli pani

Pietrzykowa wyjrzy nagle do przedpokoju i zobaczy ją wychodzącą?... Nie, na to nie można się narazić, za nic w świecie.

Tylko że żaden inny sposób w ogóle nie przychodzi do głowy, a jeśli się go nie znajdzie — trzeba zrezygnować. Zrezygnować — czyli wieczorem będzie tak, jak to sobie w nocy najdokładniej wyobraziła: „Dziękuję pani”, „Dziękuję panu”, „Dziękuję, Julku”, „Dziękuję. Marianie...” Ach, za nic!

Jeszcze tylko kurz z komody i podmieść koło choinki, bo trochę igieł nasypało się na podłogę, a tymczasem z kuchni dobiega dźwięk blaszanej pokrywy od wiadra i jakaś puszka toczy się po podłodze.

— Ten Julek! — z lekką irytacją mówi do siebie pani Pietrzykowa.

Danka staje w progu kuchni: wiadro wyciągnięte na środek, pełne po brzegi, pani Pietrzykowa podnosi z podłogi i z trudem ładuje do środka puszkę po pomidorach i butelkę po oleju.

— Julek obiecał mi, że wyrzuci śmieci, ale naturalnie zapomniał!

— To ja wyrzucę.

— Skończyłaś sprzątanie?

— Zaraz skończę.

— To może najpierw skończ, dobrze? Nie wiem dokładnie, o której przyjdzie dziś mój mąż, a nie chciałabym...

Sens nie dokończonych słów jest dla Danki jasny: pan Pietrzyk powinien zastać mieszkanie w stanie uporządkowanym i błyszczącym. Ten układ rzeczy wydaje się jej dziwaczny i niesprawiedliwy (jako że pani Pietrzykowa także pracuje) — a w tej chwili opóźnia upragnione znalezienie się poza domem. Trudno, trzeba się poddać, nie ma rady. I tak okazja spadła jak z nieba.

— Dobrze, zaraz będę gotowa.

Byłoby oczywiście lepiej, żeby ją posłano gdzieś dalej, na przykład po sprawunki, co zabrałoby więcej czasu — ale tak czy tak — teraz już sobie poradzi. A co powie po powrocie? Ach. mniejsza z tym. zastanowi się po drodze.

— Już — Danka wiesza szczotkę na haczyku i sięga po wiadro.

— Ale weź palto. Wczoraj wyleciałaś na podwórze bez niczego, nie można tak.

— Wezmę.

Polecenie bardzo jest Dance na rękę, można się ciepło ubrać przez „posłuszeństwo”. Gdyby zrobiła to z własnej inicjatywy, pani Pietrzykowa mogłaby powziąć jakieś podejrzenie, wyczuła przecież, że Danka bardzo ma ochotę wyjść.

Śmietnik znajduje się niedaleko furtki, nie jest to przewiewny budynek, jakie widuje się w dużych osiedlach, tylko po prostu wielka skrzynia z klapą. Podnieść ją i wysypać śmieci jest sprawą jednej chwili — a co zrobić z wiadrem? Nie można ani odnieść go do domu, ani zostawić tutaj, w widocznym miejscu. Drwarka! Tam będzie najlepiej. Jest otwarta, stoją w niej różne graty. „Dobrze” — ocenia Danka, rozsunąwszy nieco kosze i skrzynki; wciśniętego pod ścianę wiadra nikt nie zobaczy. Teraz szybko na ulicę. Spojrzenie w lewo, czy nie nadciągają chłopcy (co za szczęście, że piekarnia jest w zupełnie innej stronie niż pawilon), w prawo, czy nie wraca do domu pan Pietrzyk. Nikogo — więc teraz pędem ku rynkowi. Chłopcy nie grożą już, natomiast na pana Pietrzyka trzeba uważać, nie wiadomo, jakimi ulicami będzie szedł — ale że jest wysoki, tęgi i rusza się ociężale, łatwo go dostrzec z daleka i skryć się w jakimś zakamarku.

Droga do rynku, znana już i dobrze zapamiętana, nie budzi wątpliwości; Danka nie obchodzi go wokoło, przecina szeroką jezdnię na ukos, choć jak na senne miasteczko ruch jest dość duży. Nadszedły właśnie autobusy z dworca oraz inne, dalekobieżne, krążą też samochody osobowe, które w zwykły dzień widuje się tu bardzo rzadko. Na chodnikach pełno, przed kioskami „Ruchu” kolejki po ostatni świąteczny „Express”, drzwi sklepów i sklepików co chwila otwierają się i zamykają w pośpiechu, nastrój prawdziwie przedświąteczny.

Ostatni zakręt i Danka ma pawilon przed sobą. Widać przez szyby, że przed ladą kawiarni zakręcona kolejka, ci, którzy nie pieką w domu, przyszli po świąteczne ciasto, w Samie tłok niesłychany, kupujący obstąpili stoiska żywnościowe, a także i te, gdzie można nabyć drobiazgi nadające się na prezenty. To dobrze, Danka nie była pewna, czy w tym dziale nie będzie przypadkiem pusto.

Już tylko pchnąć drzwi — i nagle ogarnia Dankę taki strach, taki okropny strach, że nie ma siły podnieść ręki. Nie wejdzie, nie zrobi tego, boi się! Przemyślała wszystko, podjęła decyzję, nieodwołalną, jak sądziła, a teraz...

— No? — słyszy za sobą zniecierpliwiony głos. Zorientowała się, że tarasuje wejście, tuż za nią jakaś stara kobieta, jest już i druga, z dzieckiem, obok staruszek. — No? Proszę wchodzić, a jak nie!

Krok naprzód i już jest we wnętrzu, oszołomiona, jakby znalazła się tu wbrew woli i chęci. Wepchnięta w środek ruchliwej rzeszy kupujących, potrącana przez tych, którym się śpieszy, którzy wiedzą, czego im trzeba, po co sięgnąć ręką i o co spytać ekspedientkę — stoi jak kołek, a po chwili kieruje się odruchowo w bok, gdzie jest luźniej, pod stoisko z dżemami i sokami <, i nieco już opanowana zaczyna się przyglądać słoikom, które ma przed oczami,

jakby odczytywała każdą etykietę po kolei. „Spokój! — mówi sobie. — Przede wszystkim spokój”. Trzeba wziąć się w garść, inaczej z całego przedsięwzięcia nic nie będzie. Opowieści Feli, które podczas nocnych rozważań tak dokładnie się Dance przypominały, znowu odzywają w pamięci: „Najważniejsza jest mina: jak już jestem blisko tego, co mi się chce ściągnąć, wyglądam jak aniołek, patrzę w siną dal, że niby nic z tego, co pod ręką, wcale mnie nie obchodzi”. „I nie boisz się? — spytała Felę Henia. — Ja bym umarła ze strachu”. „Jak się boję, to zaraz sobie mówię: a właśnie, że wezmę, i już. Tak na przekór. To bardzo pomaga”.

„Na przekór”. Danka nie jest pewna, czy i jej ten przepis okaże się pomocny. W każdym razie, choć nogi ma miękkie, jak po chorobie, odrywa się od stoiska z dżemami i znowu otoczona tłumem kieruje się w drugi kraniec sklepu, tam gdzie poprzedniego dnia Julek kupował żarówki.

Po drodze stoisko z pasmanterią, muśnięty przelotnym spojrzeniem niebieski, cienki szalik wywołuje coś w rodzaju nie wydanego głosem westchnienia: „W sam raz dla pani Pietrzykowej”, usługuna wyobraźnia podsuwa obraz okolonej siwiejącymi włosami twarzy, zaskoczonej i rozradowanej, zaraz padnie pytanie: „To naprawdę dla mnie?...” „Naturalnie — zabrzmiała wymyślona odpowiedź. — Nie wiem tylko, czy się pani podoba...”

„Głupstwa” — ocenia Danka te marzenia, a na głupstwa teraz nie czas. Jeszcze dwa, trzy kroki, zakręt i przed oczami lada sklepowa zastawiona drobnym sprzętem w metalowych i plastikowych koszykach. Tutaj. Maleńkie latarki, które tak się Julkowi podobały — z samego brzegu. Ekspedientka, zajęta, pokazuje jakiejś pani komplet choinkowego oświetlenia, z drugiej strony zasłaniają Dankę od sklepu czyjeś szerokie plecy. Wyciągnąć rękę i już — tylko że serce zaczyna walić, jakby wbrew nakazom woli i rozumu samodzielnie postanowiło wszcząć alarm i cały plan obrócić wniwecz. Danka martwieje, nogi słabną i upłynie długa chwila, zanim zda sobie sprawę, że tylko jej jednej i nikomu więcej nieposłuszne serce dało o sobie znać.

„A właśnie, że wezmę”. Prostuje się, nie trzeba robić niewinnej miny, nikt na nią nie patrzy, nadal jest zabezpieczona z dwóch stron. Zdecydowanym ruchem sięga po latarkę, ogląda ją, jakby zastanawiając się, czy warto kupić... Nikt nie reaguje, ręka z latarką wędruje do kieszeni.

Głęboki oddech, przytający, rzecz prosta. Udało się! Pierwsze udało się, i nawet szybko. Teraz drugie.

Trzeba przesunąć się naprzód, wyminąć dział z drobiazgami z plastiku i jeszcze jeden, z różnego rodzaju żelastwem. Lada z papeterią jest dalej. Z tyłu, na półkach, zeszyty, bruliony i

teczki; z przodu, na samej ladzie, ołówki, pióra i długopisy, niektóre w otwartych pudełkach, inne dobrane kolorami, w zgrabnych plastikowych kubeczkach. Te zielone, z błyszczącą skuwką, najładniejsze, z których jeden, jak to już w nocy postanowiła, będzie dla Mariana, leżą w płaskim czarnym pudełku. Jest ich kilkanaście, jeśli jeden ubędzie, nikt tego nie zauważy. Ale przed stoiskiem osób niewiele: trzy, teraz czwarta. Pytają o teczki, o wieczne pióra, o długopisy także, tworzą niewielką i niecierpliwą kolejkę. Ekspedientka podaje mechanicznie, co komu potrzeba, a jeśli odwraca się od lady, to tylko na sekundę i zaraz zmęczonym, ale uważnym spojrzeniem ogarnia kupujących.

Trzeba czekać. Danką stara się robić „niewinną minę”, spogląda na półki, jakby tam właśnie spodziewała się dostrzec coś, co ją interesuje. Niestety, jedni klienci odeszli, nowych nadal mało, sytuacja bez zmian. Jak długo można tu tkwić nic nie kupując? Jeszcze trochę, a zachowanie Danki zwróci uwagę, ekspedientka zacznie się dziwić, a może i powźmie niebezpieczne podejrzenia.

Jedyna rada — wycofać się i zza innych stoisk upatrywać odpowiedniego momentu. Może w ogóle taki moment nie nadejdzie? Do zamknięcia sklepu wprowadzie daleko, tylko że każda stracona minuta utrudnia powrót, trzeba przecież będzie wytłumaczyć niespodziewane, nie zapowiedziane ani jednym słówkiem wyjście na miasto. Jeśli pan Pietrzyk jeszcze w pracy, jakoś to pójdzie, a jeśli jest w domu? Żadnego pomysłu, żadnego, myśli jak sparaliżowane... „Poczekam postanawia twardo, opanowując całą siłą woli narastający z każdą chwilą wewnętrzny popłoch. — Jeszcze poczekam. A o tamtym będę myślała później, nie teraz”.

Przy stoisku z papeterią trochę więcej ludzi. Dorośli, dwoje dzieci, którym jeszcze w ostatnich godzinach przed gwiazdką zachciało się kolorowej bibułki, jakaś pani prosi o papierowe serwetki. Danką zbliża się z wolna, starając się znaleźć tuż obok pudełka z zielonymi długopisami. Widzi je — ma je przed sobą. Czy wziąć któryś w rękę, oglądać jak przedtem latarkę, udając, że ma zamiar go kupić?... Lepiej nie, ekspedientka na pewno zwróciłaby na nią uwagę i śledziła do końca wszystkie jej poczynania. Dankę ogarnia bezwład woli, nie jest w stanie podjąć decyzji, uświadamia sobie, że krąży koło stoiska okropnie już długo, czuje, że nie panuje nad wyrazem twarzy, każdy, kto na nią spojrzy, odgadnie bez trudu jej zamysły. „Wyglądam jak aniołek” — przypominają się słowa Feli, ale jakże to zrobić, kiedy takie napięcie, taki strach!...

Nagle gdzieś z tyłu, w oddalonej części pomieszczenia, rozlega się straszliwy rumor spadających na kamienną posadzkę blaszanych naczyń i tłukącego się szkła. Wszystkie głowy odwracają się w stronę źródła hałasu, słysząc krzyki, ekspedientki wybiegają między stoiska, usiłując dojrzeć, co się stało.

W najgęstszym tłumie, między głównym wejściem i stoiskami z żywnością, wybucha histeryczna kłótnia, kto potrącił, kto winien, kto będzie płacił, jakieś dziecko zanoszą się rozdzierającym szlochem, ktoś donośnym głosem wzywa kierownika. Sprzedawanie i kupowanie ulega zawieszeniu jak za wspólną umową, kasjerki nie przyjmują pieniędzy, wszyscy interesują się tylko jednym: niespodziewaną awanturą.

Kiedy wszczął się cały ten rwetes, Danka drgnęła jak inni i jak inni odwróciła głowę — by w sekundę potem przysunąć się do lady. Szansa! Ekspedientka znikła, klienci odwróceni. Wyciągnęła rękę, wyjęła z pudełka zielony długopis i całą siłą woli opanowując niepokój, przyjrzała mu się uważnie, jakby oceniając wady i zalety przedmiotu. Żadnej reakcji!... Nikt się nią nie interesuje, nikogo w pobliżu nie ma. Pochyliła głowę, zerknęła spod rzęs w głąb sklepu i zdecydowanym ruchem wsunęła długopis do kieszeni. Uf! Po wszystkim. Wyprostowała się — i zobaczyła wpatrzony w nią z uwagą szary, bystre oczy.

Widział, rozpoznała to natychmiast! Strach ścisną żołądek, nad wargami krople potu, dostanie torsji, zemdleje?... Nie może się ruszyć, nogi jak z ołowiu. Co robić? Co teraz robić? Chłopak nie rusza się także, stoi oparty o boczną ściankę lady. Skąd się tu wziął? Musiał podejść od tyłu, obserwował ją, a teraz ma ją przed sobą. Patrzy, zastanawiając się, jak z nią postąpić. Odruchowo, gestem obrony przycisnęła ręką wypukłą kieszeń palta.

— Uważaj! — syknął z cicha, stojąc koło niej ramię w ramię.

Ekspedientka wracała pośpiesznie, prawie biegła, niespokojnym spojrzeniem ogarniając ladę i półki.

— Kupujesz tu coś? — głośno i swobodnie zwrócił się do Danki chłopak. — Bo jak nie, to chodźmy.

Spojrzała ku niemu ze zdumieniem, niezdolna do odpowiedzi.

Zniecierpliwił się, pchnął ją lekko ramieniem, mówiąc:

— Późno już, idziemy.

„Dokąd? — pomyślała z lękiem, nie ruszając się z miejsca. — Dokąd on chce mnie zaprowadzić?”

Pochylił się nad nią i wyczekawszy chwili, kiedy powracający do stoiska klienci na nowo obstąpili ekspedientkę, szepnął nie poruszając prawie wargami:

— Zachowujesz się jak idiotka. Chodź.

Pociągnięcie za rękaw było mocne, nie mogła trwać w oporze bez zwrócenia na siebie uwagi. Kiedy spomiędzy tłumu, gęstniejącego szybko wokół stoisk, wysunęli się ku przejściu, skierował ją ruchem ręki ku drzwiom. „Więc nie do kierownika” — pomyślała z ulgą — i nagle ogarnęła ją nowa fala przerażenia: zaprowadzi ją na milicję! Jak mu uciec? Jest wyższy

od niej, silniejszy, starszy — i na pewno zna miasto na pamięć. Może jednak się uda? Jeżeli na rynku nadal jest tak rojno, jak było... Szybko, żeby tego nie spostrzegł, spojrzała ku wylotowi ulicy.

— Nie potrzebujesz uciekać — odezwał się natychmiast. — Nie mam zamiaru cię gonić.

Poczuła, że mówi prawdę — i natychmiast niepojętym, tajemniczym sposobem ulga, której doznała, przemieniła się we wściekłość.

— Więc po co się mnie czepiasz? — wybuchnęła. — O co ci chodzi?

Szedł obok niej nie odzywając się, wcale tymi słowami nie obrażony.

— Odczep się, słyszysz?

Pomilczawszy chwilę, rzekł spokojnie:

— Zaraz się odczepię. Chcę ci tylko powiedzieć, że to głupie, co zrobiłaś.

— Nic nie zrobiłam!

— Niewiele brakowało, a wpadłabyś.

— Wcale nie.

— A zresztą, takie rzeczy... — mówił z namysłem — to się nie opłaca. W ogóle.

— Dużo ty tam wiesz! — odpowiedziała z pogardą.

Znowu szedł w milczeniu, wzbudzając w niej coraz większą niecierpliwość. Niechże sobie idzie, do diabła, przecież jej się śpieszy!

— Gdzie mieszkasz?

— Chcesz adresu?! — krzyknęła ze złością. — Naturalnie ! Żeby zameldować, co trzeba, mamusi i tatusiowi!

Chłopak zatrzymał się nagle.

— Nie — odezwał się cicho. — Na pewno nie. Zapytałem bez zastanowienia. Bywaj. I — przerwał na chwilę — i pamiętaj, że nie warto tak... Wierz mi.

Zawrócił na pięcie, odchodził, nie oglądając się. Danka patrzyła za nim, zbита z tropu, doznając uczucia, że coś się stało „nie tak”... Ale nie ma czasu nad tym rozmyślać, pędem teraz do domu!

* * *

— Danusiu?! — zakrzyknęła z cicha pani Pietrzykowa. — Gdzieżeś ty była?

— Przepraszam — bąknęła Danka, stawiając puste wiadro koło zlewu. — Wyrzuciłam śmieci, a potem... potem chciałam trochę wyjrzeć na rynek, więc...

— No i wyjrzałaś na rynek — odezwał się od progu pan Pietrzyk — a domową robotą niech się zajmie ktoś inny.

— Przecież prawie wszystko zrobione — sprostowała szybko pani Pietrzykowa.

— Owszem, twoimi rękami.

Matka Mariana znieruchomiła, widać było, że zawsze taka spokojna tym razem opanowuje się z trudem.

— Romku, proszę cię...

— Dobrze już, dobrze — mruknął. — Chodzi o to, żeby młodzi nie myśleli tylko p sobie.

Danka stała z pochyloną głową czując, jak wzbiera w niej dławiące uczucie, podobne do nienawiści. „Moralizator!” — myślała w pasji. Gdyby wiedział, co przed chwilą przeżyła — żeby uniknąć upokorzenia, żeby być jak wszyscy! Gdyby wiedział, jak z człowiekiem bywa, jeśli życie od początku ułoży mu się na bakier, zupełnie inaczej niż powinno! Dorosły, a o prawdziwym życiu wie tyle, co nic!

Niedobra cisza trwała już dłuższą chwilę, kiedy nagle wpadli do sieni chłopcy.

— Ale była kolejka, o rany! — wołał z przedpokoju Julek. — Myślałem, że do wieczora będziemy stali!

Marian, zrzućwszy wiatrówkę, stanął w progu kuchni. Popatrzył na Dankę, na matkę, na ojca, potem znowu na Dankę, z każdą chwilą coraz bardziej zaniepokojony.

— Czy coś się stało? — spytał z cicha. — Co się stało?

— Ależ nic! — odpowiedziała mu szybko matka. — Wszystko w zupełnym porządku. Tatko, jak widzisz, już w domu, udało mu się wrócić wcześniej; bardzo się z tego ucieszyłam.

Po tych dziwnych słowach pan Pietrzyk wycofał się z kuchni do pokoju. Czy możliwe, żeby zrobiło mu się wstyd?... Taką w każdym razie miał minę.

— Zараż dostaniecie coś gorącego — mówiła dalej matka Mariana. — Trzeba się rozgrzać. Julek, słuchaj no, śmieci to Danka dziś za ciebie musiała wyrzucić.

— Zapomniałem na śmierć!

— Danuśka, wiesz, co nas teraz czeka? Okropność! Uszka do barszczu!

— Wujenko, dla Mariana trzy porcje! Dodatkowo! — błaznował Julek.

— A dla ciebie trzy dodatkowe porcje maku, wiem, wiem. A ty — ten zwrot odnosił się do Danki — co lubisz z wigilijnych dań najbardziej?...

— Czy ja wiem? — bąknęła Danka zaskoczona. — Chyba także mak...

— Świetnie, maku będzie dużo. No, szybko, chłopaki, zaraz was stąd przepędzimy.

— A co mamy robić? pytał Julek.

— Zajmijcie się choinką, trzeba ją przecież wysunąć na pokój. A niedługo nakrywanie.

Marian nie mówił nic, Danka odniosła wrażenie, że wrócił już do równowagi. Był jak zawsze, może tylko trochę bardziej uroczyście.

„Co mi tam pan Pietrzyk! — pomyślała. - Nieważne!” Wyraz niepokoju, niepokoju o nią, tak wyraźny w twarzy Mariana, kiedy wszedł do kuchni i patrzył na ich troje po kolei — wyrównywał doznaną przykrość.

Czy ucieszy się zielonym długopisem? Miała nadzieję, że tak. A co do Julka, to wiedziała przecież, że marzył o latarce. Nie bała się już wigilijnego wieczoru, wcale a wcale!

SPOTKANIE

— Widzisz? Te dwa nie mają ani jednej plamki' w słowach Julka zabrzmiała taka duma, jakby to on sam był właścicielem wspaniałej angorskiej pary. Białe jak śnieg!

Aha — Danka siedząc na pniaku do rąbania drzewa przygląda się z zajęciem, jak liście kapusty, chrzęszczące i twarde, znikają szybko w ruchliwych króliczych pyszczkach. — A mnie najbardziej się podoba ten z czarnym uchem.

— To nie angora — oświadcza ze znawstwem Julek.

— Ale jest zabawny. Można go wziąć na kolana? podniosła oczy na Mariana, tak jaskrawo niebieskie i lśniące, że aż go to zmieszało. Głupie uczucie! I nawet dobrze nie wiadomo, czy przyjemne, czy przykre.

— Weź. naturalnie.

— Ale nie tak! wrzasnął Julek, kiedy wyciągnęła ręce jak po kota albo szczeniaka. — Króle podnosi się za uszy!

— Za uszy?... — sposób najwyraźniej wydaje się dziewczynie zarówno brutalny, jak trudny do wykonania. Jak to: za uszy?

— Siądź wygodnie, to ci go podam — rzekł Marian. Przysunąwszy się do klatki, ujął w dłoń białe i czarne ucho i zdecydowanym ruchem poderwał do góry. Królik, wydobyty na zewnątrz, zwisał z jego ręki, niemy i ogłupiały, trzępiąc nieporadnie tylnymi nogami.

— Nie. nie! zaprotestowała Danka cofając się. — Dlaczego ty tak?...

— Nie bój się Marian posadził jej zwierzątko na kolanach. Tak właśnie trzeba, nic mu nie będzie.

— Mówiłem przecież wtrącił swoje Julek. Jakoż, zgodnie z przewidywaniem chłopców, królik nie doznał krzywdy i nawet ocenił nową sytuację jako pomyślną: powiercił się krótką chwilę, a poczęstowany kawałkiem marchwi zabrał się do jedzenia z wyraźnym przekonaniem. Danka. spokojnie już i chyba równie zadowolona jak on. gładziła pieścotliwie lśniące futro albo podłożywszy dłoń pod długie białe-czarne ucho przyglądała się aksamitnym włoskom okrywającym je od zewnątrz i delikatnej siatce różowych żyłek, rysujących się od środka.

— To jest ładnie zrobione, prawda? odezwała się z namysłem.

— Jak to: zrobione? Julek z dezaprobatą wzruszył ramionami. — Przez kogo?

Marianowi słowa Danki. choć dziwaczne, wydawały się miłe.

— Przecież to tylko takie powiedzenie wyjaśnił Julkowi pobłażliwie.

— Ale nielogiczne. Niemądre.

Jeśli Danka ostro teraz małemu odpowie, kłótnia gotowa, zaniepokoił się z lekka Marian. Nie. nie ma obawy: zerknęła na Julka i ciągle głaszcząc królika, mówi z wyraźnym rozbawieniem:

— Masz rację. Okropnie nielogiczne! Mina Julka wskazuje, że nie jest pewny, czy się tu z niego nie kpi.

— E tam! przecina rozmowę ratując honor zlekceważeniem tematu. — Macie zamiar tak tu siedzieć?

— A dlaczego mamy tu nie siedzieć? dziwi się Marian.

— Tu jest przyjemnie mówi Danka.

— To sobie siedźcie. Ja lecę na ulicę.

— Po co?

— Tak sobie... — i zaraz, jako że ukrywanie prawdziwych intencji i uczuć nie leży w Julka naturze, dodaje z nadzieją: — Może spotkam Zenka?

— Ale skąd! Jeszcze za wcześnie.

— Nic mi nie szkodzi się przelecieć.

— Jak sobie chcesz.

— Zajrzę na przystanek autobusowy i wracam.

Marian podrzucił królikom nową porcję i przyciągnąwszy z kąta drewnianą skrzynkę usiadł naprzeciwko Danki. Przez chwilę słychać było chrzęst kroków Julka na śniegu, trzasnęła furtka i już żadnych dźwięków, zupełna cisza. Trochę nawet jakby sztywne i uroczyste. Czy dlatego, że świąteczna? A może dlatego, że zostali we dwoje, zupełnie sami? Marian jest temu rad, nie chciałby za nic, żeby ktoś nagle nadszedł czy ich stąd odwołał — a równocześnie jest mu nieswojo. Zastanawiał się przecież nie raz, nie dwa, czy się tak kiedy nie zdarzy, żeby mieć Dankę przed sobą, patrzeć na nią, powiedzieć jej... No i właśnie okazja nadeszła, kto wie, czy się kiedy powtórzy, a on ani słowa! W dodatku, zamiast dobrze się dziewczynie przyjrzeć (wczoraj przed zaśnięciem nie wszystkie szczegóły jej twarzy mógł sobie przypomnieć), wlepia, jak idiota, oczy w ziemię i boi się je podnieść, i im dłużej to trwa, tym trudniej wybrnąć, odezwać się czy poruszyć.

— Marian?

— Co?

— Można dać mu jeszcze coś do jedzenia?

Pytanie Danki wygląda na pretekst, milczenie ciąży jej widocznie tak samo, jak jemu. Tak czy inaczej, dobrze, że się odezwała, troszkę już teraz lżej. A może i ona ma coś szczególnego do powiedzenia, coś, z czym zwlekała do chwili, kiedy będą sami? Domysł jest słuszny, bo

podsunąwszy królikowi kawałek kapuścianego liścia, pochyla głowę tak nisko, że włosy zakrywają jej twarz prawie całkowicie, i pyta:

— Bardzo lubisz tego Zenka. prawda?

— Tak.

— Cieszysz się, że tu będzie?

— ...Tak. — Tym razem odpowiedź nie jest równie szybka jak poprzednia. Marian zdaje sobie z tego sprawę, miesza się jak przyłapany na czymś niewłaściwym, choć nikt przecież nie wie, co się w nim dzieje. A dzieje się dziwnie, inaczej, niż to sobie jeszcze kilka dni temu wyobrażał. Piętrzyły się wtedy przed nim różne trudności, wiedział jednak, czego pragnie, wiedział z absolutną pewnością: być z Zenkiem i zrobić wszystko, co można, żeby zawrzeć z nim przyjaźń. I chociaż sam uznał, że skoro Danka została zaproszona, to powinna przyjechać, i że chcąc czy nie chcąc, należy ją otoczyć opieką — myśli jego w dalszym ciągu biegły ku Zenkowi, ku chwili, kiedy zjawi się w ich domu i kiedy zacznie się dziać to, co najważniejsze.

Potem, nie bardzo wiadomo od kiedy, to jednoznaczne nastawienie zaczęło się chwiać. Nie od razu, po trochu, prawie niepostrzeżenie... Jakiś czas myślał nawet, że to nic ważnego, przelotne chwile, które nie mają znaczenia. Ale wczoraj, wczoraj wieczorem uświadomił sobie, że zmieniło się naprawdę. „Jutro tu będzie” — myślał o Zenku czując wyraźny niepokój. Niepokój?... Dlaczego?~ Nie wiedział i dotąd nie wie. Jeżeli przedtem troszczył się o coś w związku z Danką i Zenkiem, to o to, że Danka będzie im zawadzać, niełatwo znaleźć sposób, żeby się dziewczyny pozbyć, zwłaszcza w świąteczne dni. A teraz, czy teraz nie jest tak, jakby nie Danka dla Zenka, ale Zenek w stosunku do Danki miał stać się „zawadą”? „Nie!” — odpowiedział sobie, nie chcąc się z tym stanem rzeczy pogodzić. Najlepszy dowód — że wcale nie pragnie, by Zenek się Dance nie podobał. Powinien jej się podobać. Ale jeśli spodoba jej się ba rdzo?. Tak bardzo, że Marian w ogóle przestanie się liczyć? Wtedy nie na niego, tylko na Zenka kierować się będą jej niebieskie spojrzenia, takie choćby jak wczorajsze zza choinki, kiedy jej dziękował za długopis, i takie słowa, jakie usłyszał na dobranoc.

Właściwie byłoby to całkiem zrozumiałe, nie Marianowi się z Zenkiem równać — tylko że nie sposób się z tym pogodzić. Czuł, że mu się to nie uda. Nie chciał, żeby się udało.

Męczyło go też uczucie, że żywiąc swoje dziwaczne obawy dopuszcza się czegoś podobnego do zdrady. Zna Dankę zaledwie parę dni, i starczyło ich, by zatruć radość spotkania z chłopakiem, z którym przeżył tak wiele i w którym chciał zdobyć przyjaciela. A może — tu serce Mariana zaczęło bić szybciej, jakby zamiast iść spokojnie, puścił się

biegiem — może jego niepokój o Dankę jest bezpodstawny, może stało się tak, że on coś dla niej znaczy? Przecież wczoraj...

— Zamyśliłeś się.

Zmieszany, spojrział na nią szybko i spytał bez zastanowienia, byle coś powiedzieć:

— Lubisz hodować zwierzęta?

— Ja?

Poczuł, że głupio się wyrwał, więc chcąc ratować sytuację napomknął od niechcienia, że co do niego, to bardzo lubi, za to wielu jego kolegom nie przyszłoby wcale do głowy zajmować się królami czy gołębiami albo choćby psem i kotem. Niektórzy to nawet brzydzą się zwierząt.

— Miałam raz kota — rzekła Danka. Po chwili, jakby dla wyjaśnienia, dodała: — Przez trzy dni.

— Co się z nim stało?

— Nic, zdechł.

Powiedziała to obojętnie, oschle, jakby ją to wcale nie obeszło. Marianowi zrobiło się nieprzyjemnie.

— Znalazłam go w pojemniku na śmieci, ktoś go tam pewno wyrzucił. Strasznie był zapchlony, okropnie — informowała dalej Danka. Miał ochotę jej przerwać, zacząć mówić o czymś innym, zamilkła jednak sama z siebie. Dopiero po dłuższej chwili dopowiedziała cicho: — Był taki malutki... I wcale nie chciał jeść.

Znowu go zaskoczyła, nie spodziewał się takiego zakończenia historii. Milczał stropiony nie wiedząc, czym ją „pocieszyć”. Jedyne, co mógł zrobić, to zmienić temat.

— W Olszynch, wiesz, tam gdzie jeździmy na wakacje, był taki pies. Bezpański, wcale do ludzi nie podchodził. No, ale potem się z nami oswoił... Uła go oswoiła, nazywał się Dunaj. Julek twierdził z początku, że dziewczyny nie nadają się do „załogi wyspy” — uśmiechnął się pobłaźliwie. — Potem się z nimi pogodził.

— Kto mieszkał na tej wyspie?

— Nikt. Tylko Zenek — przez jakiś czas.

— Więc właściwie to była wyspa bezludna.

— Tak. — I przypomniawszy sobie jej zielone drzewa, gęste krzewy i czysty nurt rzeczki naokoło, Marian westchnął z głębi serca: — Wspaniała!

— Na przyszły rok znowu pojedziecie do Olszyn — powiedziała Danka z namysłem. Nic w tych słowach nie było szczególnego, ich brzmienie sprawiło jednak, że Marian zawstydził

się swego wybuchu. Gdyby mógł powiedzieć jej: „Pojedziesz z nami”, to w porządku, ale tak?... Patrzyła przed siebie, skupiona, jak ktoś, kto marzy o czymś dalekim i niedostępnym.

Trzasnęła furtka i zaraz na całe podwórze rozległ się zdyszany, wzburzony głos Julka:

— No, i Zenka nie ma!

Stanąwszy na progu drwalki, powtórzył z rozgoryczeniem :

— Nie ma go, słyszycie?

— Nie martw się — rzekł Marian. — Przecież dopiero po dziesiątej. Nie zmarłaś? — zwrócił się do Danki.

— Nie. Ale może lepiej wrócić do mieszkania.

— Ja nie wracam — oświadczył natychmiast Julek. — Będę czekał na przystanku. Moglibyście iść ze mną!

Marian spojrzał pytająco na Dankę.

— Twoja mama chce mnie zabrać do jakiegoś pana Józefa.

— Pewno dlatego, że pan Józef także znał kiedyś panią Domańską. Mama zawsze zanosি mu na święta kawałek ciasta.

— Jeśli go teraz nie spotkam, to już nie wiem! — za krzyknął Julek zawracając ku furtce.

— Nie może się tego waszego Zenka doczekać — uśmiechnęła się z przymusem Danka. — Ty pewno tak samo.

— Ja?... — Marian zawahał się, niejasne uczucia znowu dały o sobie znać. — Ja też, naturalnie.

Kiedy weszli do mieszkania, okazało się, że mama, zajęta w kuchni, będzie wolna dopiero za jakieś pół godziny.

— Chodźmy do mnie — zaproponował Marian. — Obejrzymy książki.

— Dobrze.

* * *

Siedli obok siebie przy stoliku, Marian sięgnął po „Wyprawę Kon-Tiki”, na którą od dawna już czekał i bardzo się nią ucieszył. Oglądali obrazki, Danka zdawała się jednak myśleć o czymś innym.

— Poczekaj... — odezwała się znienacka. — Zaraz przyjdę.

— Dobrze.

Czekał rozglądając się po swoim pokoju. Od mamy szalik, od ojca „Kon-Tiki” i nowy tom „Świata w przekroju” (ojciec lubi ofiarowywać poważne książki, takie „na przyszłość”; choć nie od razu się je przeczyta, przyjemnie je gromadzić), od Julka klaser. Wszystko to, rozłożone na tapczanie, przypomina wigilijny wieczór. Jest jeszcze jeden prezent — ten

jednak został schowany do szuflady. Wczoraj wszyscy go naturalnie oglądali, nie było rady. i Marian z trudem doczekał chwili, żeby tu przyjść, wydobyć małe plastikowe pudełeczko, które do tej pory nie miało wyraźnego przeznaczenia, a teraz świetnie się przydało. Na dokładniejsze oglądanie nie było czasu (należało co prędzej wrócić do pokoju rodziców), mógł to zrobić dopiero dzisiaj rano, po obudzeniu, kiedy Julek jeszcze spał.

Teraz znowu zachciało mu się wziąć długopis do ręki. Sięgnąwszy po stary zeszyt, zaczął mazać na okładce kreski, kółka, litery. Nie myślał o tym, co robi, myślał o Dance. Jak ona bacznie się przyglądała, kiedy stał przed nią. trzymając w ręku dopiero co otrzymany długopis i nie wiedząc, jak się zachować! Zmieszany, bąkał, że dziękuje, że bardzo się cieszy. „Naprawdę się cieszysz?” — spytała z takim przejęciem, jakby szło o coś bardzo ważnego. „Naprawdę. Mam czerwony i czarny, a zielonego nie”. Głupio powiedziane (ale to z powodu zaskoczenia), przecież gdyby miał zielony, też by się tym nowym cieszył, że to od niej. i w ogóle. Dlatego właśnie obmyśliłam, że dam ci taki”. Uśmiechnęła się i zaraz zwróciła się do Julka, że ma coś i dla niego. Zaczął szaleć, oświetlał latarką wszystkie ciemne kąty w mieszkaniu, kładł się na podłodze, żeby zajrzeć pod szafę. A w Dankę jakby coś wstąpiło, stała się kimś zupełnie innym niż przez wszystkie te dni, śmiała się, oczy jej błyszczały! Czy możliwe, że była szczęśliwa?... W każdym razie była rozradowana, wesola. Oglądała na nowo swoje prezenty (przyjęła je trochę sztywno, rodzicom i Julkowi było może przez chwilę przykro), teraz dopiero zdawało się docierać do jej świadomości, że naprawdę należą do niej. Przymierzyła apaszkę od mamy, włożyła korale od ojca, próbowała Julkowych kredek. Tylko po pamiętnik nie sięgnęła ani razu, schowała go natychmiast do walizki. Nie zmartwił się tym: wiedział i tak, że sprawił jej przyjemność, zaczerwieniła się, kiedy go jej dawał, poruszyła ustami i choć nie usłyszał ani jednego słowa, czuł, że jest wzruszona. Udało się, trafił w dziesiątkę!

Rodzice także byli radzi, a kiedy Danka rozbawiła się na całego, śmieli się wesoło i ojciec raz czy dwa spojrział na mamę, jakby był jej za coś wdzięczny. Tak to w każdym razie wyglądało.

— Słuchaj — odezwała się od progu Danką, a Marian aż drgnął, zaabsorbowany wigilijnymi wspomnieniami.

— No?

— Mam do ciebie prośbę. — Położyła na stole granatowy albumik i podsuwając go, spytała: — Wpiszesz mi się?

Milczał nie wiedząc, co odpowiedzieć. Przychodziło mu do głowy, że Danką go o to poprosi, i na wszelki wypadek postanowił obmyślić odpowiednie słowa, nie zdążył jednak

niczego porządnego ułożyć. Więc napisać byle co? Zwykle tak się robi — tylko że w danym wypadku nie powinno być jak zwykle.

— Może będziesz zbierać autografy? — odezwał się, żeby odwlec trudną chwilę. — W Warszawie nieraz chyba masz okazję?

— No tak, na kiermaszu książek. W każdym razie byle komu nie dam się tu wpisywać, nie myśl. A ty... napisz mi, że to od ciebie, dobrze?

— Dobrze. — Sięgnął po zielony długopis, nie zabierał się jednak do pisania. — Do szkoły go nie wezmę. Mowy nie ma.

— Dlaczego?

— Mógłbym go zgubić. Nie chcę go zgubić.

— Aha. Ale...

— Co?

— Jak go schowasz do szuflady, to o nim zapomnisz.

— Nie.

— Myślisz?

— Nie zapomnę.

— Nie zapomnij.

Przez chwilę nie mówili nic, po czym Marian zadał pytanie, o którym z góry wiedział, że jest bez sensu. Może jednak Danka zrozumie, o co mu chodzi?

— Dlaczego nigdy dotąd tu nie przyjeżdżałaś?

Zmieszła się, zaczerwieniła jeszcze mocniej niż wtedy, kiedy jej wręczał pamiętnik.

— „No... — bąknęła niepewnie. — Przecież nie jesteśmy rodziną.

— Ta twoja „babcia Domańska” bardzo się z moją mamą przyjaźniła.

— Wiem.

Utknęli znowu, Marian nie śmiał pytać dalej. Danka nigdy o sobie nie opowiada, jakże więc ją do tego zmuszać?

— Ostatnie trzy razy to właśnie do niej jeździłam na święta — odezwała się niespodziewanie.

— Było przyjemnie?

— Tak. Tylko, wiesz, ona nie ma dzieci, jest sama.

— I cały czas tylko z nią?

— Właśnie. I dużo rzeczy ją denerwuje. Chociaż tak w ogóle to jest dobra.

— A przedtem? — zaryzykował. — Przedtem dokąd jeździłaś?

— Nigdzie — rzekła sucho. Marian pożałował swego pytania. — Zawsze byłam w internacie — uzupełniła. — Z koleżankami, oczywiście. Czasami te gwiazdki bywały dość wesołe.

„Wesołe”? — zdziwił się Marian. A przecież wyraźnie posmutniała.

— Słuchaj — odezwał się szybko, bojąc się, że dziewczyna popadnie w swoje dziwne myśli, do których nie miał dostępu. — Powiedz, a wczoraj, u nas? Byłaś zadowolona?...

Pochyliła się nad stołem, milcząc, trwało to tak długo, że zwątpił, czy w ogóle zechce mu odpowiedzieć.

— To była najmiłsza Wigilia w moim życiu.

Marian zmieszał się. Więc to aż tak?... Poczł ogromną radość, a równocześnie doznał szczególnego, trochę niepokojącego wrażenia, jakby te słowa nakładały na niego jakąś za Dankę odpowiedzialność.

— Moi rodzice zginęli, jak miałam cztery lata, więc tamtych domowych świąt to ja nie pamiętam. Tylko tyle, że była choinka i paliły się świece.

— Twój rodzice zginęli?

— Razem w katastrofie kolejowej.

„Jak dobrze, że ona do nas trafiła — myślał Marian. — I że wczoraj... że tak się udało!” A mogło się nie udać. Scena w kuchni, kiedy wrócili z piekarni, rozszokowany ojciec, Danka z miną jeszcze bardziej wyzywającą niż zaraz po przyjeździe, kiedy się wygłupiała, mama pełna niepokoju, choć naturalnie udaje, że nic się nie stało... niedobrze to wróżyło, nie zapowiadało wcale przyjemnego wieczoru! Niedługo potem, na szczęście, nastrój się zmienił. Może mama coś ojcu na temat Danki powiedziała? Rozmawiali przez chwilę w swoim pokoju, przymknąwszy drzwi, mama od razu po tej rozmowie była weselsza, a ojciec parokrotnie do Danki zagadywał dając do zrozumienia, że tamto zajście wykreślił z pamięci.

— „Babcia Domańska” mówiła mi, że twoja mama jest „bardzo dobrym człowiekiem” — odezwała się z cicha Danka. — I to jest prawda.

Zmieszawszy się dodała szybko:

— Twój ojciec jest też bardzo miły. I Julek. Wszyscy!

Marian sięgnął po pamiętnik, otworzył go na pierwszej stronie i opanowawszy niejasne uczucie zawstydzienia, napisał równymi, wyraźnymi literami: *Danka — na pamiątkę pierwszego pobytu w Jurocinie — Marian.*

Danka patrzyła mu przez ramię, a kiedy skończył, dłuższy czas nie powiedziała nic. Stropił się, może należało wymyślić jakieś inne słowa, serdeczniejsze? Żeby wiedziała, że

on... Ale to było niemożliwe, zupełnie niemożliwe. Pisać coś takiego w albumie, który tyle osób weźmie do ręki?

— Marian?

— Co?

— Napisałeś „na pamiątkę **pierwszego** pobytu”...

— Tak.

Zawahała się, bezgłośnie poruszyła wargami, jak wtedy, kiedy jej wręczał ten albumik.

Przełknąwszy, spytała:

— Myślisz, że jeszcze tu kiedyś przyjadę?

— Dlaczego miałabyś nie przyjechać?

— Nie wiem... Nie wiem, czy się tak złoży.

— A chciałabyś?

— Ja?

— No właśnie.

— Ja... ja to chętnie.

„Ja też” — pomyślał Marian, nie przyszło mu jednak do głowy, żeby wypowiedzieć to głośno, nie wiedział też, o czym mówić dalej. Rozmowa była ważna i teraz ni z tego, ni z owego o ślizgawce, o pogodzie?

— Jurocin jest chyba ładniejszy od Olszyn? — spytała nagle Danka.

Zdziwił się tak bardzo, że przez chwilę nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi.

— Od Olszyn? Olszyny to zupełnie co innego, to wieś.

— No wieś, ja wiem. Ale dla mnie Jurocin... Jurocin jest cudowny.

Raz już, kiedy szli przez miasteczko, powiedziała, że jej się tu podoba, brzmiało to jednak inaczej niż teraz. Jeżeli wtedy był rad, to dlatego, że przedtem była nieznośna, więc niespodziewanie „grzeczne” słówko mogło oznaczać pomyślną zmianę w jej zachowaniu. Teraz mówi: „Jurocin jest cudowny”, z takim żarem, jakby to było miejsce zupełnie niezwykle, Marianowi wydaje się to nawet trochę zabawne... Lubi Jurocin, jest z niego dumny, ale takich miasteczek w Polsce jest sporo.

— Przesadzasz — uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Nie! — zaprzeczyła gorąco. — Wcale nie!

W przedpokoju wszczął się tymczasem ruch.

— Danuśka, zbieraj się, idziemy.

— Zostawię album u ciebie, dobrze? Schowam go do walizki, jak wrócę — szepnęła

Danka.

— Dobrze, niech sobie leży.

— No to zostawiamy cię na gospodarstwie — mówiła mama, wkładając palto. — Ojciec powinien być niedługo, my wracamy za jakieś pół godziny. Spóźnia się ten wasz Zenek, boję się, że Julek zmarznie na kość.

Wyszły, Marian cofnął się do siebie. Wypowiedziane przez matkę zdanie o Zenku nie dawało mu spokoju. Spóźnia się, to prawda. W każdym razie niedługo tu będzie, Danka wróci od pana Józefa i nastąpi nieuniknione spotkanie. Dopiero co, rozmawiając z nią, nie myślał o Zenku wcale, zbyt ważne było to, czego się dowiadywał. Teraz upokarzający niepokój ogarnął go na nowo.

Sięgnął odruchowo po album Danki, otworzył na pierwszej stronie,, spoglądał bezmyślnie na napisane dopiero co wyrazy. A może coś dorysować? Na przykład gałązkę świerka, to nietrudne.

„Nieźle” — ocenił po paru minutach. Skupienie dobrze mu zrobiło, odzyskiwał równowagę, a kiedy skończył, przemknęła mu przez głowę myśl (nie traktował jej na serio, ale była przyjemna), że ta gałązka świerka lepiej może niż sam napis przypomni Dancę o tym, co sobie w czasie tegorocznej gwiazdki powiedzieli.

Idą? Tak, ktoś nadchodzi, furtka otwiera się z trzaskiem i zaraz głos Julka na całe podwórze:

— Marian, jest Zenek! Słyszysz? Wujenko, jest Zenek! Wujku! Danka! Zenek przyjechał!

Niecierpliwe łomotanie do drzwi, radość zdaje się po prostu Julka rozpierać. W progu staje pierwszy, żeby raz jeszcze z triumfem obwieścić:

— Jest!

Zenek wchodzi do przedpokoju. Marian czuje skrępowanie, jego i swoje własne; to własne narasta z każdą chwilą.

— Sie masz, stary! — odzywa się gość.

— Sie masz. Rozbieraj się. Zmarzłeś? Dzisiaj porządny mróz. — Usiłowanie, żeby odzyskać swobodę, nie daje rezultatu, słowa, choć zwyczajne, brzmią sztywno, jak wygłaszane na lekcji.

— Wcale nie zmarzłem.

— Wujenki nie ma? A wujka? — dopytuje się Julek.

— Niedługo przyjdą.

— Wiesz, on wcale nie przyjechał autobusem! Końmi! Bryczką! Masz pojęcie? — trzepie mały. — Stoję na przystanku, autobus ma być za pięć minut, a tu patrzę: bryczka! Ja to nie jechałem bryczką z parę lat!

— Może w ogóle końmi nie jeździłeś? — uśmiecha się Zenek.

— Coś ty? — Julek oburzony. — A w Olszynchach?

— No tak, prawda.

Julek nie jest skrępowany wcale a wcale. Dla niego nic to widocznie nie znaczy, że od wyjazdu z Olszyn minęło parę miesięcy i że bądź co bądź niejedno w tym czasie zaszło. Gada, jakby rozstali się kilka dni temu. Czy nie widzi, jak Zenek się zmienił?

Rozrósł się, jest wyższy, doroślejszy, porządnie ubrany... Marian czuje, że nie to jest najważniejsze, nie to Zenka odmieniło. Więc co?

— Wiesz, jak postanowiliśmy? — z zapalem zwraca się do Zenka Julek. — Wiesz? Zaraz po obiedzie przyskamy! Na stawy! Tu są wspaniałe stawy i dalej rzeczka, można jechać kilometrami, jak dobry lód. W tym roku na pewno dobry, bo mróz od tygodnia. Zrobimy wyścig, ja...

— Może byś dał Zenkowi dojść do słowa?

— Czekaj, ja przecież tylko... — broni się Julek. — Ja tylko, żeby Zenek wiedział, co i jak. Łyżwy przywiozłeś?

— Nie.

— Nie?! — przeraził się Julek.

— Nie — potwierdził obojętnie Zenek. Po chwili dodał śmiejąc się — Wujek mi przywiózł, w swojej walizce. Wczoraj je dostałem na gwiazdkę.

— Ale masz je tu ze sobą?

— Mam.

— Hura!

— Nie wrzeszcz — odezwał się Marian odruchowo, zajęty myślami. Rozpoznał już, co najbardziej Zenka odmieniło: inne ma oczy. Dawniej była w nich podejrzliwość, czujność, jakby każdej chwili groziło mu coś złego. To znikło, choć nadal patrzy przenikliwie i wydaje się dostrzegać (może i rozumieć) więcej niż inni. I jest spokojny, może nawet pewny siebie? Budzi zaufanie, wygląda jak ktoś, kto potrafi się obronić, a jeżeli trzeba, to innych także.

— O co ci chodzi? Nikogo w domu nie ma — zaprotestował Julek i natychmiast zabrał się do opowieści o wygranym łyżwiarskim wyścigu.

Marian nie słucha, jego myśli zupełnie innym biegną torem. Nigdy jeszcze tak silnie jak w tej chwili nie doznawał uczucia, że Zenek, właśnie Zenek powinien zostać jego przyjacielem. Czy zostanie? Nie wydaje się to możliwe, szkoda marzyć. A Danka? Przyjrzy się Zenkowi, przyjrzy się Marianowi, dokona wyboru, jakiego, to z góry wiadomo. I nie zdając sobie z tego sprawy Marian westchnął ciężko.

— Co tak wzdychasz — zdziwił się Zenek.

— Ja?... Ja przecież wcale.

— Więc słuchaj — wracał do swego Julek. — Nie zostaniemy w domu, żeby siedzieć jak kto głupi. Fajnie będzie! Zobaczysz, parę godzin to już coś warte. Na pewno świetnie jeździsz, co?

— Wcale nie.

— Bujasz!

— Kiedyś dobrze jeździłem, potem przez parę lat wcale.

— Przypomnisz sobie w pięć minut.

— Julek, a może Zenek nie ma ochoty na ślizgawkę? —

wtrącił się Marian. — Nawet go o to nie zapytałeś, tylko „idziemy” i „idziemy”...

— Przecież przywiózł łyżwy!

— Ale...

— No to powiedz, Zenek! — krzyknął ze wzburzeniem Julek. — Proszę cię, powiedz!

— Dlaczego nie, mogę iść. Chętnie.

— A widzisz! — I Julek triumfalnie wywiesił na Mariana język. — Czepiasz się, sam nie wiesz czego. Zwiewamy zaraz po obiedzie! Żeby jeszcze Dankę udało się splawić! — zmarkotniał nagle. — My pojedziemy, gdzie nam się zachce, a ona? Lepiej niech popatrzy na telewizję.

— Nie pleć — rzekł ostro Marian. Nie chciał żadnej o Dance rozmowy, bojąc się, że temu nie sprosta, nie mógł się przecież zdradzić. Uprzedziwszy pytania, które mogłyby paść, powiedział do Zenka informacyjnie: — Ona jest z Warszawy, z domu dziecka, mama zaprosiła ją na święta. — I zaraz dając do zrozumienia, że nie ma po co mówić o tym więcej, spytał Zenka o szkołę: — Dobrze ci tam leci ?

— Dobrze.

— To zawodówka?

— Tak, samochodowa.

— Samochodowa! — powtórzył zazdrośnie Julek. Samochody to nie to samo, co historia, nie mówiąc już o matmie i ortografii!

— Do wujka jeżdżę na każdą niedzielę. Łowimy razem ryby. — Oczy Zenka błysnęły wesołością, Marian pomyślał, że to także jest w nim nowe.

— Ale słuchaj! — krzyknął Julek, jakby z nagła przypomniało mu się coś, co musi być załatwione natychmiast. — Na wakacje musisz przyjechać do Olszyn. Przyjedziesz? Przyjedziesz, prawda?

— Skąd mogę wiedzieć?

— Musisz przyjechać! Pestka pisała, że najwspanialsze wakacje to w Olszynach. A bez ciebie to my...

— A Uła?

— Co? zdziwił się Julek.

— Już nic — mruknął Zenek.

— Gadasz i gadasz, że nie można wtrącić słowa — usiłował zgasić Julka Marian. Na próżno zresztą, mały nie dawał się poskromić.

— Ja tylko mówię, że bez Zenka nam się nie opłaca. Zenek!... No? Powiedzże wreszcie!

— Nie wiem, czy przyjadę. To zależy.

— Od czego?

— ...Od różnych rzeczy — odpowiedź padła nie od razu i brzmiała niechętnie.

„Nie lubi mówić o swoich sprawach, tak samo jak dawniej” — pomyślał Marian. Sam zresztą uważał Julkowe dopytywanie się za bezsensowne, lepiej zająć się czymś innym.

— Jakie te twoje łyżwy? Można obejrzyć?

Julek nie czekając na odpowiedź pobiegł do przedpokoju po paczkę, rozpakował, dla porównania przyniósł łyżwy swoje i Mariana, a gdy już nic na ten temat nie dało się powiedzieć, pokazał Zenkowi otrzymane na gwiazdkę prezenty objaśniając, co od kogo. Od rodziców rękawice na futrze, od wujostwa... od Mariana...

— Od tej dziewczyny, od Danki, dostałem tę latarkę. Fajna, nie? Ja jej dałem kredki.

— Fajna.

— Marian dostał od niej długopis. Gdzie go masz?

— E tam.

— Nie możesz go Zenkowi pokazać? — zdziwił się Julek.

Marian, który od początku uważał pokazywanie prezentów za głupie, ale nie zdążył się Julka pomysłowi przeciwstawić, poczuł rozdrażnienie i już miał małemu coś ostrego powiedzieć, kiedy rozległ się trzask furtki. Julek skoczył do okna, a w chwilę potem

wykrzykiwał w głębi przedpokoju, że Zenek już jest, że czekają i czekają, że są strasznie głodni, że zaraz po obiedzie ślizgawka... Mama uspokajała go śmiejąc się.

— Danuśka, rozbieraj się i idź do chłopców. Ja zajrzę do kuchni.

Słuchali tych głosów, nie odzywając się, i tak samo jak zaraz po wejściu Zenka Marian czuł, że obaj są skrępowani, każdy z innego powodu, i że starają się nie dać tego po sobie poznać.

— Jest wujenka i Danka, przyszły! — oznajmił Julek, jakby ten fakt mógł ująć ich uwagi. — Zaraz będzie obiad. Żeby tylko wujek prędko wrócił! Danka, no chodź! — wołał w stronę przedpokoju, pragnąc przyspieszyć bieg wypadków.

Marian cofnął się ku oknu i wyglądał na pustą ulicę, choć nie działo się tam nic ciekawego. Niech sami poradzą sobie z przywitaniem, nie miał chęci się do tego mieszać. Kroki Danki już słysząc, weszła do pokoju, Julek oznajmia z dumą:

— Widzisz? To jest Zenek!

I nic. żadnego dalszego ciągu, ani słówka, jakby wszyscy równocześnie zaniemówili i zdrętwieli. Marian podnosi oczy: Danka na środku pokoju, nieruchoma i biała jak papier. Zenek naprzeciwko, po drugiej stronie stołu, spogląda na nią bacznie i szybko spuszcza oczy.

— Co cię tak zamurowało? — wykrzykuje Julek. — Zenka się zlekłaś?

— Bzdura — odzywa się opryskliwie Zenek. Julek, zaskoczony, uważa za potrzebne jakoś się wytłumaczyć:

— Ja tylko tak... Bo zbladła.

— Dziewczyny dziesięć razy na dzień bledną i czerwienieją — śmieje się Zenek. — Nie wiesz o tym?

Marianowi dziwne wydają się te słowa, sztuczne czy nieszczerze, jakby w istocie rzeczy Zenek miał na myśli nie to, co mówi. Ale co? Nie wyjaśni, szkoda pytać. Danka także nie zdradzi, czym się ni z tego, ni z owego przejęła. Dobrze chociaż, że wraca do siebie i zaczyna wyglądać jak' człowiek. Żeby powiedziała chociaż jedno słowo!

Na szczęście głupia sytuacja szybko ulega zmianie: wraca ojciec, pokazuje się mama, przywitanie z Zenkiem (ze strony mamy serdeczne, ojca powściągliwe, choć uprzejme) — i zaczyna się ceremonia obiadowa. Na początku zamieszanie: Julek odzyskawszy swobodę oświadcza, że musi, ale to musi siedzieć koło Zenka, a wyznaczono mu miejsce między mamą i Danką. Po chwili wszystko się uspokaja i wydaje się toczyć normalnym trybem: podawanie potraw, częstowanie, jedzenie, trochę rozmowy, chwilami ożywionej — jeżeli zabiera głos mama albo Julek, a chwilami — jeżeli ojciec zwraca się do Zenka z pytaniami o szkołę i

praktykę — utykającej i rwącej się co parę zdań. Nic dziwnego, ojciec zawsze jest trochę sztywny wobec obcych, trudno żądać, żeby przy Zenku, którego widzi pierwszy raz, zachowywał się tak swobodnie jak na przykład wczoraj przy wili. Zenek do podtrzymywania rozmowy nadaje się słabo, nie lubi dużo mówić.

A Danką? Danką niewiele zazwyczaj się odzywa, nigdy jednak nie było tak, żeby siedziała bez słowa i milcząc patrzyła w talerz. Nie podnosi głowy, a kiedy mama podsuwa jej półmisek, nie reaguje nawet gestem, dopóki wyraźnie się do niej nie zwróci i nie powie: „Danka, bierz”. Mama to zauważyła, ojciec już parę razy spojrzał na dziewczynę ze zdziwieniem, tylko Julek, przejęty sąsiedztwem, zdaje się niczego nie dostrzegać. Co dziwniejsze, i Zenek, choć taki bystry, również nie zdaje sobie sprawy z sytuacji, zachowuje się tak, jakby na miejscu zajmowanym przez Dankę nie było nikogo.

Za to Marian czasem tylko odrywa od niej oczy. „Ma taką minę, jakby stało jej się coś złego — myśli niespokojnie. — Ale co?” Zobaczyła Zenka, poza tym nic nowego nie zaszło. Więc to przez Zenka? Zachowała się tak dziwnie na jego widok, fakt — ale dlaczego? Dlaczego? Przecież jeśliby jej się spodobał, powinna być w dobrym humorze, a jeśli nie, czemu miałyby się przejmować tym spotkaniem? I przecież było zapowiedziane, wie, kim Zenek jest!

— Wujku, wie wujek co? — odzywa się Julek, zjadając bigos. — Zenek...

— Może byś najpierw przełknął, a mówił potem?... — proponuje mama. — I nie śpiesz się tak.

— Musimy się śpieszyć. Zaraz lecimy na lód!

— Dobrze, dobrze, zdążycie.

— Zrobimy wyścig! Wujku, Zenek mówi, że zapomniał się ślizgać, a ja mu wcale nie wierzę!

— Przekonasz się — wtrąca Zenek.

— Przypominam, że wolno się ślizgać tylko na stawach — oświadcza ojciec.

Już rano była mowa o tym warunku, mimo to Julek wzdycha ciężko.

— I tylko do zmroku!

— Słyszysz, Marian? Marudzisz z jedzeniem i marudzisz.

— Uspokój się, Julek — wtrąca mama — przecież jutro także możecie iść na lód.

— Ja... — poruszył się Zenek. — Jutro nie jest takie pewne, nie wiem, czy będę mógł.

— Jak to?! — wrzasnął Julek, co wywołało karcące spojrzenie ojca. — Co gadasz?

— Do kolegi wujka przyjeżdżają goście, więc...

— Co cię obchodzą goście? — oburzył się mały. — Goście, dobre sobie! A my?

— Postaraj się — serdecznie zwraca się do Zenka mama. — Chłopcy bardzo na ciebie czekali.

— Na pewno się postaram. Sam przecież bardzo bym chciał tu być.

— Musisz przyjechać — decyduje Julek. — Musisz, i koniec. Wujenko, możemy wstać?

— Zaraz. Już tylko kompot i możecie lecieć. Danuśka, może byś przyniosła salaterkę, dobrze? Danusiu mówię do ciebie.

— Słucham?

— Przynies salaterkę z kompotem. Stoi na oknie. I szklane miseczki.

Tym razem Danka zdaje się rozumieć zwrócone do niej słowa, wstaje, zbiera podawane jej przez wszystkich brudne talerze, żeby je odnieść do kuchni.

— Słuchajcie, to już zaraz! — porozumiewawczo szeptem Julek. — Cieszycie się?

— No pewno — uśmiecha się Zenek, a przedtem cały czas strasznie był poważny. Rodzicom chmurność Danki także musi ciążyć, teraz, kiedy wyszła, wyglądają, jakby się odprężyli; mama przypomina, że zaraz będą kolędy i chętnie by ich posłuchała.

— Dlaczego nie? — głos ojca brzmi przyjaźnie. — Posłuchamy.

Otwiera telewizor i przez dłuższą chwilę reguluje odbiór. Julek nie jest temu rad, kolędy zwolnią tempo kończenia obiadu, a przecież trzeba zerwać się jak najszybciej.

— Danka! — woła w stronę kuchni. — Co ty tam robisz?

Marian także pragnąłby znaleźć się poza domem. Może jak będą sami, coś się wreszcie wyjaśni?

— Nie marudź! Danka! — pokrzykuje Julek, co wywołuje uciszające syknięcia dorosłych. Zniecierpliwiony, zrywa się, biegnie do kuchni — i już jest z powrotem.

— Danki nie ma!

— Co? — odzywa się Marian. — Co ty pleciesz?

— Jak to nie ma? — Mama spogląda na Julka ze zdumieniem.

Zenek wpatruje się w niego także, tylko ojciec, odwrócony ku aparatowi, nadal zajmuje się telewizorem.

— A w moim pokoju? Jest na pewno w moim pokoju! — poddaje Marian.

— Patrzyłem, nie ma!

— A jej palto? — pyta mama. — Może wybiegła na podwórze?

— Po co miałyby iść na podwórze? — wzrusza ramionami Julek, idzie jednak do przedpokoju, by natychmiast oznajmić, że palta Danki nie ma. A czapki także.

Marian spogląda na matkę, matka na ojca, który właśnie odwrócił się i dostrzegł, że dzieje się coś niezwykłego.

— Danką gdzieś poszła... — wyjaśnia matka. Marian czuje, ile w jej głosie jest starania, by udać, że nic szczególnego się nie stało, i ukryć przed ojcem niepokój. — Pewno zaraz wróci.

— Poszła tak ni z tego, ni z owego, nic nie mówiąc? — zdumiewa się ojciec. — Żartujesz chyba?

— Wariatka! — osądza Julek. — Przecież zaraz mamy iść na ślizgawkę! Polecę na podwórze, dobrze?

— Idź.

Marian jest nierad, że Julek go wyprzedził, jemu także przyszło na myśl, że trzeba przeszukać podwórze. Może skryła się w szopie? Ale powód? Niepojęte to jest!

— Zaraz przyjdzie, zobaczycie — mówi mama, chcąc widocznie i samej sobie dodać otuchy. — Wczoraj też wyszła zupełnie niespodziewanie... No, ale to biały dzień, miała ochotę zobaczyć sklepy.

— A że wczoraj nie spotkała jej za to z twojej strony żadna uwaga, więc uznała, że i dzisiaj także może sobie na taki wyczyn pozwolić — odzywa się ojciec.

„Ach, mógłby dać spokój ze swoją ironią! — myśli z gniewem Marian. — Czy nie widzi, że mama jest zdenerwowana?”

— Nie ma Danki na podwórzu! — woła Julek od progu.

— Wszędzie patrzyłeś? W drwalce też?

— Patrzyłem.

— A za szopą?

— Za szopą też nie ma! I ja ci powiem — mówi Julek ze wzburzeniem. — Jak ona jest taka, to my nie czekamy! Ani mi się śni czekać! Marian...

— Cicho bądź! — przerywa mu mama. — Słuchajcie, chłopcy — pełna napięcia patrzy wnikliwie na każdego po kolei — co tu między wami zaszło? Pokłóciliście się?

— Ależ nie! — wykrzykuje natychmiast Julek.

— Nie — mówi Marian.

— Może powiedziałeś jej coś przykrego? — to pytanie jeszcze raz skierowane jest do Julka. — Przypomnij sobie.

— Kiedy naprawdę nie!

Mama spogląda na Zenka, ten jednak patrzy w ziemię milcząc. „Nic dziwnego — myśli Marian. — Nie zamienił przecież z Danką ani jednego słowa, cóż więc może wiedzieć?”

— Przy obiedzie siedziała jak struta, chybaście zauważyli? U pana Józefa była wesoła, bardzo mu się spodobała, prosił, żeby go koniecznie odwiedziła, nawet mu to obiecała. Co się mogło stać?

— Nic się nie stało — oświadcza kategorycznie Julek. — Zachciało jej się gdzieś lecieć, to poleciała. Marian, Zenek, co tak siedzicie? Ubierajmy się i chodźmy.

„Głupi ten Julek” — osądza Marian. Mama zwraca się do ojca, jakby prosząc go o pozwolenie:

— Pójdę do pana Józefa... może ona jest u niego? Niepokoję się.

— Ja pójdę — mówi Marian, wstając.

— Ale — ojciec nie zdążył dokończyć zdania, kiedy odezwał się Zenek:

— Razem pójdziemy. We trzech.

„Ten Zenek!...” — przeleciało Marianowi przez głowę. Przyjechał do nich. jest gościem, Danki wcale nie zna. a nie zawahał się ani chwili. „Pójdziemy” — mówi, uważa to za naturalne.

— Jak to?! — krzyknął Julek. — A ślizgawka?

— Julek — z cichą złością mruknął Marian.

— Co?! — wrzasnął mały. — Przez tę wariatkę mamy nie iść na lód? Dlaczego? Już i tak straciliśmy przez nią mnóstwo czasu!

— Julek — powtórzył Marian.

— Nie chcę! Ani mi się śni latać za jakąś głupią dziewczuchą! Ani mi się śni, słyszycie?! Wszystko ułożone, obmyślane, a teraz... — głos Julka załamał się, Marian doznał wrażenia, że za chwilę jego krzyki przemienia się w płacz.

— Rzeczywiście... — stropiła się mama. — To nie ma sensu, sama pójdę do pana Józefa. A jeśli jej tam nie ma, to do Marysi.

— Pójdziemy wszędzie, gdzie trzeba, proszę pani. Znajdziemy ją — głos Zenka brzmi zdecydowanie, sprawa jest przesądzona.

— Ubierajcie się — Zenek ogarnia wzrokiem Mariana i Julka.

— Ja nie idę! — protestuje mały z oczami szklistymi od łez.

— Chodź, chodź, nie upieraj się — odpowiada dobrodusznie Zenek.

— Będiesz siedział w domu? Sam? — włącza się Marian. Jest zły na Julka, trochę mu jednak małego żal.

— Sami sobie idźcie, jak jesteście tacy!

Przeszli więc we dwóch do przedpokoju i włożyli kurtki. Kiedy Marian sięgnął do klamki, Zenek zatrzymał go ruchem ręki.

— Julek — odezwał się z cicha.

— Co? — dobiega z głębi mieszkania obrażona od
powieź.

— Chodź no tutaj.

Julek stanął w progu, milczący i do najwyższego stopnia rozżalony. Patrzył w ziemię.

— Ubieraj się — rzekł spokojnie Zenek.

— Bo co?

— Ubieraj się, powiedziałem.

Julek podniósł głowę, spojrzął i bez słowa sięgnął po kożuszek.

GDZIE DANKA?

— Więc najpierw do tego pana Józefa — odezwał się Zenek, ledwie znaleźli się za furtką. — Czy to daleko?

— Nie — odpowiada Marian. — Zaraz za placem Wolności. Można podwórzami, będzie bliżej,

— To prowadź.

Marian wysunął się naprzód. Minąwszy małą uliczkę weszli wkrótce między na pół wiejskie zabudowania. Murowane domki sąsiadowały tu z kurnikami, szopami na drzewo i narzędzia, a anteny telewizyjne sterczały z dachów tuż obok gołębników. Gdzieniedzie zrywały się z nich różnobarwne stadka i krążyły nad miasteczkiem w pogodnym niebie.

Julek nie poświęcał im żadnej uwagi, choć zazwyczaj pilnie śledził skomplikowane zabiegi gołębiarzy, by zmusić ptaki do lotu lub przywołać je z powrotem. Szedł z głową spuszczoną, co oznaczało, że nie zainteresują go ani pocieszą żadne takie głupstwa — i w zupełnym milczeniu, z którego Zenek powinien był odczytać głębie jego protestu i rozgoryczenia. Gdy nadarzyła się po temu sposobność, kopał ze złością zlodowaciałe bryły śniegu odgarniętego ze ścieżek i chodników.

Zenek, niestety, zdawał się wcale tych demonstracji nie dostrzegać, a Marian, ciągle idący przodem, w ogóle nie miał o nich pojęcia. Zresztą gdyby nawet dotarły do jego świadomości, nie przejąłby się wcale. Wiadomo, jak sobie postanowi, to ani mowy, żeby odstąpił, uparty osioł. Zresztą i Zenek... Wujenka dwa razy powiedziała, że sama pójdzie, a on nie i nie! „My pójdziemy, proszę pani”. Dlaczego? Z jakiej racji? I wujenka się zgodziła, i wujek też! Jakby zapomnieli, że Zenek jest gościem (i przecież o wiele ważniejszym niż Danką) i że należą mu się jakieś przyjemności, choćby ślizgawka. (Miał wielką chęć na ślizgawkę, sam mówi!) No i teraz zamiast iść na lód, ganiają za zwariowaną dziewczyną, której zachciało się wylecieć z domu nie wiadomo gdzie i po co.

— Wiesz, byłoby głupio, gdybyś został w domu — przerwał te gorzkie rozmyślenia Zenek.

„Wiadomo że głupio” — ocenia Julek, choć w tej chwili przyznanie Zenkowi jakiegokolwiek racji, choćby w myśli, nie sprawia mu żadnej przyjemności. Jest na Zenka zły, okropnie zły, i ma po temu bardzo istotne powody, ale nie być z nim po tych miesiącach rozłąki?

Siedzieć w mieszkaniu, objąć się po kątach albo tkwić przed telewizorem, kiedy ci dwaj razem chodzą po mieście? Nie, tego to już by nie zniósł! Co prawda zapowiedział przedtem

kategorycznie, że nie pójdzie, że ani mu się śni i tak dalej, no, ale to dlatego, że ogarnęła go wściekłość, więc wrzeszczał, i już. Jakby to mogło cośkolwiek pomóc, jakby zapomniał, że nie z Zenkiem takie numery. Mruknął: „Ubieraj się”, i spokój, załatwione.

Załatwione, to załatwione, ale dla obrony honoru, dla podkreślenia, że miał prawo się buntować, Julek mówi zaczepnie:

— Całą tę historię uważam za głupią. Idiotyczną.

— W każdym razie lepiej, że jesteś z nami. Możesz się przydać.

— Do czego? — z demonstracyjną wzgardą ogłoszone jest to pytanie.

Odpowiedzi nie ma, Julek uniósł więc głowę i, niezmiernie zdziwiony, dłuższą chwilę nie odrywał od Zenka oczu. Dziwne!... Zenek wygląda tak, jakby czekało go trudne do rozwiązania zadanie. Cóż to może być? Wejść do mieszkania, którego adres jest znany, i zapytać, czy Danka tam jest, to chyba nie problem!

— Do czego mam się przydać?

— Zobaczymy.

Znane słówko, mogące oznaczać wiele albo nic. Zenek traktuje go jak dziecko, któremu opowiada się byle co, żeby je pocieszyć. A czy on potrzebuje pociechy? Wcale nie potrzebuje. Wzruszył ramionami, a kiedy wyszli z opłotków na ulicę i znaleźli się razem, powiedział niechętnie, chcąc zaznaczyć, że nadal trwa w opozycji:

— Ciekaw jestem, dlaczego Danka odgrywała tę całą komedię? Po co jej to było potrzebne?

— Jaką komedię? — spytał Marian.

— No, że chce iść z nami na ślizgawkę. Pomyślcie tylko: pożyczka łyżwy, i to od kogo, od Marysi, która mieszka pod lasem...

— Gadasz, jakby ona tę Marysię wymyśliła! — rozzłościł się Marian. To przecież mama i ja.

Wszystko jedno, w każdym razie wujenka idzie z nią na nowe osiedle, czyli na koniec świata, wszystko załatwia, łyżwy są, buty są, Danka rozanielona, że nie wiem, a potem? A potem nagle się okazuje, że wcale a wcale nie zamierzała z nami iść. Więc po co ta zgrywa?

— To nie była zgrywa — chmurnie zaprotestował Marian.

— Więc co?

— Ona się cieszyła naprawdę.

— Skąd wiesz?

— Wiem zabrzmiało to tak zdecydowanie, że i Julek, i Zenek spojrzeli na Mariana ze zdziwieniem.

— Pojęcia nie mam, skąd możesz wiedzieć zlekceważył jego słowa Julek! — Więc dobrze: jeśli rzeczywiście chciała się z nami wybrać, dlaczego jej się odmieniło? Ni z tego, ni z owego? W pięć minut, przed końcem obiadu? No, dlaczego? To także wiesz? — A że Marian odpowiedział milczeniem, Julek dodał przynaglająco: — No? Powiedz, jeśli wiesz!

— Nie, tego nie wiem.

— Właśnie! W każdym razie to wariatka, i koniec. Dlaczego nic nie mówicie?

— Odczep się — mruknął Marian, wobec czego Julek spojrzał pytająco na Zenka. Ten jednak milczał długą chwilę, a potem rzekł także jakby na odczepne:

— Co ci mam powiedzieć? Przecież ja jej prawie nie znam.

— Nie znasz! — krzyknął Julek. — Wystarczy to, co wyczyniła dzisiaj, żeby wiedzieć, co to za numer.

Żadnego echa, tylko tyle, że Marian zaciął usta. Nawet kłótnia byłaby lepsza niż coś takiego! Milczenie, każdy pogrążony we własnych myślach, poważny, jakby chodziło Bóg wie o co, a że on, Julek, pęta się osobno, to dla nich mięta. Z Marianem mniejsza, ostatecznie byli już razem parę dni i jeszcze nie koniec świąt, ale Zenek? Z łyżew wyszły nici, a teraz okazuje się, że nie można nawet pogadać. Jeśli nie dzisiaj, to kiedy? Jutro niepewne, może Zenek przyjedzie, a może nie. „Choćby mógł, to nie przyjedzie! nasuwa się Julkowi bolesny i ponury wniosek, — Po co ma przyjeżdżać? Do kogo? Nikt go tu nie obchodzi. W Chruściance będzie miał lepsze towarzystwo!”

— To tu — odzywa się Marian, ruchem głowy wskazując Zenkowi niski domek, pokryty łątanym wielokrotnie dachem. — Wejdziemy razem?

— Nic.

— Mogę polecić wbrew rozgoryczeniu proponuje natychmiast Julek. Nareszcie coś do zrobienia i można będzie wygarnąć Dance. co się o niej myśli!

— Niech idzie Marian decyduje bez wahania Zenek. — A my poczekamy. Słuchaj — zwraca się do Mariana — tylko żadnego alarmu, spytaj, czy jest, i wracaj.

— Wiadomo.

Czy chociaż teraz, kiedy zostali sami. Zenek uświadomi sobie, że Julkowi też coś się należy? On sam się o to nie upomni, nie ma zamiaru! Ani mu w głowie! Chce Zenek milczeć, niech milczy! Niech patrzy w ziemię ze zmarszczonymi brwiami, jakby obok nie było nikogo. Julkowi nic do tego. nic a nic. nie obchodzi go to. dla-czegóż by go miało obchodzić? Nudno jest, i tyle, więc żeby się trochę zabawić, podnosi leżący pod płotem patyk i przejeżdża nim po sztachetach, raz w jedną, raz w drugą stronę.

— Julek?

— Co?

— Ilu was tam było?

— Niby gdzie?

— W wyścigu. Ilu startowało?

Julek przełyka ślinę, spogląda na Zenka, niepewny, czy się nie przesłyszał. — Czterdziestu pięciu — mówi grubym głosem, opanowawszy się nieco. — Przedstawiciele trzech szkół.

— No i byłeś pierwszy.

Głupio się czerwienić, nic się jednak nie poradzi.

— Wielu z nich jeździ znacznie dłużej niż ja. — Informacja brzmi rzeczowo, nie jest to żadne chwalenie się, nic podobnego, skoro jednak Zenek zainteresował się wyścigiem, ma przecież prawo znać szczegóły. — Było też kilkunastu starszych. Nawet się dziwiłem, że ich dołączyli do naszej grupy.

— Dużo trenujesz?

— E. nie tak bardzo — mówi lekko Julek. To nieprawda, już jak się dowiedział, że Zenek będzie na święta w Jurocinie, to trenował jak wariat, któż by jednak mówił o takich głupstwach?

— Szkoda, że tak się złożyło. Chętnie bym popatrzył.

— Zenek! — wybucha entuzjazmem Julek. — Zenek, słuchaj! Jak odprowadzimy Dankę do domu, to jeszcze moglibyśmy zdążyć! Dopiero po czwartej robi się ciemno! Zenek!

— No może. ale...

— Co? W drzwiach domku ukazuje się Marian. Sam.

— Nie ma jej tu.

— Tak myślałem — odzywa się z namysłem Zenek.

— Jak to? Jak to: tak myślałeś? — Co te zadziwiające słowa mogą znaczyć? Julka znowu ogarnia wzburzenie i złość. — Więc po cośmy tu przyłazili?

Odpowiedzi brak. choć Marian również zdaje się nie rozumieć, co Zenek miał na myśli. Patrzy na niego bez słowa, czekając wyjaśnienia, a potem mówi z pytaniem w głosie:

— Trzeba teraz do Marysi.

— Trzeba. To Zenek.

Julek nic. gardło ma ściśnięte. Do nowego osiedla pół godziny marszu, powrót — drugie pół! Nie zdążą na łód. żeby nie wiem co, szkoda marzyć.

— Najpierw tędy. prosto przed siebie Marian wskazuje kierunek ruchem głowy. — Potem w prawo, a potem...

— Dobra, pokażesz nam — przecina Zenek. Po kilkunastu krokach dopowiada z cicha, więcej sobie samemu niż idącym obok chłopcom. — Nie wydaje mi się, żeby ona tam była.

— Co? Julek zatrzymuje się w pół kroku. — Marian, słyszysz? Zenek mówi, że Danki tam nie ma! Słyszysz, Marian?

— Nie wrzeszcz, słyszę.

— No i? I mamy tam iść?

— Słuchaj głos — Mariana stanowczy i oschły, jak rzadko. — Zenek obiecał, że jej poszuka u pana Józefa i u Marysi. Obiecał, tak czy nie?

— No obiecał.

— Więc? I ja z nim idę. A ty jak sobie chcesz.

„Ja też z nim idę!” — chciałby zakrzyknąć Julek. Przeszkadza mu rozżalenie na tamtych dwóch, że są „razem”, a on osobno, i że został potraktowany jak smarkacz! Obiecali, muszą dotrzymać, jasne, mają rację. A czy on uważa inaczej? Wcale nie, nie dotrzymać to świństwo, wiadomo, tylko że słowa Zenka zupełnie go skołowały, wszystko przez to!

— No? — odzywa się Marian, jako że Julek nadal stoi w miejscu. — Idziesz czy nie? Oczywiście, że idzie — odpowiada za Julka Zenek i na krótką, króciuteńką chwilę kładzie mu rękę na ramieniu. — A z Danką to nie jest takie pewne, powiedziałem, jak mi się wydaje. Trzeba sprawdzić, nie ma rady. Myślisz, że mi się chce tam łązić? Tak samo mi się nie chce jak i tobie. No, maszerujemy, stary, nic innego nie można zrobić. Póki co.

Jak krzepiące, miłe sercu były te niespodziewane słowa! Są w zgodzie, głupie okrzyki i buntownicze pytania nie miały dla Zenka żadnego znaczenia, wcale się ich nie czepia! Fajny! „Mnie także nie chce się tam łązić!” — powiedział. To znaczy, że czują się podobnie. A że nadal nie wiadomo, z jakiego powodu tak się szukaniem Danki przejmuje i dlaczego nie chce nic bliższego na ten temat powiedzieć, to już trudno. Nie chce, to nie.

Ruszają w milczeniu, Julek bohatercko opanowuje zaciekawienie, wzbudzone słówkiem „póki co?” Cóż ono znaczy? Że Zenek ma jakieś dalsze plany? Jakie? A może wypowiedział je tak sobie, bez szczególnej myśli? Lepiej nie pytać, wytrzymać, tak jak wytrzymuje Marian, choć też jest ciekaw, łatwo można to było poznać po spojrzeniu, jakie na Zenka rzucił.

„Jak Zenek będzie chciał, sam nam powie” — usposabia się Julek rozsądnie i z dobrą wolą, której jeszcze przed chwilą nie miał do rozporządzenia ani odrobiny. Czy zresztą zmusił kto kiedy Zenka do gadania, jeśli mu to było nie na rękę? Nikt nigdy. Zawsze był tajemniczy, mówił mało i zaskakiwał wszystkich swoimi postępami.

No i teraz to samo. „Nie, jednak nie to samo, w każdym razie niezupełnie” — osądził Julek po krótkiej chwili. Bądź co bądź w Olszynach chodziło o coś bardzo dla Zenka

ważnego, uciekł od ojca (dlaczego? Do tej pory nie było to dla Julka jasne), szukał rodziny, ukrywał się przed milicją i tak dalej, nic dziwnego, że nie miał chęci o tym rozpowiadać. Ale tutaj? Prosta sprawa: głupiej dziewczynie strzeliło do głowy wyjść z domu, może na spacer, a może do kogoś tam, kogo chciała zobaczyć (pochodzi sobie i wróci), i zaraz taka historia, taki szum. Nie tylko Zenek ma zresztą taką minę. Jakby wiedział więcej niż inni (co jest niemożliwe, bo jakim cudem? Poznał Dankę godzinę temu); Marian także nie ma zamiaru zdradzać swoich myśli, aż usta zaciął, żeby mu się jakiś sekret nie wymknął.

Narobiła ta Danką bigosu! Od początku zresztą zachowywała się dziwacznie, chwilami po prostu niemożliwie (choćby pierwszego popołudnia, jak przyjechała). I w ogóle jest taka jakaś, raz cicha i nieśmiała, jakby do trzech nie umiała zliczyć, w pięć minut potem zadziera nosa, niegrzeczna, pewna siebie i krzykliwa. Trzeba przyznać, że trochę jej ostatnio przeszło, zrobiła się całkiem znośna, no, a co do latarki, to naprawdę pomysł miała pierwszorzędny (Julkowi ani się śniło, że dostanie od niej prezent, i to taki). W czasie wigilii w ogóle było wesoło, Danką też była wesoła i naprawdę miła, dziś rano także. Może nawet na ślizgawce nie przeszkadzałyby tak bardzo, jak to sobie przedtem wyobraził?

Może by i nie przeszkadzała tylko że w ogóle ślizgawki nie będzie, właśnie przez nią! Julek na nowo poczuł złość na nie liczącą się z nikim niepoczytalną dziewczynę. Skąd ten idiotyczny, po prostu kretyński pomysł wyjścia z domu? Skąd?!

Skręcili w prawo, minęli ośrodek zdrowia, szkołę i znaleźli się na rynku. Na chodnikach, gdzie indziej pustawych, sporo tu spacerujących rodzin, wypoczętych i sytych po świątecznym śniadaniu czy wczesnym obiedzie; dorośli kroczą z wolna i poważnie, dzieci, trochę zapewne tą sztywnością znudzone, wybiegają naprzód lub na jezdnię, pokrzykując i obrzucając się śniegiem. Julek, idąc szybko obok Mariana i Zenka (ich zdecydowany krok wywoływał zdziwienie nie śpieszących się nigdzie przechodniów), przyglądał się tym zabawom z pobłażliwością: nie takie sprawy ma się na głowie!

Jeszcze dwie uliczki, przejście przez zaśnieżony miejski park, ruiny zamku, na które Marian krótkim słowem zwrócił Zenkowi uwagę, i zaczyna się długa, kręta ulica Nadrzeczna. Domy coraz rzadsze, ogródki rozleglejsze, gdzieniegdzie wielkie stare drzewa, z których za zjawieniem się przechodniów zrywają się z ochryplym krakaniem kawki i gawrony. U końca przecznicy, a nieraz i pomiędzy zabudowaniami widać pola, które bielą się olśniewająco na tle ciemnego lasu. „Niedaleko już” — myśli Julek. Kilkadziesiąt kroków i będzie widać rzekę, za najbliższym zakrętem, kiedy ulica minie wzgórek. Jest! Błysnęła między zabudowaniami, zamaznięta, gładka. Czy Zenek to zauważył? Chyba nie, patrzy przed siebie, a nie tam. Julek

stłumił westchnienie, powiedziano mu: „nie ma rady, trzeba iść”, pogodził się, serce trochę się jednak ściska. No, ale drugi raz nie zachowa się już jak smarkacz.

Po trochu Nadrzeczna przestaje być ulicą, staje się drogą, z napuchłych zasp wyłaniają się rozczochrane łby wierzb. Chłopcy idą teraz szybciej, spadek ku wodzie jest wyraźny, niedługo most. Rzeka jak na dłoni, szarawa między czerwonymi prętami łoziny, im niżej się schodzi, tym wyraźniej rysują się na tafli lodu ślady łyżew, tym głośniejsz brzmią dobiegające z daleka różne, wesołe głosy. „Ślizgają się na stawach” — myśli Julek, nasłuchując. A jego tam nie ma! Zenek nie popatrzy na jego jazdę, nie powie: „Dobry jesteś, wiesz?”... Nagroda międzyszkolna, uznanie trenera i kolegów sprawiły przyjemność, naturalnie, ale przecież najważniejsze to, co Zenek. To on powinien osądzić, czy się czegoś dokonało.

Co prawda, jeśli by nawet i pochwalił, i tak nie będzie się kimś takim jak on, odważnym, dzielnym, kimś, kto daje sobie radę wbrew wszystkim trudnościom, kto uratował dziecko, walczył z silniejszymi, i w ogóle. Byłoby to jednak coś warte. Dużo warte! Zenek wie, ile trzeba siły woli i hartu, i zaciętości, żeby coś w sporcie osiągnąć, a zresztą Zenek to Zenek, drugiego takiego nie ma. „Napracowałem się zdrowo — myśli Julek. — I co z tego?” Z trudem udało mu się stłumić westchnienie.

Weszli właśnie na most i nie porozumiawszy się, wszyscy trzej zatrzymali się przy barierze, by spojrzeć w dół. Tylko po jednej stronie, pod nawisłymi korzeniami krzewów, woda ciekła wąskim ciemnym nurtem, całą resztę pokrywał gruby lód. Niedaleko, za kępą wielkich drzew, szara tafła rozszerzała się gwałtownie, wnikając między czarne zarośla i białe pola. Stamtąd to niosły się w powietrze wesołe głosy.

— Widzisz, Zenek? — spytał Julek niby od niechcienia, głosem z lekka jednak zdławionym. — Widzisz? Tam są te stawy. Stąd widać jeden, dalej jest jeszcze drugi.

— Łączą się ze sobą — uzupełnił informacje Marian.

— Właśnie. I razem mają trzy kilometry!

— Nie trzy, tylko dwa dwieście.

— A właśnie, że trzy!

— Ty mieszkasz w Jurocinie czy ja? — w pytaniu Mariana zabrzmiała obraźliwa rzeczowość.

— Co z tego? — zaperzył się Julek.

— A to, że wiem lepiej.

— I dwóch wystarczy, żeby się rozpędzić — uśmiechnął się Zenek.

— Słuchaj! — Julek wyobraził sobie nagle ów rozpęd, przestrzeń otwierającą się przed oczami, szum wiatru w uszach i twarde postanowienie, by już się nie upominać, nie żalić, o nic nie prosić, straciło siłę. — Słuchaj, ale jutro przyjedziesz, prawda? Przyjedź! Postaraj się! Jak najwcześniej!

— Postaram się. A obiecać nie mogę, mówiłem już.

Julek zamilkł, nic nie dało się uzyskać. Zenek nie patrzył już zresztą w stronę stawów, coś innego zdawało się zajmować jego uwagę. Oparty o barierę plecami tak jak i Marian, spoglądał ku niedalekiemu wzniesieniu, gdzie pod samym prawie lasem stało kilka zamieszkanymi i kilka nie wykończonych bloków.

— To tam? — mruknął.

— Tam. Pierwszy dom z lewej strony, fen na górcie, z balkonami. Idziemy?

— Idziemy.

Kiedy znaleźli się w pobliżu osiedla, Zenek zarządził tak samo jak przedtem, że Marian ma iść do mieszkania, oni dwaj zostaną na dworze. Rozkazy, by zaraz wracał i „żadnego alarmu”, nie zostały powtórzone, rozumiały się same przez się.

Przysiedli na stosie zwalonych belek, a Marian wymijając doły, pokryte śniegiem cegły i rupiecie ruszył pod górę. Nie uszedł i kilku kroków, kiedy w domu z balkonami otwarły się z trzaskiem drzwi i troje małych dzieci, ciągnąc sanki, wysypało się na śnieg. Za nimi pokazały się dwie starsze zagadane dziewczynki.

— Marysia — oznajmił Zenkowi Julek.

Marian zatrzymał się, dziewczynki biegly w jego stronę i nagle jedna zawołała zaskoczona:

— Marian, Julek!... Co tu robicie?

— Nic — bąknął Marian. — Nie było tu Danki?

— Jakiej Danki?

— No tej, co jej pożyczyłaś łyżwy, przychodziła do was z moją mamą.

— Aha. — Oczy Marysi bacznie i ze wzrastającym zdumieniem patrzyły to na Mariana, to na Zenka i Julka. — A dlaczego ona miałaby tu być? Co się stało?

— Dlaczego miałyby się coś stać? My tylko tak — wycofywał się niezręcznie Marian. Julek otworzył usta, żeby udzielić wyjaśnień, których nie wiadomo dlaczego tamten tak skąpił, i zgromiony wzrokiem Zenka, zamknął je szybko z powrotem.

— Wracamy, Marian — Zenek wstał z wolna i nie śpiesząc się otrzepywał dżinsy ze śniegu. — Nie warto czekać, Danką na pewno od dawna jest w domu, chodźmy.

— Nic nie rozumiem! — Widać było, że ciekawość aż Marysię rozpiera. — Wytłumaczcie mi...

— Co? Szliśmy inną drogą, a ona inną, założyliśmy się, że trafi tu sama. Po drodze widocznie się jej odechciało, więc zawróciła.

— Ale...

— Idziemy, chłopaki — znowu przerwał jej Zenek. Ruszyli i dopóki nie znaleźli się na drodze do mostu, żaden się nie odezwał. Julek, obejrzawszy się parę razy, dostrzegł, że obie dziewczynki patrzą za nimi i patrzą i że Marysia coś tamtej drugiej z przejęciem opowiada.

— Zenek, ty naprawdę myślisz, że Danką jest już w domu? — spytał Julek. Zbliżali się do mostu i nikt nie; powołany nie mógł już ich usłyszeć.

— Wcale nie myślę.

— Więc dlaczego tak powiedziałeś?

— Żeby nie było za dużo gadania.

— I tak będzie — mruknął Marian.

— Wiem — potwierdził ze złością Zenek. — Wykombinowałem, co mogłem.

O co im chodziło? Julek nie mógł pojąć, dlaczego z głupiego' wyczynu Danki robi się taki sekret. Nawet Marian, który nie ma żadnego talentu do blagi, uznał, że należy ukryć to, co się stało, a Zenek wymyślił na poczekaniu jakąś gadkę, mogło niby być, jak powiedział, tylko że Marysia wcale w nią nie uwierzyła. Nie raz i nie dwa zdarza się człowiekowi mijać z prawdą, dorośli mają czasami takie wymagania, że ani sposobu sprostać, trzeba się jakoś bronić (Julek nie ma zresztą w tym zakresie przesadnej wrażliwości), ale w tym wypadku? Po co się wysilać? Co do niego, miał chęć wyrąbać wszystko, jak było. Niechby Marysia pośmiała się z Danki, jak ta odniesie jej łyżwy, niechby powiedziała: „Zachowałaś się jak prawdziwa wariatka”.

No, ale Zenek tego nie chce i Marian także nie, obaj zresztą prawie cały czas mają dziwne miny. Marian niespokojną, niepewną, jakby szukał, czego nie zgubił, i prawie się nie odzywa, a Zenek... i Julek znowu spojrzął w stronę przyjaciela, chcąc sprawdzić, czy się co nie zmieniło. Nie, wcale. Brwi zmarszczone, zamyślony, i to o czymś niebłahym, może nawet o bardzo trudnym? Już przed domem pana Józefa zauważył Julek ten Zenkowy wyraz twarzy, potem na krótko trochę się zmieniło (jak rozmawiali o wyścigu, Zenek był zwyczajny i wesoły), a teraz znowu! Czy dlatego, że nie zastali Danki na osiedlu? Chyba nie* Zenek z góry zapowiedział, że jej tam nie będzie, chciał tylko „sprawdzić”.

A może komuś grozi niebezpieczeństwo? Zenkowi? Dance?... Tu, w tym spokojnym Jurocinie, gdzie nigdy nic się nie dzieje?... Wykluczone, odpowiedział sobie Julek, doznając

czegoś w rodzaju wstydliwego żalu: niebezpieczeństwo to zazwyczaj niezwykle wydarzenie. Ale „niezwykle wydarzenie” nie może się wiązać z czymś tak głupim jak zachowanie Danki!

— No, dobrze — odezwał się niespodziewanie Marian. Zatrzymawszy się, stanął naprzeciwko Zenka, patrząc w jego twarz, jakby w nadziei, że wyczyta w niej odpowiedź na coś, co go dręczy. — No dobrze — powtórzył. Widać było, że dalsze słowa bardzo trudno mu wypowiedzieć. — Ale w takim razie nie wiem, gdzie ona może być! Pan Józef, ta Marysia i jej matka, tylko z nimi Danka się zetknęła. Tylko z nimi, rozumiesz? Z nikim więcej. Miasta przecież nie zna; rynek, parę ulic, i koniec. I zresztą... — Zaciął się i milczał dłuższą chwilę. — Co mamy teraz zrobić?

— Co mamy zrobić? — powtórzył z wolna Zenek.

— Właśnie.

— Pójdziemy na dworzec.

— Na dworzec? — krzyknął Julek. — Po co?

Marian spojrzał na Zenka prawie ze strachem.

— Słuchaj — bąknął — przecież Danka dzisiaj nie wyjeżdża. Dopiero za trzy dni.

— A ja ci mówię, że trzeba iść na dworzec. Co do mnie, to od początku myślę, że ona jest na dworcu.

„To po cośmy łazili na osiedle?” — p mało co nie wyrwało się Julkowi. Na szczęście przypomniał sobie w porę, co na ten temat niedawno usłyszał.

— Do warszawskiego pociągu jeszcze czas — Zenek spojrzał na zegarek. — Odchodzi szesnasta czterdzieści pięć.

— Skąd wiesz? — spytał odruchowo Julek. Nie żywił najmniejszej wątpliwości, że informacja jest ścisła, zastanowiło go tylko, skąd Zenek może takie rzeczy wiedzieć. Co innego dorośli, u dorosłych to naturalne.

— Tym samym pociągiem będziemy z wujkiem odjeżdżać, sprawdziłem na tablicy zaraz, jak przyjechaliśmy — wyjaśnił Zenek. — Słuchaj, Marian, czy Danka ma jakąś rodzinę poza Warszawą?

— Rodzinę? Nie.

— A kogoś znajomego, jakichś przyjaciół?

— Jedną starszą panią, ale ona jest teraz chora.

— I do chorej można pojechać, jeśli się bardzo chce. Chyba że jest w szpitalu.

— Tego to ja nie wiem.

— Gdzie ta pani mieszka?

— W Skarżysku.

— W Skarżysku? Dobra, ten sam pociąg, przesiadka w Warszawie.

— Zenek — powiedział Marian, zacinając się jeszcze bardziej niż przed chwilą. — Myślisz, że ona chce wyjechać? Tak nagle, nikogo nie uprzedzając? Dlaczego?...

Zenek machnąwszy ręką, jakby wszystkie te pytania uważał za bezsensowne, rzekł niedbale:

— Tęgo, bracie, to już ci nie wytłumaczę. Z dziewczynami nigdy nie wiadomo, co im strzeli do głowy. Nie warto się przejmować.

— Ja wam coś powiem: jak ona jest taka, to niech sobie jedzie! — włączył się Julek.

— Głupi jesteś! — krzyknął Marian, zaczerwieniwszy się z gniewu. — Nic nie rozumiesz!

— Sam jesteś głupi! Co tu jest do rozumienia? Przyjechała, nikt jej nic złego nie zrobił, wujenka dbała jak o kogo dobrego, a ona?... Wszystko popsuka, narobiła zamętu i w dodatku guzik ją to obchodzi. To jest niewdzięcznica. Niewdzięcznica, i tyle!

Nie wywołało spodziewanego echa to oświadczenie. Marian twardo zacisnął usta, a Zenek...

— Mniejsza z tym — mruknął. — Nie warto o tym gadać.

Julkowi zrobiło się głupio, wyczuł, że słowa o Dance wcale się Zenkowi nie podobają, i umilkł, bardzo rozgoryczony. Być w niezgodzie z Zenkiem uważał za przeciwnie naturze, bezsensowne w samym założeniu, a dzisiaj ciągle coś takiego wystrzela, że nie sposób się porozumieć. Pierwsze spotkanie po tylu miesiącach!

Zapadła cisza. Mijali właśnie most, tym razem nikomu już nie przyszło na myśl zatrzymać się przy barierze. Marian i Zenek spojrzeli przelotnie na rzekę i stawy, natomiast Julek umyślnie patrzył prosto przed siebie, co tamci dwaj powinni byli zauważyć. Nie zauważyli, na nic się to nie zdało. Jedynej, nędznej zresztą, pociechy dostarczały grudy śniegu na drodze, które można było od czasu do czasu kopnąć z furią i precyzją.

— Na dworzec też przez rynek? — spytał Zenek.

— Tak — odezwał się Marian.

Julek poczuł tak gwałtowną potrzebę okazania złego humoru, że zdradzając swą wierną miłość do Jurocina rzekł wzgardliwie:

— Wiadomo. W takiej dziurze wszędzie się idzie przez rynek. Stacja autobusowa też na rynku.

— Nie licz na autobus — mruknął Marian.

— Jak to?

— Nie mam pieniędzy. Skąd mogłem wiedzieć, że będą potrzebne?

— Wlec się piechotą taki kawał! Dziękuję.

— Więc wracasz do domu?

— Nie — warknął Julek. — Po chwili dopowiedział w sposób ostentacyjnie obrażony: — A zresztą zobaczę. Jak mi się będzie chciało.

Zenek nie zwracał uwagi na tę braterską wymianę zdań. Idąc, sięgał po kolei do trzech kieszeni i liczył na dłoni wydobyte pieniądze.

— W dwie strony nie starczy, sześć złotych muszę mieć na bilet do Chruścianki. Teraz pójdziemy pieszo, a z powrotem pojedziemy. Stąd do rynku mamy ze dwa kilometry, a z rynku na stację?

— Koło czterech — odpowiedział Marian.

— Coś ty!? — zdumiał się Julek. — Tam będzie z dziesięć!

Marian nie dał się wyprowadzić z równowagi.

— Autobus robi nawet dwanaście, bo objeżdża tartak i fabrykę, a potem zawraca do przejazdu — wyjaśnił zwracając się nie do Julka, tylko do Zenka. — A jak się idzie prosto, Kolejową, jest, jak mówiłem: cztery, i to z hakiem.

Julek wzruszył lekko ramionami, jako że nie jest przyjemnie uznać się za pokonanego, po czym mruknął:

— Sześć kilometrów. Ładny spacer, nie ma co mówić.

— Osłabłeś? — zakpił Zenek. — Biedaku!

— Oszalałeś? Nie lubię chodzić. I tyle.

— Nie ma w sporcie „nie lubię”.

— Łażenie to ma być sport?

— „Łażenie” ze zgiętym grzbietem, jakby cię kto obił i jeszcze miał chęć dołożyć, to pewno że nie. A przyzwoity marsz — to tak. Poprawia kondycję.

Julek wyprostował się, przyspieszył kroku, po chwili opanował chętkę kopnięcia efektownej grudy śniegu, choć wcale nie był pewny, czy Zenek mówił całkiem poważnie. Najważniejsze, że domyślił się, jak człowiekowi głupio, kiedy inni ledwie go zauważają (Marian odął się i milczy, a jak co powie, to byle na przekór). „Fajny jest, taki sam, jak był” — powtórzył sobie Julek. Ach, jaki wspaniały byłby cały ten dzień, gdyby nie historia z Danką!

Szli dłuższy czas w milczeniu, znowu mijając domostwa i ogrody ulicy Nadrzeczej. Tymczasem niebo zaczęło różowieć, śnieg stawał się dwubarwny, ciepły i świetlisty w

słońcu, a z każdą chwilą coraz bardziej niebieski w miejscach cienistych. Z drzew zrywały się gawrony i bezładnymi stadami frunęły ku zachodowi machając ciężko skrzydłami.

— Czy one lecą do lasu? — spytał Julek. — Dlaczego?

— Śpią w lesie, rano znów tu wrócą. — Zenek rozejrzał się po niebie. — Słońce zachodzi na wiatr, już teraz od rzeki ciągnie zimnem, czujesz? Zastanowił się nad czymś, a po chwili dodał: — Niedługo zmrok. Zanim przyjdziemy na dworzec, będzie ciemno.

— To co?

— Nic.

Chyba niezupełnie „nic”, chyba ta spodziewana ciemność na dworcu jakoś Zenka niepokoi. Zapytać?... Zenek nie lubi dopytywania się, nie odpowie, trzeba wytrzymać.

Kiedy dotarli do rynku, robiło się szarawo. W mieszkaniach włączano światło, za szybami błyskały coraz częściej jaskrawe choinkowe lampki, gdzieś tam świeciły nisko cienkie świece. Pod wpływem tych widoków dalsza droga wydała się Julkowi nieznośnie długa i nużąca, a chwila, kiedy znajdą się w domu z powrotem, zapalą choinkę, zasiądą do stołu przed szklankami z herbatą, struclą i piernikami na talerzykach — rozpaczliwie odległa. Poddając się tym nastrojom zmieniał z wolna marszowy krok na niedbałe, kolebiące się „wleczenie”, popatrywał na nielicznych przechodniów i coraz częściej zostawał w tyle.

Nie od razu zostało to zauważone, Marian trwał w milczeniu jak w skorupie, a Zenek po chwilowym „nawiązaniu kontaktu” znowu popadł w swoje o niewiadomych sprawach zamyślenie. Dopiero po jakimś czasie (mijali właśnie stację benzynową, Julek zatrzymał się i gapił na pobierającą paliwo szarą Syrenkę) zorientował się, że coś jest nie w porządku, i obejrzawszy się, gwizdnął z cicha. Znaczenie gwizdnięcia było dla Julka oczywiste, przestraszył się, podbiegł szybko i zrównał krok z chłopcami, czekając, co Zenek teraz powie. Może jak przedtem Marian i on także zapyta, czy Julek nie życzyłby sobie zawrócić do domu?

— Widziałeś na ratuszu, która godzina?

— Widziałem.

— No.

Więcej nic, niczego więcej zresztą nie potrzeba, by znowu iść równo i z energią. Wydostawszy się z wąskich i krętych uliczek śródmieścia, znaleźli się na Kolejowej, między składami desek, magazynami i budkami o niewiadomym przeznaczeniu; nie oświetlone budynki, czarne na tle szarzejącego nieba, wyglądały ponuro i smutno, jezdnia była pusta, latarnie rzadkimi jasnymi punktami świeciły gdzieś wysoko, nie rozpraszając mroku.

„Niemiło tu” — pomyślał Julek. Oczywiście, jak się jest z Zenkiem i Marianem, to nic wielkiego, ale samemu? Samemu i na przykład w nocy? Nawet teraz, kiedy szli razem, chrzęst ich kroków zdawał się budzić echo w ciemnych zakamarkach i sprawiał nieprzyjemne wrażenie.

— Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby tu było tak pusto.

— Mało kto wyjeżdża w pierwsze święto — wyjaśnił Zenek. — Tylko jeśli już koniecznie musi.

„A Danka? — pomyślał niechętnie Julek. — Wcale nie musi, a wykombinowała, żeby nie kiedy indziej, tylko właśnie dziś!”

— Ani jeden autobus nas jeszcze nie minął — mruknął, myśl o Dancie zatrzymując przy sobie.

— W święta chodzą rzadziej.

— Na ten pociąg zawsze jest autobus — wtrącił nie spodziewanie Marian. — Jedzie.

Zatrzymali się na chwilę, poprzedzony snopem światła pojazd zbliżał się niespiesznie po zamarzniętej jezdni. „A może Danka w nim jest?” — przeleciało Julkowi przez głowę. Marian i Zenek musieli pomyśleć to samo, z uwagą patrzyli w mętne szyby, kiedy autobus ich mijał.

— Tylko trzy osoby — odezwał się Zenek.

— Tak — potwierdził Julek. Po przejściu, autobusu ulica Kolejowa wydała mu się jeszcze bardziej ponura niż poprzednio.

Ruszyli i znowu zaległa między nimi zupełna cisza. Po jakimś czasie, minąwszy wysokie murowane ogrodzenie, znaleźli się na rozległym dworcowym podjeździe. Latarni tu było więcej, z okien budynku sączyło się na śnieg żółte światło i jasno błyszczała tarcza zegara.

— Słuchajcie — rzekł Zenek i Julek natychmiast zrozumiał, że zaraz dowiedzą się czegoś ważnego. Obaj z Marianem zatrzymali się odruchowo i patrzyli na Zenka w napięciu. Rozważał coś przez chwilę, marszcząc brwi. — Jeżeli Danka tam jest, a myślę, że jest, to uwaga. Jak nas zobaczy, będzie chciała uciec.

NIE GNIEWAJ SIĘ

— Uciec? — Marian zająknął się, chrząknął dziwnie, jakby dusiło go w gardle, i Julek, przestraszony, zwrócił się szybko ku niemu. Światło latarni padało na śnieg w miejscu, gdzie stali, j twarz chłopca wyraźnie bielą na tle ciemnego muru. Było w niej coś takiego, że Julek z miejsca zapomniał o wszystkich niesprawiedliwościach i krzywdach, które go od paru godzin ze strony brata spotykały. „Coś mu jest! — pomyślał z niepokojem. — Ale co? Przecież to obca dziewczyna, był zły, że ma przyjechać, a teraz tak się przejmuję. Czemu?”

— Jeśli postanowiła wyjechać, to przecież nie ma chęci, żeby jej ktoś w tym przeszkodził — rzekł spokojnie Zenek. — No, ale my właśnie się o to postaramy.

— Jasne — mruknął Marian. Opanował się już patrzył na Zenka z ponurą uwagą.

— Do pociągu jeszcze dwadzieścia pięć minut, więc chyba siedzi w poczekalni. Ale niewykluczone, że spaceruje po peronie, kto to może wiedzieć? Musimy się podzielić.

— Jak? Powiedz, jak? — przypilił Julek, choć w głębi duszy nadal uważał, że jeśli Danka chce jechać, to niech sobie jedzie. O przeciwstawieniu się Zenkowi nie mogło być jednak mowy, a poza tym sytuacja, całkiem niespodziewanie — stała się podniecająca. Czuł napięcie i gotowość jak najlepszego wywiązania się z zadania. „Zabawa w podchody” — przeleciało mu przez głowę. Zawstydził się, dla Zenka i dla Mariana wcale to nie zabawa, czuł to od początku.

— Są dwa wejścia, główne do kas i poczekalni i boczne prosto na perony. Marian idzie bocznym, okrąży dworzec i ma oko na tory. Ja zostanę przed wejściem głównym. Ty, Julek, sprawdzisz w poczekalni, ale tak, żeby cię nie dostrzegła, pamiętaj! i zaraz wracasz, żeby mi powiedzieć, co i jak.

— A jeśli mnie zobaczy?

— Jeśli cię zobaczy, to poleci albo na peron, albo tu, więc któryś z nas ją zobaczy.

— Dobra — rzekł Julek. — Idę.

— Czeka! Najpierw Marian.

— Dlaczego?

— Za dużo gadasz! — zgromił go Zenek. — Marian, idziesz. Jak miniesz przejście, to od razu pod ścianę, za kiosk czy coś takiego. Ludzi mało, będziesz miał peron jak na patelni, tylko że i ty łatwo możesz podpaść, więc uważaj. Nie płośz jej, nie pokazuj się (Julek zauważył, że przy tych słowach Marian chciał coś powiedzieć, może zaprotestować, ale się wstrzymał), czekaj spokojnie na mnie. Chyba żeby chciała wiać, wtedy radzisz sobie, jak możesz, byle ją zatrzymać przez tę chwilę, zanim nie przyjdę.

— No i ja z tobą! — przypomniał Julek.

— I ty, oczywiście.

— Jasne? — spytał Mariana Zenek.

— Tak.

Marian odszedł, nie powiedziawszy nic więcej. Śledzili go wzrokiem, a kiedy zniknął za szczytową ścianą budynku, Zenek odezwał się znowu:

— Teraz ty. — I chociaż dopiero co obciął Julka dość ostro, dodał wyjaśniająco: — Gdybyś poszedł pierwszy i na przykład spotkał się z nią nos w nos, to wiesz, co by było? Poleciałaby na peron, a że tam nikogo nie ma, to wślzłaby w jakąś dziurę i potem jej szukaj! Ciemno, a kolejarze nie lubią, żeby się kręcić, gdzie nie trzeba.

Sprawa prosta jak drut, wobec czego Julek, zawstydzony nieco swoim głupim wrywaniem się, pyta służbiście:

— Już czas?

— Już. Podejdę z tobą pod drzwi.

Po kilkunastu krokach Zenek zatrzymuje się, mruknąwszy: — Zostaję, idź — i Julek z bijącym sercem przekracza dworcowy próg.

Niewielka salka, trzy okienka do kas, dwa z nich zamknięte na głucho, tablica z ogłoszeniami, na wprost wyjście na perony; poczekalnia na lewo.

Julek podchodzi cicho ku ciężkim wahadłowym drzwiom i kryjąc się za framugą najdokładniej, jak to jest możliwe, zagląda do środka przez drobne mętne szybki. Ławki prawie puste, na jednej przysiadły blisko siebie trzy osoby (rodzice z synem? Chyba to oni jechali dopiero co autobusem), na drugiej rozciągnięty na całą długość śpi żołnierz. I to już wszystko. Oczekująca na pociąg rodzina trwa w milczeniu, jest przygnębiająco cicho, trudno uwierzyć, że to to samo miejsce, które do tej pory widywało się zawsze pełne ruchu i gwaru.

Z miejsca koło framugi nie widać najbliższego, prawego kąta sali, gdzie, jak Julkowi dobrze wiadomo, znajduje się bufet (teraz na pewno nieczynny) i gdzie pod samą ścianą stoi nieduża ławka. Czyżby Danka skryła się właśnie tam? Nie wydaje się to Julkowi możliwe, poczekalnia jest tak ponura, tak po brzegi wypełniona nudą, że chyba nikt (nikt młody, oczywiście) bez ostatecznej konieczności nie zgodziłby się tu tkwić. Chłopak między matką a ojcem siedzi tu, bo musi. „Spaceruje po peronie” — myśli o Dance Julek. On sam tak by właśnie postąpił, nawet w mróz, tam można przynajmniej popatrzeć, czy nie nadchodzi jakiś pociąg, czy nie manewruje lokomotywa, a tutaj to tylko się powiesić.

Trzeba jednak w kąć za bufetem jakoś zajrzeć, a potem, wiedząc, że zlecenie zostało wypełnione jak należy, wrócić z meldunkiem do Zenka. Czy razem pójdą na peron? Chyba tak, dopiero na peronie się rozdziela.

Julek popycha ramieniem połówkę drzwi i choć przekonany, że nie zobaczy nikogo, czyni to ostrożnie, jak najciszej, takie są reguły podchodów, zresztą Zenek w taki właśnie sposób kazał się zachowywać. Wystarczy niewielka szpara, tylko tyle, żeby rzucić okiem.

Jest! Jest Danka! Siedzi na ławce, tuż, o trzy kroki. Odwrócona ku oknu, twarzy prawie nie widać, widać ręce. Mała czerwona torebka przewieszona przez ramię, na kolanach album od Mariana. „Wariatka! — przelatuje Julkowi przez głowę. — Walizkę zostawiła, a takie głupstwo to wzięła. Wariatka, naprawdę!” Nieruchoma, ani się ruszy, tylko palce: powolnym, monotonnym ruchem wygładza nimi i wygładza zagięty rózek okładki. „Przestań, nie wygłupiaj się!” — krzyczy na nią w duchu Julek. Powinien biec do Zenka, zaraz pobiegnie, zaraz — jeszcze tylko chwilę. Zamarł nagle: Danka poruszyła się, widać jej twarz, jeśli spojrzy ku drzwiom, może go zobaczyć! Nie, znieruchomiła znowu, patrzy prosto przed siebie. Na co? Na kogo? Zdaje się nie wiedzieć, gdzie jest, nie widzieć ani ścian i podłogi, ani ludzi siedzących na ławic naprzeciw niej. Jakby nie było tu nikogo, jakby była zupełnie, zupełnie sama!

Julek poczuł nagle, że nie zniesie tego dłużej, nie wytrzyma. Nakazy Zenka, by się Dance nie pokazywać, straciły nagle wszelkie znaczenie. Podejdzie do niej, powie: „Idziemy do domu, chodź”. Pchnął ramieniem drzwi, nie ustąpiły, pchnął mocniej i nagle zauważył, że troje podróżnych wyprostowało się, nasłuchując, spoglądając w stronę okna na tory. Danka także. Pociąg?... Tak. Danka poderwała się gwałtownie i wyskoczyła na peron.

— Zenek! — wołał Julek biegnąc pędem ku wyjściu na plac. — Zenek!

— Co? — Zenek wynurzył się z cienia w załomie muru. — Uważaj! — syknął, bo Julek dopadając go o mało nie znalazł się pod nadjeżdżającą niespodziewanie taksówką.

— Widziałem ją! Była w poczekalni! Poleciała na peron! Pociąg nadjeżdża!

— To jeszcze nie warszawski.

Wiadomość była uspokajająca, Julek jednak nadal zachłystuje się ze zdenerwowania.

— Ona... my nie możemy... ona...

— O co chodzi?

— Ona nie może odjechać!

Nie dotarł do Zenka ten okrzyk, rozdzielili ich pasażerowie taksówki, kobieta z dzieckiem na ręku i mężczyzna dźwigający walizę. Z dalekobieżnego autobusu, który dopiero co okrążył plac, wysiadło kilkanaście osób, dworzec wyraźnie się ożywił.

— Idziemy — rzekł Zenek, kiedy znowu znaleźli się przy sobie. — Tylko pamiętaj: spokój, żadnych krzyków. I nie leć na nią tak od razu, jak ją zobaczysz.

— Dlaczego?

— Dlatego!

Ostro zabrzmiała ta odpowiedź, Julek puścił ją jednak mimo uszu. Wszystkie jego myśli były przy Dance. Jak długo siedziała w tej okropnej poczekalni? Od obiadu, kiedy tak nagle i cicho znikła z domu, że nikt się nie spostrzegł? A może wędrowała Kolejową niedługo przed nimi, sama jedna na całym tym wygwizdowie między miastem i dworcem? Czy się nie bała? Musiała się bać!

Kobieta z dzieckiem zagradza drzwi, trzeba ją przepuścić, jeszcze chwila — i już peron. Spojrzenie w lewo, spojrzenie w prawo — Danki nie widać. Na pierwszy tor wjeżdża pociąg towarowy, kłęby pary przesłaniają czekających. Gdzie Marian? Jest, nadbiega, blady, z szeroko otwartymi, jakby przestraszonymi oczami.

— Tam poleciała! — ruchem głowy wskazuje kierunek.

— Widziała cię? — pyta szybko Zenek.

— Nie wiem. Rozglądała się i nagle zaczęła wiać przez tory. A ja za nią nie mogłem, bo właśnie ten pociąg!

— Lecę! — krzyknął Julek. Ręka Zenka schwyciła go za ramię, osadziła na miejscu.

— Nigdzie nie lecisz, zostajesz tu z Marianem. Pilnujcie peronu i wszystkich wyjść.

Zostali sami, Zenek biegł szybko wzdłuż pociągu w kierunku wskazanym przez Mariana i parę osób obejrzało się za nim ze zdziwieniem. Już go nie widać, zniknął! Lokomotywa towarowego pociągu, olbrzymia, otoczona białym obłokiem, mija z wolna główne dworcowe drzwi, gdzie stoją obaj z Marianem.

— Ja także prędko biegam — mruknął z pretensją Julek.

Marian wzruszył ramionami, oznacza to, że nie z Zenkiem się Julkowi porównywać. Ma rację, wiadomo tylko, że głupio sterczeć tu, czekać i więcej nic.

— On się chyba nie zatrzyma.

— Kto? — budzi się z zamyślenia Marian.

— No, pociąg.

— Po co ma się zatrzymywać? Zwalnia, bo stacja.

Towarowe wagony toczą się jeden za drugim, stukając rytmicznie, lokomotywa już het, a końca nie widać i nie widać.

— Długachny! — mówi Julek, tak sobie, byle się odezwać. Niecierpliwi się, nie wie, co z sobą robić. Może jednak lecieć tam, gdzie Zenek? — Myślisz, że on ją znajdzie?

— Nie wiem — odpowiada z rozdrażnieniem Marian. —

Skąd mogę wiedzieć ?

„Niech ją znajdzie — myśli Julek z taką żarliwością, jakby to mogło Zenkowi pomóc. — Musi ją znaleźć!” Czy nie byłoby łatwiej, gdyby pobiegli tam we trzech? Marian także jest wściekły, że ma stać i więcej nic, to widoczne. Ale jak się Zenek uprze, to ani sposobu.

— Nareszcie koniec — oznajmia Marianowi, jakby przejazd towarowego pociągu miał dla nich znaczenie. Nie ma, oczywiście, żadnego, ale zasłania widok, a to jest nieznośne. — Ostatni wagon!

Tory znowu odsłonięte, pusto, szyny pobłyskują w mdłym świetle dworcowych latarni. Klekot kół oddala się szybko, słychać za to powolne, znudzone kroki i niegłośne rozmowy podróżnych, czekających na peronie. Niektórzy, zmarznięci, przytupują, spoglądając co chwila na jasną tarczę zegara.

— Gdzie on się podział? — mówi z cicha Julek. — Powinien już tu być.

— Idzie.

— Gdzie?

— Za kolejarzami.

— Idzie! A Danka?

Marian na to nic, ani słowa. Obaj nie porozumiewając się ruszają naprzeciwko.

— Nie ma jej tam — oznajmia Zenek, ledwo się zetknęli. — Za ostatnim torem goły parkan, więcej nic.

— Perony są wysokie, mogła przykucnąć, jak przechodziłeś — poddaje Marian z namysłem.

— Wykluczone. Patrzyłem wszędzie, towarowy zasłaniał mnie od stacji, jakby nie, kolejarze pogoniliby mnie zdrowo. Gdzieś tutaj musiała się schować!

— Tutaj? — zdziwił się Julek. — Gdzie?

— W dzień byłoby trudno, ale teraz — i Zenek popatrzył w bok: za budynkiem dworcowym stoją dwa kioski, oba teraz zamknięte, a dalej, w gęstym mroku, zwalone jedna na drugą, poniszczone ławki, przeznaczone zapewne do wyrzucenia.

— Za bocznym wejściem jest magazyn w remoncie. — odezwał się Marian. — Pełno tam różnych gratów.

— Właśnie. Tu czy tam, siedzi gdzieś w pobliżu, nie może inaczej być.

— To dlaczego stoimy? — krzyknął Julek. — Szukajmy!

— Nie.

— Jak to?

— Będziemy, jej szukać, a ona tymczasem wskoczy do pociągu, warszawski już za pięć minut. Jeśli chce odjechać, musi przyjść na ten peron. Od tamtej strony nie wsiądzie, nie da rady.

— Racja — mruknął Marian. Patrzył uważnie na Zenka, tak jak i Julek czekając dalszych zarządzeń.

— Rozdzielamy się. Ty — zwrócił się do .niego Zenek — idziesz w prawo, mniej więcej do tego wyjścia, gdzie stałeś przedtem, i masz pod obserwacją pierwsze wagony. Ja będę w środku, Julek na końcu. I uwaga: po pierwsze, musicie się zorientować, gdzie pociąg się za trzyma, po drugie...

— Lokomotywa dojeżdża zwykle parę metrów za magazyn — przerwał Marian.

— Dobra. Po drugie: nie zagapić się ani na chwilę, kto wie, czy Danka nie zechce wskoczyć w bieg. Jak który z was ją zobaczy, zaraz znak do mnie. Kapujecie?

— Tak — potwierdzili równocześnie.

— I jeszcze jedno, powtarzam: żadnych krzyków, wszystko gładko i po cichu.

— No, dobrze — odezwał się Julek, drżąc z podniecenia i napięcia, by dobrze wywiązać się z zadania. — A jak ona zacznie krzyczeć?

— Nie będzie krzyczeć.

— Skąd wiesz?

Zenek nie odpowiedział. Obejrzał się, patrzył chwilę na nikłe jeszcze światelko, które gdzieś bardzo daleko zabłysło nad torem.

— Warszawski? spytał Julek szeptem, jakby cisza i spokój obowiązywały już teraz.

— Chyba tak. No, każdy na swoje miejsce.

Marian odszedł bez słowa, nie oglądając się, Julek parę kroków towarzyszył Zenkowi, a gdy ten zatrzymał się w pobliżu głównych dworcowych drzwi i pożegnał go pokrępiającym klepinięciem po ramieniu, ruszył ku końcowi peronu, wymijając czekających. Pociąg jeszcze dość daleko, jeszcze go nawet nie słyszać, tyle że światła lokomotywy rosą z każdą chwilą. Przyciągają wzrok, trzeba jednak mieć na oku także i ciemnawy obszar dworcowych zakamarków, na które dopiero co zwrócił uwagę Zenek: kioski i zwalone ławki, za ławkami jest też jakaś buda. Oparto o nią wózek na śmieci i bagażową platformę, na której podwozi się do towarowego wagonu drobniejsze przesyłki. Wszystko to razem tonie w mroku, miejsca oświetlone ostatnią latarnią ledwo się rysują, a pogrążone w cieniu wydają się zupełnie czarne, zwłaszcza że zaśnieżona ziemia lekko bieleje. Nie ma tu kąta, gdzie człowiek chętnie poszukałby schronienia, choćby na krótko. A jeżeli już to zrobił, trzeba go zabrać, zabrać jak najszybciej, niech się nie poniewiera!

Pokusa, by odnaleźć Dankę natychmiast, bez żadnej zwłoki powiedzieć jej: „Przyszedłem po ciebie”, jest z każdą chwilą silniejsza. Zenek, co prawda, zakazał, mówił, że lepiej czekać na peronie, ale... Nie zajęłoby to dużo czasu, polecą i zaraz tu wróci!

„Nie, mowy nie ma” — zdecydował po chwili. Zenek zaufał mu, wierzy, że on i Marian zachowają się tak, jak zostało postanowione, jak się umówili/Spojrząwszy przeciągle w stronę tajemniczego dworcowego zaplecza, powtórzył więc sobie: „Jeżeli Danka tam jest, to przyjdzie”. Najważniejsze teraz zadanie to zorientować się, gdzie staną ostatnie wagony.

Pociąg zbliżał się, zrazu niewyraźnie, potem coraz głośniejsze i głośniejsze dawał się słyszeć szum i stukot kół. Dworcowy głośnik szczęknął, zacharczał, popłynęły w przestrzeń wyraźne, rąbane słowa: „Pociąg osobowy do Warszawy wjeżdża na tor pierwszy przy peronie pierwszym. Proszę uważać i odsunąć się od toru. Planowy odjazd pociągu o godzinie szesnastej czterdzieści pięć”. Nieliczni podróżni, rozproszeni po peronie, zaczęli się skupiać w pobliżu głównych drzwi i Julkowi, gdy zerkał w tamtą stronę, nie udawało się już Zenka między nimi zobaczyć.

Tu, gdzie stał, było pusto. Światła lokomotywy coraz bardziej oślepiające, łoskot i chrzęst płaczą myśli, jeszcze chwila i groźny, imponujący kształt mija go, przetaczając się dalej. Teraz wagony: pocztowy, towarowy i już zaczynają się pasażerskie. Julek cofa się parę kroków, by sprawdzić, czy ich dużo i gdzie się wreszcie zatrzymają. Pociąg jest bardzo długi i zwalnia tak wyraźnie, jakby zaraz miał stanąć. Ostatnie wagony znajdują się chyba poza peronem? (Czy to możliwe? Ludzie nie mogliby wsiąść!) Bieg pociągu trwa jednak nadal i z kolei ogarnia Julka niepokój, że umiejscowił się za daleko, może pobiec ku przodowi? Przeczeka z trudem parę chwil, ostatnie wagony już widać, nie ma obawy, wszystkie znajdują się w obrębie peronu. Ciche szczęknięcie buforów — i pociąg stoi.

„Dobrze” — ocenił sytuację Julek: przed nim trzeci wagon od końca, parę kroków w tamtą stronę i wszystko jak na dłoni. Drzwi otwierają się, wysiada kilku kolejarzy, dwaj wojskowi, jakaś kobieta. Nie wsiada nikt, ci, którzy czekali w pobliżu głównego wejścia, znajdują miejsca w wagonach środkowych, robi się tam coraz luźniej, jeszcze chwila i już widać Zenka.

Tu u końca pociągu cicho i głucho, nie dzieje się nic. Za szybami okien nieliczne, mgliście zarysowane głowy pasażerów. Z dala, od przodu pociągu, dobiega ciche posapywanie lokomotywy, czasami trzaska gdzieś jeszcze jakieś klamki, kto miał wsiąść, wysiadł, kto miał wsiąść, to wsiadł, peron pusty od brzegu do brzegu. Dla tych, którzy jadą, zaczyna się jałowe czekanie, żeby pociąg ruszył, a dla Julka, Zenka, chodzących po parę

kroków tam i z powrotem, dla Mariana, ukrytego gdzieś daleko w ciemności — minuty napięcia i zdenerwowania.

Bo Julek jest pewny, że tamci się też denerwują. No, on może najbardziej, to zrozumiałe, tylko on przecież widział, co się z tą Danką wyprawia. Nie wolno dopuścić, by odjechała, wykluczone! A tu czas mija, a jej nie ma! Powinna by się już pokazać, do diabła^ za cztery minuty odjazd! Wskazówka dworcowego zegara znowu przeskoczyła na dalszą kreskę... trzy minuty!

Może jednak jakimś sposobem Dankę przegapili? Przez chwilę na środku peronu był spory ruch* wcisnęła się między pasażerów i teraz siedzi gdzieś w pustym przedziale sama jedna i patrzy przed siebie jak tam, w poczekalni...

Przypuszczenie, że tak może być, a po chwili zupełna pewność, że tak właśnie jest, wprawia Julka w niesłychane napięcie, nie może już ustać na miejscu. Czekać i czekać, a tymczasem ona odjedzie! Bez sensu, trzeba przebiec wszystkie wagony, i koniec! A jeśli pociąg tymczasem ruszy?

— Pociąg osobowy do Warszawy stojący na torze pierwszym przy peronie pierwszym odchodzi... — mówi głośnik. — Proszę zamykać drzwi i odsunąć się od toru!

„Zaraz ruszy — myśli z rozpaczą Julek, spojrzawszy na zegar. — Za późno”. Nagle drgnął całym ciałem: ktoś wyskoczył z ciemności i biegnie ku drzwiom ostatniego wagonu. Danka? Danko! Skoczyła na stopień, szarpie kłamkę. Julek już w pędzie, trzeba dobiec, zanim tamta otworzy drzwi, koniecznie! Jest na drugim stopniu, na trzecim, otworzyła, zaraz drzwi zatrzaskną się z powrotem! Nie, pochyla się, podnosi coś, co upadło (album?), znowu jest w drzwiach.

— Danko! — wrzeszczy Julek, wskakując na stopień i chwytając ją za rękę. — Danko!

— Puść!

— Danko!

— Puść! syczy dziewczyna odwracając ku Julkowi pobladłą twarz. — Bo jak nie!...

— Nie puszczę! Słuchaj...

Wyrywa się, jest silniejsza, rozzłoszczona, dźwignęła się ku górze, wykręcając Julkowi rękę, kopie! Ani sposobu, żeby ją oderwać od poręczy! A pociąg już drgnął, już szcęknięły bufory, zaraz ruszy! Gdzie Zenek? Zenek! Powinien już tu być!

Jest. Wskoczył na stopień, strąca Julka, chwytając Dankę za ramię i jednym gwałtownym szarpnięciem ściąga ją na peron. Stoją naprzeciwko siebie dysząc, dłoń Zenka na ramieniu dziewczyny, aż mu palce zbieleły. Okna wagonu przesuwiają się, mignęły czerwone ostrzegawcze światełka z tyłu wozu. koniec, pociąg odjechał.

— Bydlę! Świnia! zduszonym, wściekłym szeptem mówi do Zenka Danka. Jakim prawem? Nienawidzę cię!

— Dobrze, dobrze... — odpowiada z cicha Zenek. — Chodźmy.

— Dokąd? Ani mi się śni!

— No, chodź.

Danka zapiera się ze wszystkich sił, ani drgnęła.

— Masz zamiar tu zostać?

— Co cię obchodzi? Nie twoja sprawa!

— Nocować na dworcu nie wolno.

— Jest jeszcze jeden pociąg!

— Chyba się mylisz. A jeśli nawet, to nie masz biletu.

„Skąd on to wie? — myśli Julek. — Mówi z takim przekonaniem, jakby wiedział na pewno”. Danka także wprowadza Julka w zdumienie, jest kimś zupełnie innym niż tamta dziewczyna w poczekalni, jest antypatyczna, twarda^ okropna. Nic ją nie obchodzi, tylko to jedno, że przeszkodzili jej odjechać. Zenek mógłby jej coś o tym powiedzieć, a on nic, uważa to za naturalne!

— Mam bilet!

— To pokaż.

— Opiekun się znalazł! Nie twoja sprawa, mówiłam!

— Moja nie moja, a nie będziesz podróżowała na gapę, nie dla dziewczyny takie sztuki.

Nie wyglupiaj się, chodź! — I Zenek znowu usiłuje pociągnąć Dankę za sobą.

— Puść mnie! Puść, słyszysz!

— Marian idzie — oznajmia Julek.

Danka znieruchomiała. Marian zbliżał się powoli, tak powoli, że Julkowi wydało się to dziwaczne. „Co on się tak wlecze? — pomyślał. — Mógłby się chyba pośpieszyć!”

Marianowi nie było to jednak w głowie, wyglądało nawet, że wolałby opóźnić, a nie przyspieszyć spotkanie z Danką. I wcale blisko nie podszedł, zatrzymał się o trzy kroki. Nie powiedział ani słowa, o nic nie zapytał, stał ze spuszczoną głową, w zupełnej ciszy. Dla Julka było to o wiele trudniejsze do zniesienia niż kłótnia, która się tu dopiero co toczyła.

— Długo będziemy tak stali? — spytał niecierpliwie. Byle przerwać milczenie, byle ktoś wreszcie coś powiedział!

Danka poruszyła się nieznacznie.

— Marian — szepnęła. — Nie gniewaj się...

„Co to znaczy?” — przeleciało Julkowi przez głowę. Dlaczego Danka mówi to właśnie do Mariana? Przecież wszyscy trzej jej szukali! Nie szarpie się już, wygląda, jakby ją kto zbił, przyciska do boku ten głupi album, a on ani się odezwie, osioł, nawet nie mruknie. Zenek też nic, zamurowało wszystkich na amen. Jego, Julka, także: słowa, które chciał Dance powiedzieć, patrząc na nią przez szparę w drzwiach poczekalni i potem, kiedy wyobraził ją sobie siedzącą samotnie w kącie przedziału, nie nadają się teraz do użytku, obok jest Zenek i Marian, miałby się wygłupić przy chłopakach? Spojrzał na jednego i drugiego i stwierdziwszy, że Marian jest sztywny jak kij, a Zenek zamyślony nie wiadomo nad czym, rzekł z rozdrażnieniem:

— No więc? Może się wreszcie zdecydujecie? Wieje jak cholera. Nogi mi zmarzły na kamień.

— Idziemy — zdecydował Zenek. — Chodź, Danka.

— Możecie sobie iść. — I jakby na dowód, że nie ma zamiaru im towarzyszyć, cofnęła się o pół kroku. Zenek chwycił ją za ramię i lekko popchnął do przodu.

— Puść! — rozzłościła się na nowo. — Zostaw mnie, słyszysz! Jak mnie nie zostawisz, zawołam milicję!

— Nie radzę — głos Zenka zabrzmiał ostrzegawczo i Julek spojrzał ku niemu ze zdziwieniem. Marian nie zwrócił jednak na te słowa żadnej uwagi, wcale ich chyba nie usłyszał. Patrzył i patrzył na Dankę, otworzył i zamknął usta, coś, co chciał powiedzieć, nie mogło mu widocznie przejść przez gardło. Dopiero po chwili wyjąkał z trudem:

— Danka, przecież w domu czekają, mama... chodźmy już.

— Nie! — krzyknęła histerycznie. — Nie! Nie! Nie chcę! Nie mogę! — głos jej załamał się nagle, przeszedł w płacz, w gwałtowne, namiętne szlochanie. Prędkie łzy płynęły po policzkach i kapały na palto. — Nie, nie! — powtarzała między jednym i drugim szlochem. — Nie! Julek poczuł, że nie wytrzyma.

— Słuchaj, dlaczego ona tak?... — chwycił Zenka za rękaw. — Marian! Niech ona tak nie płacze! Zróbcie coś! Zenek!

— Nie płacz — odezwał się bezradnie Marian. — Nie płacz.

— Danka... — Zenek nachylił się nad dziewczyną. — Niepotrzebnie się martwisz. Naprawdę.

Podniosła głowę i przez króciutką chwilę patrzyła na Zenka, jakby usiłując zrozumieć, co powiedział.

— Nie, nie! — powtórzyła płacząc. — Nie pójdę! Nie!

— Marian, Julek — odezwał się Zenek. — Słuchajcie, nie możemy tak tu sterczeć, jeszcze trochę, a przyjdzie jakiś kolejarz i zdejmie nas. Idźcie do poczekalni.

— Jak to? Dlaczego? — zdumiał się Julek. — A ty?

— Zaraz tam przyjdziemy.

— Z Danką? Przecież Danką nie chce!

— Idźcie już! — zniecierpliwiał się Zenek. — Późno się robi.

— Chodź, Julek — odezwał się sucho Marian.

Danka poruszyła się niespokojnie, jakby bała się zostać z Zenkiem sama.

— Ale... — zaczął Julek. Wyraz twarzy Zenka zniechęcił go do skończenia zdania. — No dobra, chodźmy — dodał niechętnie. — Jeżeli tak chcesz!

Szli ociągając się, Marian ze schyloną głową, Julek potykając się, bo oglądał się na Zenka i Dankę. Dostrzegł, że tamci podeszli pod kiosk (może dlatego, że mniej tam wieje?), Zenek oparty o ścianę zdawał się coś mówić, a dziewczyna drętwa i sztywna stała obok jak ktoś, kogo przymuszają do rozmowy, kiedy wcale nie ma na to ochoty. Potem, kiedy odległość zaczęła się zwiększać, szczegóły zatarły się i tylko mglisty zarys dwóch sylwetek dawał się wyłuskać z mroku.

— Czy ty coś z tego rozumiesz? — zwrócił się porywczo do Mariana. Wzburzenie i ciekawość nie dawały mu spokoju. — Dlaczego on kazał nam odejść?

Marian milczał.

— Dlaczego nic nie mówisz? — rozzłościł się Julek.

— Co mam mówić? Nic nie wiem.

Julek uświadomił sobie z goryczą, że jeśli nawet Marian coś wie, to mu tego nie powie. Od samego początku, od chwili kiedy wyszli z domu, ani do niego przystąpił. I teraz to samo, złości się i więcej nic. Jakby tylko on miał prawo być wściekły o to wszystko, co się dzisiaj wyprawia!

— Co to za włóczenie się po peronie? Co tu robicie? — Z bocznych dworcowych drzwi wyłonił się starszy kolejarz i idąc patrzył na nich krytycznie.

— My przecież nic — odpowiedział Marian.

— A co, nie wolno? — spytał zaczepnie Julek i zaraz usłyszał uciszające syknięcie Mariana.

— A nie wolno! — rzekł ostro kolejarz, mijając ich. — Marsz do domu, ale już!

Zatrzymał się i wyraźnie czekał, czy skierują się do wyjścia. Julka korciło, żeby obejrzeć się jeszcze raz w stronę kiosku, szedł jednak posłusznie za Marianem.

— Ja do poczekalni nie idę — oświadczył natychmiast.

— Dlaczego?

— Bo mi się nie chce. Zostanę tutaj.

Marian wzruszył ramionami.

— Tylko nigdzie nie łaż — mruknął i pchnął ciężkie drzwi.

Julek wałęsał się chwilę po pustej sali odczytując napisy nad okienkami kas, po czym ostrożnie zerknął na zewnątrz. Na peronie nikogo, kolejarz zniknął, można wyrzeć. Wystarczy parę kroków, żeby tamtych zobaczyć. Julek nie ma zamiaru ani się do nich zbliżyć, ani nawet się Zenkowi pokazać, absolutnie nie, tylko że siedzieć na dworcu i czekać to po prostu niemożliwe. Marian jak chce, to niech siedzi, Julek, choć przemarzł, woli być na dworze.

Coraz zimniej, fakt, cały dzień nie było wiatru, a teraz zawiewa porządnie. Ciekawe, kiedy nareszcie będą w domu? Przedtem, kiedy maszerowali Kolejową, myślał sobie, że byle znaleźć Dankę, to już po kłopotach, a teraz?... Zenek powiedział: „Zaraz przyjdziemy”, powiedział bardzo stanowczo, ale skąd on może mieć taką pewność? Danka ryczała okropnie, mówiła „nie”, nie chciała wcale go słuchać!

Julek zatrzymał się: widać już kiosk, jedna ściana oświetlona, druga w cieniu... nie ma ich! Przecież stali właśnie tam, na pewno tam! Co się stało? Dokąd mogli pójść? Niepokojące przypuszczenia, jedno gorsze od drugiego, przeleciały przez Julkowską głowę.

„Idę” — postanowił bez wahania.

Szedł cicho i szybko, pod samą ścianą, opanowując chęć, by puścić się biegiem. Nie należało tego robić, nie należało zwracać na siebie uwagi: ten kolejarz może być gdzieś blisko. A jeśli nie ten, to jakiś inny.

Dotarł do końca dworcowego budynku, teraz kawałek pustej przestrzeni i zaraz kioski, stos starych ławek, drewniana budka. Mrok zalegający te miejsca wydał się Julkowi gęstszy niż przedtem, zwolnił kroku poczuwszy, jak niemiło będzie tam wkroczyć („Należało tu przyjść z Marianem” — przyszło mu na myśl). I nagle stanął jak wryty: głos Zenka!

Są więc gdzieś tutaj, blisko, rozmawiają, nic złego się nie stało! Słów niepodobna rozróżnić, przeszkadza- własne głośno bijące serce, ale ton Zenka jest spokojny, jakby o czymś Dankę przekonywał. Może schowali się głębiej w cień, bo zobaczyli kolejarza? Jasne. Że też tak prosta rzecz nie przyszła Julkowi do głowy! Usłyszeli, jak kolejarz jego i Mariana przepędzał z peronu, nie mogło inaczej być.

— Danka — mówi Zenek z naciskiem. — Przecież ci tłumaczę.

Julek słucha, choć wie, że powinien odejść. Powinien, podsłuchiwać to wstyd, nie robi się tego! „Zaraz pójde. Zaraz” — postanawia, ale rozogniona ciekawość przeciwstawia się szlachetnemu postanowieniu. „Jeszcze chwilę — zdaje się szeptać. — Poczekaj jeszcze chwilkę!”

Zenek wyraźnie, prawie uroczyście, wybija teraz każde słowo:

— Posłuchaj: nie powiem nikomu i nigdy. Daję ci na to słowo honoru. Wierzysz?

Odpowiedzi Danki nie sposób uchwycić, dobiega natomiast do uszu Julka słówko: — No — wypowiedziane przez Zenka, co brzmi jak zakończenie rozmowy, która z trudem, ale osiągnęła cel.

Zawracać, co prędzej! Julek puszcza się w bieg, kolejarz ani mu teraz w głowie, myśli tylko o tym, co usłyszał i co wydaje mu się niepojęte. Dlaczego właśnie Zenek daje słowo, że nic nikomu nie powie? A oni z Marianem? Oni też wiedzą, że Danka chciała uciec, byli przy tym!

A może chodzi o coś zupełnie innego? Niemożliwe, przecież Zenek poznał Dankę dopiero dzisiaj, wie o niej tyle, ile mu się powiedziało. Więc?... Prawdziwa zagadka! I nie można będzie o nic zapytać, wyszłoby na jaw, że podsłuchiwał!

Przed skręceniem w wejściowe drzwi zwolnił nieco i obejrzał się. Zenek i Danka idą obok siebie po peronie. Zenek nie trzyma już dziewczyny za ramię, zdaje się wcale jej nie pilnować, spogląda to na opustoszałe tory, to w kierunku stacji. Danka, idąc, parę razy odgarnęła do tyłu opadające na twarz włosy.

„Ten Zenek! — pomyślał z podziwem Julek. — Powiedział: »Zaraz do was przyjdziemy!« — i przychodzą. Dopiero co wydawało się, że nie ma siły, która by zmusiła Dankę do powrotu, a teraz, idzie posłuszenie, jakby nigdy nic. Jak on to zrobił?” Niestety, nigdy się o tym nie dowie, Zenek nie lubi gadać, a jeszcze teraz, kiedy dał to niepojęte słowo honoru! Ale jest nadzwyczajny, już w Olszynach był nadzwyczajny!

— Wracają! — oznajmił Julek Marianowi, wpadając do poczekalni. Ten zacisnął usta i bez słowa spojrzął w drzwi. Po niedługim czasie Zenek uchylił je i kiwnął na chłopców. Danka czekała w sali i przyłączyła się do nich, nie podnosząc głowy. Nikt nie powiedział ani słowa.

Wyszli przed dworzec. Było zupełnie pusto, słabo oświetlony autobus stał z boku, kierowca usadawiał się z wolna na swoim miejscu i zapuszczał motor.

— Biegiem! — mruknął Zenek.

„Co za szczęście, że nie odjechał bez nas” — myślał Julek, znowu poczuwszy, jak strasznie chce mu się jeść, jaki jest zmordowany i zmarznięty. Rozsiadł się z lubością koło

Zenka, Danka i Marian znaleźli miejsce o dwie ławki przed nimi. Nie rozmawiali z sobą, myślałby kto, że się wcale nie znają.

„Głupio się zachowują — ocenił Julek. — A może nie głupio, tylko dziwnie? W ogóle cała ta sprawa z Danką jest okropnie dziwna”.

— Zenek?

— No?

— Powiedz mi — Julek zawahał się. Niczego istotnego się nie dowie, może jednak choć coś niecoś uda się z Zenka wydobyć? Nie mógł się wstrzymać, żeby przynajmniej nie spróbować. — Skąd wiedziałeś, że Dankę znajdziemy właśnie na dworcu? Że ona chce wyjechać?

— Człowiek przeszedł niejedno, to się czasem potrafi domyślić.

— Nie rozumiem tego. Przecież ty jej wcale nie znasz!

Teraz odpowiedziało Julkowi tylko milczenie. Poczul żal i ten żal pewno by się w nim porządnie rozrósł, a może nawet przemienił w rozgoryczenie, gdyby nie to, że po małej chwili Zenek odezwał się miłym, ciepłym głosem:

— Słuchaj.

Julek drgnął.

— Co?

— Dobry byłeś... przy pociągu, wiesz.

— A Jam! — mruknął wysoce lekceważąco Julek. Gwałtowna radość napędziła mu krew do policzków. Znowu idiotyczny, kompromitujący rumieniec! Julek na gwałt zaczął wyskubywać nitkę ze szwu spodni, co szło niesporo, bo autobus mocno zarzucał.

— Fakt!

— Wyleciała gdzieś od tyłu — niedbale informował Julek, ciągle zajęty sterczącą nitką.

— Właśnie. Dopadłem jej w ostatniej chwili. Gdyby nie ty, toby nam związała.

— Myślisz? — nie mógł się wstrzymać od pytania Julek, choć może bardziej po męsku byłoby nadal okazywać niedbałe lekceważenie dla zasłyszanej pochwały. Ale zbyt przyjemnie jest słyszeć takie słowa (i to od kogo? — od Zenka!), nie sposób się ich wyrzec.

— Oczywiście — potwierdził Zenek.

Julek zamilkł, minione popołudnie ożyło nagle w jego pamięci. Ach, jaki był głupi z tymi awanturami o ślizgawkę! Zachował się jak smarkacz. Jedyne nadzieje, że może Zenek nie będzie o tym pamiętał.

Po jakimś czasie, trochę już wypoczęty i z lekka znudzony jazdą, zaczął patrzeć w stronę tamtych dwojga. Zauważył, że dziewczyna zwraca coraz głowę ku Marianowi, a on jest

sztynny jak kołek. Julek skrzywił się — a mimo to, kiedy w pewnej chwili do jego bystrych uszu dotarł niespodziewanie szept: „Nie gniewaj się, Marian”, rozłościł się tak, że chętnie by na nią krzyknął. To naprawdę wariatka! Ciągłe przeprosza tylko Mariana! Teraz, kiedy nie groziło jej siedzenie na stacji i samotna podróż w pustym przedziale, kiedy tak jak na innych czekał na nią w ciepłym mieszkaniu świąteczny podwieczorek — krytycyzm Julka rozbudził się na nowo, a serdeczne uczucia nieco przybladły.

* * *

Wysiedli na rynku, do domu parę minut drogi — i wszyscy, choć nic o tym nie mówili, zdawali się myśleć tylko o jednym. Julkowi wyobraźnia podsuwała nieustannie widok zastawionego stołu, czuł jednak niepokój. Wujenka, wujek... jak Dankę przywitają? Wujenka od początku bardzo się o Dankę zlekła — i tyle godzin nie miała wiadomości! Wujek jest na pewno wściekły, może zrobi awanturę? Gniewa się rzadko, ale jak się gniewa, to koniec świata! Najlepiej, żeby się udało go jakoś zagadać... Ale czy się uda?

Marian też był nieswój. Szedł koło Danki, oglądając się na Zenka i Julka, jakby chciał im coś powiedzieć i nie mógł się zdecydować. Kiedy byli o kilka kroków przed domem, zatrzymał się i nic nie mówiąc czekał, by podeszli.

— Myślę — zaczął z wahaniem. — No, nie wiem, ale myślę, że...

— No co? — przynaglił Julek.

— Ja bym wolał w domu nie mówić, że Danka... że Danka chciała wyjechać. Mama...

Urwał, nikt nie pytał o zakończenie, sprawa była jasna.

— Dobrze — odezwał się zdecydowanie Zenek. — To co powiemy?

— Właśnie nie wiem—wyznał Marian.

Zapadła cisza, w głowie Julka jeden pomysł gonił za drugim.

— A ja wiem! Zabłądziła w lesie! Poszła do Marysi, Marysia mieszka koło lasu, Danka szukając osiedla źle za mostem skręciła, no a w lesie to już wiadomo, nawet drogi teraz zawiane...

— Można — osądził Zenek.

— Myślisz? — wahał się Marian.

„Nie umie błagować, wiadomo” — przeleciało Julkowi przez głowę. Rzekł z przekonaniem:

— Nic lepszego nie wykombinujemy.

— Powiesz tak? — zwrócił się do Danki Marian.

Widać było, że jest bardzo przestraszona, i Julkowi znowu zrobiło jej się żal. Przecież nie na nich, a na nią spadnie ta awantura, narozrabiała nieźle, należy jej się, ale...

— Powiem — szepnęła do Mariana.

* * *

Zadzwonili, Julek wpadł pierwszy i nim wujenka zdążyła otworzyć usta, wrzasnął, że Danka znaleziona, poleciała do Marysi i zabłądziła w lesie, że okropnie zmarzli i że jest potwornie głodny. Dwa ostatnie zdania zabrzmiały szczerze, włożył w nie zresztą jak najwięcej wyrazu, niestety, wujenka zdawała się wcale ich nie słyszeć.

— Danusiu!... — powiedziała cicho.

Danka wysunęła się zza pleców Mariana i Zenka i spuściła nisko głowę. Włosy zasłoniły twarz, spod włosów spadło na podłogę kilka kropel.

— Nic ci się nie stało?

Danka potrząsnęła głową na znak, że nie, krople zaczęły spadać gęściej.

— Nic jej nie jest, proszę pani — odezwał się Zenek.

— Ojca nie ma? — Marian szeptem zadał matce to pytanie.

— Wyszedł. Mówił, że może was gdzie spotka.

„Dobra jest” — pomyślał Julek, poczuwszy kolosalną ulgę; Marian też powinien być zadowolony. Zerknął ku bratu, gotów wymienić porozumiewawcze spojrzenie, gniew i obraza minęły. Ale Marian nie patrzył w jego stronę. Zagapiony, ściągał oswiale wiatrówkę i wcale nie wyglądało na to, że się cieszy powrotem do domu. Danka trzymała się na boku. niepewna, nieruchoma, nawet policzków sobie nie obtarła. A Zenek? Zenek też ma nieswoja minę.

Julek oparł się o ścianę koło wieszaka, zdjął buty i cisnął je na ziemię ze złością, z umyślnym hałasem. Niech ktoś na niego nakrzyczy, niech znowu będzie normalnie, jak przedtem!

DECYZJA

— Nasza topola! Widzisz?

— Tak — szepnęła Ula, choć pytanie Pestki nie wymagało odpowiedzi. Minęły właśnie łuk zbitych kryjących rzekę zarośli i otwarty brzeg ukazał się przed ich oczami. Na brzegu rosochaty wykrot, splątane korzenie sterczą ku górze na wszystkie strony, wspaniały pień zalega nad wodą prawie poziomo, połowa korony zanurzona, najdalsze, cienkie jej gałązki zdają się dotykać wyspy. Tak samo jak wtedy, jak w lecie, kiedy bywało się tu co dzień, a czasem i dwa razy w ciągu jednego dnia. Pestka, rzecz prosta, pierwsza wtargnęła na przewrócone drzewo. Szła po pniu jak po desce, czasem tylko chwytając się gałęzi dla równowagi.

— Zdaje się, że nie ma naszej kładki — oznajmiła po chwili.

— Uważaj! — Ula stanąwszy na grubej części pnia patrzyła z niepokojem, jak Pestka wkracza bez wahania na najdalszy, opadający ku wodzie konar, o który Marian i Julek oparli niegdyś przyniesione z Olszyn żerdzie, łącząc w ten sposób wyspę z lądem. — Uważaj, kora jest bardzo śliska!

— Uważam! — zabrzmiała lekkomyślna odpowiedź.

Pestka posuwała się naprzód po coraz mocniej rozchwianej gałęzi i wreszcie, przykucnąwszy, obmacała jej załamania i sęki, zanurzone w wodzie. — Nie ma! Myślałam, że może prąd je zniósł od strony brzegu, ale że od tej strony się trzymają, były przecież przywiązane. Psiakość! O przeskoczeniu ani mowy, za szeroko. — Cofnęła się parę kroków i znalazłszy dogodny po temu miejsce, huśtała się wśród konarów i gałęzi, patrząc wokoło i podśpiewując. Po chwili znieruchomiała i przycichła.

Ula chłonęła widok wyspy w zupełnym milczeniu. Wszystko, na co spojrzały oczy, było znane i wszystko wyglądało inaczej. Przewrócona topola, rosnące na brzegu i na wyspie drzewa ukazywały zawiły rysunek gałęzi, których dawniej nie było widać. Zachodni wiatr zgina je, świszcząc, przy mocniejszych porywach drobne gałązki uderzają o siebie z chrzęstem. Smutno to brzmi i surowo, niepodobnie do szumu liści, którego tak dobrze było słuchać. Nad ziemią szeleszczą zmurszałe chwasty, bura trawa przyłgnęła do mokrej ziemi, widać każde zakłębienie gruntu, schowane w lecie pod liśćmi łopianów. Wały tarniny, wówczas nie do przeniknięcia, są teraz przejrzyste, widać wszystko, co jest za nimi, prawie całą wyspę, z wyjątkiem niewielkiej jej części, ukrytej za piaszczystym pagórkiem. To tam, pod leszczyną, znalazły chorego Zenka, tam zbudowano dla niego szałas, tam rozpałał sobie ognisko...

— Wiesz... — rzekła z namysłem Pestka. — Teraz wyspa nie wydaje mi się taka tajemnicza jak w lecie. Ani taka duża. A tobie?

— Pewno dlatego, że nie ma liści — odpowiedziała Ula bez przekonania. Jej również wyspa wydała się mniejsza, cóż to ma jednak wspólnego z tajemniczością? Jest tajemnicza tak samo, jak była: zrodziło się tu przecież coś niepojętego, czego nigdy przedtem nie zaznała i czego nie mogła ogarnąć rozumem. Nieznany, chory chłopiec obudził się i opowiedział swój sen: „Śniło mi się, że spadam w przepaść. Otworzyłem oczy — i zobaczyłem ciebie”. Tymi słowami swoje opowiadanie zakończył i od tych słów się zaczęło.

— Ula? — Pestka, której zaduma minęła równie szybko, jak się zjawiała, znowu rozhuśtała śliską gałąź.

— No?

— Szkoda, że nie możemy dostać się na tamtą stronę. Wysłałybyśmy do chłopaków kartkę: „Pozdrowienia z naszej wyspy”.

— Uważaj, wpadniesz do wody.

— E tam! Swoją drogą kozaki mam mokre na wylot! A ręce? Zobacz! — śmiejąc się pokazała Uli dłonie umazane na czarno oślizłą, na pół zgniłą korą gałązek, których się co chwilę chwytala. — Śliczne, co?

Ula uśmiechnęła się i jej myśli, dopiero co skupione wokół tamtej tajemnej sprawy, wróciły do codzienności.

Przyjechały z Pestką do Olszyn licząc na śnieg i mróz, miały się ślizgać, tatko obmyślił, że w Nowy Rok urządzi coś w rodzaju kuligu, przejażdżkę sankami do dalekiego lasu — i nic z tego wszystkiego nie wyszło, gwałtowna odwilż zniweczyła piękne plany. Dla niej to mniejsza, grunt, że jest u ojca i każdego wieczora może z nim pogadać (w Nowy Rok był w domu cały dzień!) — ale dla Pestki? Prócz spacerów i telewizji żadnych atrakcji, miałyby prawo żałować, że nie została w Warszawie, a w każdym razie nudzić się i okazywać zły humor. No, i nic z tych rzeczy! Humoru nie straciła, cieszy się byle czym, z ojcem gada jak najęta (choć przecież zna go bardzo mało), słucha bez ziewania opowieści pani Cydzikowej o jej dzieciach w Kanadzie, obchodzą ją wszystkie olszyńskie i domowe sprawy, jakby spędziła tu pół życia. „Jak dobrze, że tatko ją zaprosił! — myśli Ula z ciepłym uczuciem, które ogarnia i ojca, i Pestkę. — Wiedział, jak mi będzie z nią przyjemnie!”

— Słuchaj! — pyta Pestka, jakby uderzona nagłą myślą. — A co z Dunajem?

— Pani Cydzikowa mówiła, że pokazał się wczoraj i przedwczoraj z daleka, między drzewami. Ale myślę, że to tylko jej dobrotliwa imaginacja, żeby mi zrobić przyjemność.

— Nie wiadomo. Mógł wyczuć, że jesteś.

Ula od pierwszej godziny pobytu marzyła, żeby tak się stało. Nie było jej jednak tyle miesięcy, odzwyczaił się, może odszedł gdzieś daleko? Nie ma sposobu, żeby się o tym przekonać!

— Wiesz, trzeba wracać do domu.

— Bo co?

„Bo masz przemoczone buty” — chciała odpowiedzieć Ula. Ale że głos rozsądku nie byłby zapewne dobrze przyjęty, znalazła inny motyw, całkowicie realny:

— Przecież dzisiaj same gotujemy obiad, pani Cydzikowa w mieście.

— Prawda! — rozradowała się Pestka. — Jestem głodna jak wilk.

— To źle.

— Bo co?

— Prędko tego obiadu nie będzie!

— A właśnie, że będzie! — Zeskoczyła z pnia na ziemię, a Ula nieznacznie obejrzała się za siebie, żeby jeszcze raz objąć oczami, wyspę. Pestka, wycierając ręce mokrą chustką, mówiła z podnieceniem dalej: — Nie zrobimy normalnego obiadu, po co nam to? i ożywiona coraz bardziej odstępstwem od reguł, których nigdy nie lubiła, zaproponowała na pierwsze jajecnicę. — Może być z sokiem pomidorowym, jeśli jest. (—Jest — wtrąciła Ula). A na drugie... Na drugie wiesz co? Kartofle pieczone w niespodziance!

— W kominku?

Bo właśnie kominek, prawdziwy kominek, w którym paliło się drzewem, był ową przygotowaną dla Uli niespodzianką, o której tatko w przedświątecznym liście wspomniął. Ustawiony w rogu pokoju, który zwykle służy ojcu jako jadalnia i sypialnia i który teraz został odstąpiony dziewczynkom — wzbudzał ich nieustanny zachwyty.

— Coś wspaniałego! — oświadczyła Pestka, kiedy pierwszy raz rozbłysł w ciemnej czeluści żwawy, wesoły płomień. Ula nie powiedziała nic, tylko usiadłszy na poręczy fotela, przytuliła policzek do policzka ojca.

— No? — spytał, uśmiechając się.

— Cudo! — westchnęła. Ale że w ciągu swego niedługiego życia nauczyła się troszczyć o wiele spraw, które jej rówieśnikom nie przychodziły nawet do głowy, spytała niespokojnie:

— A drzewo? Drzewa nie zabraknie?

— Mamy duży zapas — znowu uśmiechnął się ojciec. — Nie musicie oszczędzać.

Nie oszczędzały więc, rozpałały ogień każdego dnia, a teraz Pestka umyśliła upiec w popiele kartofle.

— Zgadzasz się?

— No pewno! — odpowiedziała z zapałem Ula, zastanawiając się, dlaczego Pestce tak często przychodzą do głowy atrakcyjne pomysły, a jej nigdy a nigdy.

* * *

— Jest drzewo w domu? — spytała Pestka, ledwo stanęły w progu. — A może trzeba przynieść?

— Zaraz przyniosę.

— Lepiej rób jajecznicę, umieram z głodu.

— Ale dziś trzeba dużo drzewa.

— Będzie cała fura, nie bój się.

Ula zrzuciwszy przemoczone kozaki i wiatrówkę, zapaliła gaz (z butli! to także było w domu ojca nowe; „Olszyny się cywilizują” — orzekła Pestka), wstawiła wodę na herbatę i zajęła się rozbijaniem jajek oraz krajaniem licznych kromek chleba. „Pierwsze danie” musi być solidne, na kartofle dobrze się trzeba będzie naczekać — co najmniej godzinę. Pestka przyniosła pierwsze naręcze drzewa i zwaliwszy je z hukiem na podłogę koło kominka, poszła po drugie. Po chwili była z powrotem, z pustymi rękami i rozjaśnioną twarzą:

— Dunaj!

— Naprawdę?!

Ula wyskoczyła przed ganek, Pestka za nią. Pies stał przed furtką, jakby czekając, żeby go wpuszczono, ale kiedy biegły ku ogrodzeniu, cofnął się z lękiem na drugą stronę drogi i mimo nawoływania Uli długi czas nie chciał podejść bliżej.

— Dunaj! — mówiła Ula serdecznie, cichym głosem, którym w lecie zawsze do niego przemawiała. — No, chodź, nie bój się... Znowu jest bardzo chudy — szepnęła do Pestki. — Przynieś chleba, dobrze?

Kiedy Pestka odeszła, w postawie Dunaja zaszła wyraźna zmiana: przestał się cofać, podniósł łeb i zaczął, nieznacznie machać ogonem.

— Kochany, głupi pies — mówiła Ula. — Kochany, głupi dzikus!

Dunaj zdawał się rozumieć serdeczność tego przemówienia, ogon poruszał się coraz szybciej; nie wyglądało jednak na to, by miał chęć na pogłaskanie. Wiedziała, że nie należy mu tego narzucać. Najważniejsze, że jest zdrowy i że ją pamięta. Może to jakaś dobra wróżba?...

Połamany na kawałki chleb przyniesiony przez Pestkę trzeba było rzucać na drogę, bo Dunaj tak jak kiedyś, przed oswojeniem — nie chciał brać ich z ręki. Tyle tylko, że za każdym razem podchodził nieco bliżej i energicznym ruchem ogona ujawniał coraz większe zadowolenie.

Po jakimś czasie Pestka stwierdziła, że Dunaj zjadł dosyć, natomiast ona jest głodna zupełnie nieludzko, a Ula sterczy na drodze w kapciach i bez kurtki. Trzeba było zawrócić do domu.

— Przyjdź jutro, Dunaj —zegnała psa Ula, zamykając furtkę. — Przyjdź, rozumiesz? Jak przyjemnie, że się pokazał, prawda? — zwróciła się do Pestki.

— Prawda! Ale nogi zmarzły mi na kość!

— Zdejmuj zaraz kozaki! — zarządziła Ula z niezwykłą dla niej energią i wesołością. — Smaż jajka, ja resztę drzewa przyniosę, żeby potem nie wychodzić — i zaraz jemy!

* * *

Niedługo potem zasiadły na starym dywaniku przed kominkiem, oparły plecy o tapczan i przyciszone domową błogością, ciepłem i rozleniwieniem, patrzyły w ogień pogadując od czasu do czasu o tym i o owym, o powszednich, drobnych sprawach, o błahych myślach, które zjawiają się i nikną w niewiadomy sposób, a które miło jest przekazać. Człowiek czuje wtedy, że jest „razem”, że ten ktoś obok skłonny jest do porozumienia, bliski i swój.

Kominek wzmacniał ten nastrój w sposób oczywisty, obie nie odrywały oczu od tego, co się działo w jego wnętrzu. Bez przerwy coś się tu odmieniało, wątle płomyki przebiegające niepewnie skrajem wilgotnego drzewa, gotowe zrazu ulecieć i zniknąć, nabierały mocy, czerwieniały, drewno zaczynało płonąć z wszystkich stron, trzeszcząc, by już po chwili zszarzeć i przemienić się w popiół. Dwie, trzy dorzucone gałęzie czy widlasta karpa korzeni — i dramatyczna sprawa zaczynała się na nowo.

— Pięknie, prawda? — szepnęła Pestka.

— Tak...

— Człowiek jest swoją drogą dziwny, nie uważasz?

— Bo co?

— Pomyśl! — ożywiła się Pestka. — Technika, klimatyzacją, fotokomórki, sztuczne tworzywa, wszystko, żeby wygodniej, lepiej, bez fady, kuchnie jak laboratoria (u nas jeszcze tego mało, ale już się zaczyna), ogrzewane pojazdy itepe. A potem widzi się żywy ogień i aż dech zapiera! Choć równocześnie tamtego wszystkiego też by się strasznie chciało!

— Ja to bym wolała żyć sto lat temu.

— Naprawdę?!

— Było wtedy więcej lasów, zwierząt, i w ogóle. Nie długo to już wszędzie będą tylko miasta i miasta — westchnęła Ula.

— Urbanizacja — rzekła mądrze Pestka. — No, ale na razie mamy w Olszynach kominek! — roześmiała się, nieskłonna do zmartwień o daleką przyszłość. — Twój ojciec miał genialny pomysł, naprawdę.

— Ja też tak uważam.

Znowu na chwilę zaległa cisza. Ula nagarnęła popiół na kartofle i wróciwszy na swoje miejsce, zapatrzyła się w ogień.

...Zenek. Od pierwszego rozpalenia kominka zamarzyło jej się, żeby kiedyś, kiedyś z nim właśnie przy tym kominku posiedzieć. Na wyspie dość dużo czasu spędzało się przy wspólnym ognisku, nie były to jednak okazje do rozmów. Gdyby znaleźli się tutaj, w spokoju, odosobnieniu, patrzyliby razem w ogień, może zechciałby jej o sobie opowiedzieć, o swoim życiu, dawnym i obecnym, o wszystkim, co go obchodzi. Usłyszałaby, że mu jest dobrze, bardzo chciałaby to usłyszeć. A może... może dodałby jeszcze, że trochę tego „dobrego” to właśnie dzięki niej, dzięki temu, że się spotkali?

Czy możliwe, żeby takie marzenie mogło się kiedy spełnić? Wątpiła w to coraz bardziej. Minęły święta, list, który — jak to sobie tak ładnie w myślach ułożyła, powinien być do niej w czasie świąt napisany — nie nadszedł. I pewno nie nadejdzie. Jedyne wieści, które do niej o Zenku dotrą, znajdą się w kartkach od Mariana czy Julka, jeśli, naturalnie, zechce im się je wysłać. Nie nastąpi to wcześniej niż na Wielkanoc.

Pestka poruszyła się i nasłuchiwała pochylając głowę.

— Ktoś jedzie na rowerze — wyjaśniła Ula rozpoznawszy ciche odgłosy. — Może listonosz?

Wyjrzała przez okno i w zapadającym mroku zobaczyła znaną dobrze postać.

— Tak, listonosz — odpowiedziała na pytające spojrzenie Pestki.

Wróciwszy spod furtki nie włączyła elektryczności, ogień kominka dość dawał światła, by przejrzeć, co do ojca nadeszło. Była tego spora paczka, pisma lekarskie, tygodniki, urzędowe zawiadomienia, pocztówka ze spóźnionymi życzeniami. I jeszcze jakiś list, ten chyba prywatny. Wzięła go w rękę i, zaskoczona, z bijącym sercem, trzymała go nie odkładając na bok i nie otwierając.

— Co to takiego? — zainteresowała się Pestka.

— Od Mariana.

— Do twojego ojca? — oczy Pestki zaokrągliły się ze zdumienia.

— Nie. Do mnie.

— To czemu się tak zastanawiasz? Czytaj!

Ma to być czytanie głośne, rzecz jasna, inne nie wchodzi w rachubę, Pestce ani na myśl nie przyjdzie, że Ula wolałaby przeczytać ten list po cichu, a najlepiej w samotności. Wolałaby!... Nie mają z Marianem żadnych wspólnych sekretów, ale może w jego liście jest jakaś wiadomość o Zenku? Nawet jeśli to nic ważnego, Ula nie chciałaby o tym z Pestką mówić. Nie lubi o Zenku z Pestką rozmawiać. O wszystkim innym — jak najbardziej, jak najchętniej, tylko nie o Zenku! Dziwne, ale tak już jakoś jest.

— No? — pośpiesza Pestka. — Ale długi! — wykrzykuje zobaczywszy cztery zapisane równo strony. — On zawsze tak się obszernie wyszczególnia?

— Do tej pory dostawałam kartki, zresztą tylko dwie, na jesieni i potem na święta.

— To tak samo jak ja. Czytaj.

— Dorzuć drzewa, może wygasnąć — odpowiada Ula. I już dłużej nie można zwlekać, nic się nie poradzi.

Ula czyta:

— *Kochana Ulko! Pewno się bardzo zdziwisz, że piszę do Ciebie ten list, w ogóle nigdy długich listów nie pisałem, bo nie mam do kogo ani o czym. Dowiedziałem się z Twojej kartki, że na Nowy Rok będziesz w Olszynie, i dlatego do Olszyny ten list adresuję, w Warszawie czekałby na Ciebie parę dni, a jest pilny. To Zenek...*

— Dlaczego przerwałeś?

— Zaraz — Ula udaje, że zgubiła wiersz. — Zaraz... Aha. *To Zenek namówił mnie, żebym do Ciebie napisał, i prosił o prędką odpowiedź, czy się zgadzasz. Piszę więc, ale nie wiem, jak mi się uda, bo to jest bardzo dziwna sprawa i trudno ją wytłumaczyć.*

— O! — W oczach Pestki błyski ciekawości. — „Dziwna sprawa”? No, czytaj.

— *Na święta była do nas zaproszona jedna dziewczyna z Warszawy (z domu dziecka), nazywa się Danką. Nikt jej nie znalazł, nawet mama, więc nie wiedzieliśmy, jak to wypadnie. Jak przyjechała, to z początku była trochę dzika, ale się po trochu do nas przyzwyczajała, mama ją polubiła i wszyscy też, wydawało się, że jest jej u nas dobrze, i wilia była bardzo wesoła. A potem nagle, w pierwsze święto, Danką wyszła z domu nic nikomu nie mówiąc, myśleliśmy, że na podwórze, ale nie, nigdzie w pobliżu jej nie było. Wszyscy się bardzo zdenerwowaliśmy, a najwięcej mama, no i wtedy Zenek powiedział, że pójdzie Dankę szukać, naturalnie ja i Julek poszliśmy z nim także. Chodziliśmy parę godzin i w końcu znaleźliśmy ją na dworcu (Zenek spodziewał się, że ją tam zastanie), chciała wskoczyć do pociągu, ale...*

Ula przerwała znowu.

— Słuchaj — odezwała się do Pestki ze zdumieniem. — Przecież... przecież to niesłychane!

— Czytaj. Czytaj!

— *Chciała wskoczyć do pociągu, ale Zenek jej nie dał, bo nie miała biletu, i w ogóle, i wytłumaczył jej jakoś, że ma zostać. Wróciliśmy z nią do domu i potem, aż do jej wyjazdu (wyjechała wczoraj), wszystko było w porządku, ale już nie tak jak przedtem, bo nikt nie wierzył, że jest jej u nas dobrze. Nawet mamie nie powiedziała; dlaczego chciała uciec. Poza tym to nawet starała się być miła, tylko że mało co się odzywała, przeważnie patrzyła w telewizor. Nikt nie mógł zrozumieć, o co jej poszło, i przez to było w domu nieprzyjemnie.*

Więc jak Zenek drugi raz przyjechał do nas z Chruścianki, na krótko, tylko po to, żeby się pożegnać, to go zapytałem, co o tym myśli, a on powiedział, że jak komuś życie krzywo się ułożyło, jak Damę, i jest sam, to robi się trochę, dziwny i nieraz głupie pomysły przychodzą mu do głowy: I dlatego, Zenek uważa, że byłoby dobrze, żeby Danką mogła się czasem z Tobą zobaczyć i żebym o tym do Ciebie napisał. Nie wiem, czy się zgodzisz, ale chciałbym. Więc mi napisz, jak i co, to poproszę mamę, żeby napisała do internatu Danki, że ona może do Ciebie czasem pójść, jak będzie chciała. Mówiłem jej, że Ty i Pestka byliście z nami w Olszynach. Pozdrawiam Cię i czekam na odpowiedź. Marian.

— No wiesz! — bąknęła Pestka. Jest bardzo poruszona, ale co kryje się za jej niejasnym słówkiem. Ula nie próbuje dowieść, zbyt zajęta tym, co się dzieje w niej samej. Opisane przez Mariana wypadki i jego prośba posiały w niej niepokój, nad wszystkim góruje jednak uczucie dotkliwej, upokarzającej przykrości. „Nawet przy takiej okazji nie chciało się Zenkowi do mnie napisać – myśli z goryczą. — Rozmawiali o mnie, do mnie tę Dankę chce skierować, ale żeby chociaż jedno słowo, najmniejszy dopisek! Nie, nic, zupełnie nie. Kazał Marianowi i sprawa załatwiona”. I jak na ironię pamięć jeszcze raz nasuwa wspomnienia marzeń o wyczekiwanym „świętecznym” liście Zenka.

— Strasznie się zadumałaś.

— Tak sobie... Ach, zapomniałam na śmierć o kartoflach! — Ula podrywa się pragnąc, by Pestka przestała się jej przyglądać, i sięgnawszy po pogrzebacz wygarnia spod popiołu osmoloną kulkę. Twardy! Nic więcej nie ma do zdziałania, trzeba wrócić na miejsce. Ogień przygasł, na ścianach pełzał bardzo już nikły jego blask i w pokoju zrobiło się jakoś smutno. Odczuła to i Pestka.

— Dorzucisz jeszcze?

— No pewno.

Kawałki chrustu zaczęły trzaskać na czerwonych węgielkach, po chwili ogień przeskoczył z nich na tęgą brzoźową szczapę.

— Fajnie — mruknęła Pestka. Po chwili spytała rzeczowo: — No i co masz zamiar zrobić?

— Jak to: co?

— No, po prostu. Co Marianowi odpiszesz?

Ula zdziwiła się ogromnie.

— Wyobrazasz sobie, że mogę się nie zgodzić?

— Ty to jesteś!... — dobrodusznie kiwa głową Pestka. —

Marian prosi o odpowiedź, czy się zgadzasz, czy nie. Masz wybór.

Ula nieznacznie wzrusza ramionami, traktować poważnie pytanie Mariana wydaje jej się po prostu śmieszne. Napisał tak, bo tak się pisze, „dla formy”, Marian jest grzeczny — ale na pewno ani jemu samemu, ani Zenkowi w głowie nie postalo, że mogłaby odmówić. Wiedzą, że nie mogłaby, choćby nie wiadomo ile miało ją to kosztować.

I będzie ją to kosztować, już teraz czuje lęk przed narzuconym spotkaniem. Ciągłe jednak najsilniejsze jest uczucie upokorzenia, a tego właśnie uczucia nie należy przed Pestką ujawniać. Ula mówi z niechęcią:

— Im się zdaje, że to dla mnie nic!...

— Nie tylko o to chodzi.

„A o co?” — przemknęło Uli przez myśl. Nie zapytała, co innego pochłania teraz jej uwagę: „dzika”, „dziwna” — określał tę dziewczynę list Mariana. Przestraszyły ją te wyrażenia. Jeżeli nawet z mniej znanymi koleżankami z klasy porozumiewała się z trudem, a gdy zjawiała się jakaś „nowa”, musiała dobrze się nałamać, żeby do niej podejść i powiedzieć coś najzwyczajniejszego — to jak poradzić sobie z kimś takim? Nic o niej nie wie, nic zupełnie — poza tym, że postanowiła uciec z domu. do którego ją zaproszono. Można sobie wyobrazić, co przeżyłaby mama Mariana, która ją wzięła pod swoją opiekę, gdyby ten zamiar się powiódł!

— Nie mam ochoty widzieć się z tą dziewczyną — podsumowała swoje rozważania.

— Ja myślę!

Mimo tak zdecydowanie wyrażonej aprobaty, a może właśnie dzięki niej, Ula czuje potrzebę usprawiedliwienia się, nie tyle zresztą przed Pestką, ile przed sobą. Niemiło jakoś, że prośba skierowana „z tamtej strony” budzi w niej opór.

— Ja naprawdę nie umiem z obcymi. Przyjdzie do mnie i co z nią zrobić?

— To w ogóle musi być typek!

„Typek”? Nieprzyjemne słówko. Ula poczuła w stosunku do nieznannej dziewczyny coś jakby solidarność. Zagadnęła z rezerwą:

— Dlaczego tak o niej myślisz?

— A jak mam myśleć? Na pewno jest stuknięta.

— Zenek powiedział do Mariana, że takim jak ona często różne głupstwa przychodzą do głowy. On lepiej to przecież rozumie niż my.

— Dlaczego?

— Długi czas i jemu życie układało się dosyć „krzywo”.

— No, oczywiście — rzekła niedbale Pestka. — Ale według mnie jest daleko prostsze wyjaśnienie, dlaczego on tej Danki broni.

— Jakie? — zdziwiła się Ula.

— Nie domyślasz się?

— Nie.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Ogień na kominku błysnął mocniej i wydobył z cienia twarz Pestki, skażoną szczególnie, niezwykłym u niej wyrazem. Usta uśmiechały się, ale oczy patrzyły przed siebie przenikliwie i twardo. Jakby widziały przed sobą coś, co budzi urazę i co należy zniszczyć. Ula skuliła się obronnie: za chwilę spotka ją dotkliwa przykrość, padną słowa, których — nawet jeśli zawierają prawdę — wołałaby nie słyszeć. No i padły:

— Naiwna jesteś.

To wstęp, zaraz nastąpi dalszy ciąg. Może uda się uniknąć go? Ula gorączkowo zajmuje się kominkiem, umyślnie czyniąc znacznie więcej hałasu, niż ma w zwyczaju, przynosi z kuchni talerzyki i widelce, glinianą miseczkę na łupiny, proponuje, by spróbować kartofli... Niestety, na kartofle trzeba jeszcze poczekać, wysiłki nie dały zresztą rezultatu, twarz Pestki zmieniła wyraz bardzo nieznacznie. Powie, co zamierzała, nie zrezygnuje.

— Popsuła im święta ta dziewczyna! — odzywa się z sarkazmem, wyczekawszy, by Ula zajęła swoje miejsce przy kominku. — Zenek wyobrażał sobie pewno, że będzie zupełnie inaczej.

„Co Zenek ma z tym wspólnego?” ... Buntownicze pytanie nie zostaje wypowiedziane: na klótnię, jawną i ostrą. Ula się nie zdobędzie.

— Moje święta były w tym roku udane — mówi głupio (wie, że głupio!), żadna zmiana tematu i tak nic tu nie pomoże. — Na wilię ciotki zaprosiły jakąś dawną znajomą, przyszła z czteroletnim wnukiem, strasznie zabawnym... No, a u ciebie w drugie święto było świetnie!

— A widzisz. I Marek wcale ci nie przeszkadzał.

— Nie zwracałam na niego uwagi — wyjaśnia chłodno Ula.

— W każdym razie mam nosa! Powiedziałam ci, że Zenek będzie tam miał Dankę, to ty miej tutaj Marka. No i wyszło na moje, przekonałaś się.

— O czym?

Pestka nie zwraca żadnej uwagi na ten głos protestu.

— Wiesz? — ciągnie z zainteresowaniem. — Ja myślę, że oni się znali wcześniej. Może to nawet Zenek zorganizował Dance zaproszenie do Jurocina?

— Nic o tym w liście nie ma — bąka Ula. Wie, że jej zastrzeżenie jest błahe, niepoważne (list jest ogólnikowy, mnóstwa szczegółów w nim brak), musi się jednak bronić. Niespodziewanie nasuwa się myślom nowy, mocny przeciw domysłom Pestki argument:

— Jeżeli było tak, jak mówisz, to dlaczego Danką chciała uciec?

— Ach! — Pestka machnięciem ręki wzmacnia swoje lekceważenie. — Za wiele ode mnie wymagasz! Może się z Zenkiem pokłóciła? Może jej ktoś dokuczył? Marian i Julek chyba nie, ale ktoś w domu? A że na pewno jest źle wychowana i wariatowata, więc nawet się nie zastanowiła, co robi. Pokaż no ten list!

— Po co?

— No daj. — Pestka przebiega oczami zapisane kartki i odczytuje głośno: — Zenek... wytłumaczył jej jakoś, że musi zostać. Nikt inny, tylko Zenek.

— Jest z nich najstarszy.

— Zastanów się, pomyśl: Zenek jest w tym Jurocinie pierwszy raz, i to o n wie, gdzie jej szukać, on nie pozwala jej odjechać, on bierze ją w obronę! Więc?

„Więc?” ... Wniosek jest nieodparty i w gruncie rzeczy całkowicie zgodny z obawami, które wielokrotnie już w smutnych chwilach przychodziły Uli do głowy, choć nie wiedziała, że ktoś taki, jak Danką, istnieje na świecie. Tylko że między tym, co „przychodzi do głowy”, a tym, co ktoś drugi w logicznym wywodzie, w trzeźwych słowach przedstawia, jest wielka różnica. Bardzo wielka,— i sprawia ból.

Pestka ma rację. Ma rację, choć może nie było konieczne, żeby o niej Ulę przekonywała. Czy uważa, że jej złudzenia są szkodliwe? W każdym razie wyraźnie ją drażnią. Ale dlaczego? Ma chłopców na każde zawołanie, a Zenek nigdy się jej specjalnie nie podobał. Ach, nie warto się zastanawiać, niczego to nie odmieni!

Ogień znowu przygasł, Uli nie chce się jednak ruszyć, żeby go poprawić. Tak niedawno jeszcze marzyła sobie, że Zenek znajdzie się kiedyś po drugiej stronie kominka. Nieśmiało to

były marzenia, wątle, na niczym właściwie nie oparte, ale były. A teraz znikną. Szkoda, ach jaka szkoda!

— Ula?...

Dziwne, głos Pestki się odmienił, jest miękki, serdeczny.

— Nie przejmuj się — prosi. — Nie warto! Tak już z chłopakami jest, nawet z takim jak Zenek, mówiłam ci. Im prędzej zapomnisz, tym lepiej. No?... — przyjazny uścisk ogarnia na chwilę rękę Uli. — Nie masz chyba do mnie żalu?

— Nie.

Jeśli to prawda, to w każdym razie nie całkowita, trudno jednak odpowiedzieć inaczej, zachowanie Pestki budzi teraz w Uli smutną pobłażliwość. „Niepokoi się trochę. Jak dentysta, który uważa, że należało usunąć ząb, ale zrobił to niezręcznie”.

— Dołożyć drzewa? — pyta Pestka.

— Dołóż, naturalnie. Niech się nareszcie te kartofle dopieją.

— Mnie tylko jedno dziwi w tej całej historii — wraca do tematu Pestka. — Właściwie nie dziwi, ale oburza.

— Co?

— Że Zenek do ciebie właśnie zwraca się w sprawie tej dziewczyny. Uważam to za niedelikatność.

— Dlaczego?

— No, jak to? Nie myśli o tobie, nie pisze, a potem prosi, żebyś się zajęła jego dziewczyną!

— Ale jeżeli ona jest taka samotna?

— „Samotna”, „nieszczęśliwa”! Masz dobre serce, wiadomo, łatwo cię nabrać. Chłopaki cię nie obchodzą, to nie wiesz, jacy potrafią być. Wykiwają, a potem się śmieją.

— Zenek nie jest taki.

— Kto to może wiedzieć? Najważniejsza rzecz — zachować twarz. Dziewczyny wloką się za chłopakami i tylko czekają, żeby który kiwnął palcem.

— Nikomu się przecież nie narzucam — szepnęła Ula w zgnębieniu.

— Wiem. Ale jeżeli teraz Zenka posłuchasz, narazisz się na śmieszność: od razu sobie pomyśli, że zrobisz dla niego wszystko, b co cię poprosi, po cóż by więc miał się krępować? A Danka? Ona też gotowa sobie z ciebie pokpiwać! Jeżeli, naturalnie, w ogóle do ciebie przyjdzie, bo może wcale jej to nie w głowie.

Ula milczała, pełna niejasnego protestu. Cóż jednak mogła Pestce przeciwstawić? Doświadczenie własne, którego całkowicie jej brakło? Co do obserwacji nad koleżankami,

bardzo nielicznych, bo nie była bystra pod tym względem, to wynikało z nich, że Pestka może mieć słuszność.

— Więc co odpowiesz? Zgodzisz się?

„Tak” — znowu nasunęło się na myśl jako odruchowa, najbardziej naturalna odpowiedź. Nie wypowiedziała jej. Znękana, patrzyła w ogień, nie mogąc się zdecydować.

— Wiesz, dlaczego dobrze sobie radzę z chłopakami?

Bo mam kobiecą ambicję.

Ten punkt widzenia jest dla Uli czymś obcym, niemal dziwacznym, nigdy nie przychodziło jej na myśl, że należy się nim kierować. Może to błąd?

— Powiem ci szczerze — ciągnie energicznie Pestka. — Byłoby bez ambicji, gdybyś się zgodziła.

„Bez ambicji”... Nie, na to przystać nie można. Ula przełknęła i po chwili rzekła, troszeczkę się zacinając:

— Odpiszę Marianowi... że nie. Że się nie zgadzam.

* * *

Wiatr ustał, czasem tylko przeleci za oknami nikły poszum albo dobiegnie z końca wsi szczekanie psów, poza tym nic. Tylko dwa miarowe dźwięki wypełniają nocną domową ciszę: tykanie zegara i oddech Pestki. Usnęła już dawno głębokim spokojnym snem. Ula parę razy zadrzemała także, na krótką chwilę, by zaraz rozbudzić się z głową pełną niewesołych i trudnych myśli. Przez kilka przedwieczornych i wieczornych godzin łatwiej było je tłumić niż teraz: oglądały western, film baletowy, reportaż ze studenckich zabaw sylwestrowych — a poza tym Pestka robiła wszystko, żeby przykry nastrój rozproszyć. Była najmiłsza, jak tylko ona potrafi, pogodna, serdeczna, rozradowana „wspaniałościami” Olszyn, kominkiem, spacerami po błocie, wszystkim, wszystkim!...

Ula nie wątpiła w szczerść tych uczuć, wcale, nie, a tego, że ich wyraz był może nieco jaskrawszy niż zazwyczaj, nie brała Pestce za złe: nic innego, tylko pragnienie wyrównania przykrości kierowało przeciw jej zachowaniem. „Jest dobra i lubi mnie. Lubi mnie naprawdę. A że czasem...”

Ale właśnie to „czasem”, co zdarzało się bardzo rzadko, a w tak ostrej postaci jak dzisiaj jeszcze nigdy — splątane z innymi dotkliwymi uczuciami — nie pozwala Uli usnąć. Żal do Pestki powraca jak atak, trzeba go zwalczać, trzeba przypominać sobie, że gdyby nie zdecydowane Pestki stanowisko, Ula zgodziłaby się na propozycję Zenka. Ambicja, „zachowanie twarzy” to jednak ważne, a jej. Uli, w ogóle nie przyszło do głowy. Co innego

zajmowało jej myśli: Zenek, taki, jaki był dawniej, Zenek, który nazwał ją „jedyną na świecie” i napisał, że zawsze ją będzie pamiętał. Dlatego zapewne wyobraziła sobie, że musi zgodzić się na jego propozycję. Zresztą nie tylko Zenek się tą Danką przejmuje, Marian także.

Marian, Julek... znowu miała przed oczami wyspę, zieloną z wysokimi drzewami, z polanką obrosłą gąszczem krzewów i dorodną leszczyną „pośrodku. Trudne, ciężkie i radosne sprawy, które tam przeżyli, ważne, nie do zapomnienia! — odtwarzały się jedna po drugiej. A teraz Marian dostanie list, że ona, Ula, odmawia.

Ach, żeby wiedzieć na pewno, zupełnie na pewno, że tak właśnie powinna postąpić!

Blask reflektora przesunął się bezszelestnie po ścianie i znikł. Ojciec? Usiadła na posłaniu, nasłuchując z nadzieją. Dopiero co była myślami tak od niego daleko, a teraz poczuła, że strasznie chce go zobaczyć. Nie jutro; rano przy śniadaniu, jak było zapowiedziane, ale teraz, zaraz! Ojciec! — rozradowała się, usłyszawszy chrzęst zmordowanego motoru i znane postukiwanie starożytnej karoserii.

Bez namysłu zerwała się z łóżka i pobiegła do sieni.

— A to co znowu? — powitał ją. — Dlaczego nie śpicie?

— Pestka śpi. Tylko ja...

— Dwunasta godzina! — gniewał się niby, ale nie był w stanie ukryć, że jest rad. — Idź do łóżka.

— Tylko ci zrobię herbaty.

— Nie ma mowy.

Przywarła na chwilę policzkiem do jego ramienia, westchnął dając świadectwo swej bezradności.

— Jadłyśmy jajecznicę — oznajmiła szeptem, gdy znaleźli się w kuchni. — Zrobić ci?

— Nie, jadłem kolację w szpitalu. Tylko herbaty, dużo herbaty! Gaz zaszumiał, Ula wydołała szklankę i spodeczek.

— A ty? — spytał ojciec. — Nie napijesz się?

Wiedząc, że mu to zrobi przyjemność, wydołała więc szklankę i dla siebie. Ledwie zasiedli przy małym stoliku, znowu usłyszała pytanie:

— No i jak dziś było?

Z początku relacja szła lekko: ranek, spacer na wyspę, Dunaj (ta część opowieści zajęła dłuższą chwilę), pomysł z „nienormalnym” obiadem. Potem zaczęło się robić trudniej, temat pieczenia- kartofli rozrastał się głupio, choć przecież trudno o czymś takim mieć dużo do powiedzenia, na szczęście przypomniał się Uli program w telewizji.

Ojciec słuchał uważnie, jak zawsze, a kiedy skończyła, poprosił o drugą szklankę herbaty, wspomniał w paru zdaniach, że dzień miał trudny, bo i szpital, i dwa zebrania.

— Ula?... — popatrzył na nią nieco podejrzliwie. — Co ci jest?

— Mnie? — zdziwiła się ogromnie. — Nic!

— Wiesz?... — uśmiechnął się leciutko. — Nie bardzo dobrze umiesz udawać.

— Kiedy ja naprawdę...

— Nie, proszę cię! — zaprotestował natychmiast. — Nie trzeba. Lepiej nie mów nic, jeśli nie chcesz.

Było mu przykro, czuła to, ale spoglądał na nią życzliwie i ciepło.

— Dostałam list od Mariana.

— ...Czy na pewno chcesz mi o tym powiedzieć? Namyśl się.

Myśl, żeby się zwierzyć ojcu, nie przyszła jej do głowy przez całe to długie popołudnie i wieczór, a teraz nagle uznała, że musi to zrobić. I ze względu na niego, i ze względu na dręczące uczucie niezadowolenia, którego sama nie jest w stanie opanować.

— Mam przeczytać? — spytał ojciec, kiedy położyła przed nim list. — Tak?

— Przeczytaj.

Zaległa cisza, Ula nie spuszczała wzroku z twarzy ojca. Co powie? Powinien zrozumieć jej niechęć do spotkania z Danką, wie, że ona, Ula, jest nieśmiała, że byłoby to dla niej coś bardzo trudnego. Nie zna i nie pozna prawdziwych motywów jej decyzji, ale jeśli ją poprze, jeśli uzna, że trzeba tak postąpić, jak zamierzała, będzie jej lżej.

— Skomplikowana historia — powiedział z głębokim namysłem, z wolna odkładając na bok kartki. — Odpisałaś już?

Ula spłoszyła się, w tonie pytania zabrzmiało coś, czego wcale nie oczekiwała.

— Nie.

Ojciec zdziwił się i jakby zaniepokoił.

— Myślisz, że ciotki się nie zgodzą? Tak?

— Nie, nie! — odpowiedziała szybko, czując, że wątpliwości, zamiast ustąpić, mnożą się i nabierają siły. Zagubiona, spojrzała na ojca bezradnie i czując, że się czerwieni, spuściła głowę.

— Ci chłopcy mają do ciebie ogromne zaufanie — usłyszała po chwili. Ojciec powiedział to z dumą. z wyraźną dumą! — Nie wiem tylko, jak sobie poradzisz, niełatwo jest obcować z kimś takim, jak taka nieszczęśliwa dziewczynka.

„Zaufanie”, „nieszczęśliwa dziewczynka”... nie tworzyła się z tych słów żadna jeszcze sensowna całość, Ula czuła tylko, że tamte inne, narzucone przez Pestkę: „kobieca ambicja”,

„zachowanie twarzy” i tym podobne, straciły nagle wszelkie znaczenie. Może w innych okolicznościach są ważne, nawet decydujące, ale nie w zestawieniu z tymi! Wyzwoliła się od nich, nie mają już nad nią żadnej władzy. Odetchnęła, jakby znowu zaczęło dopływać do płuc powietrze, do którego przywykła.

A Zenek to zupełnie inna sprawa. Przestała być jego „jedyną na świecie”, w tym Pestka ma rację. Tak już widocznie musiało się stać — i chyba nie Danką jest temu winna. A jeśli jest? — zaniepokoiła się gwałtownie Ula. — Jeśli przyjdzie po to, by ją, Ulę, wyśmiać, okazać, jej swoją wyższość?

Po chwili i na to pytanie znalazła odpowiedź: gdyby tak miało się stać, trudno, niech tak będzie, jakoś wytrzyma.

Ojciec pochylił się ku niej i spytał z troską:

— Troszkę się boisz tego spotkania, prawda?

Milczała dalej, przypomniało jej się właśnie zdanie,

które przed niedawnym czasem powtórzyła Pestce: „Wolę być oszukany dziesięć razy niż jeden raz posądzić niewinnego”. Nie całkowicie pasuje do obecnej sytuacji, ta jest trochę inna niż tamta, pewne podobieństwo jednak istnieje. Nie można zamknąć przed Danką drzwi.

— Boję się... — przyznała, przepraszając uśmiechem, że tak długo czekał na jej odpowiedź. — Boję się, ale nie bardzo. Poradzę sobie.

PORAŻKA

„Spóźnia się” — uświadomiła sobie Ula. Podszedłszy do okna popatrzyła w dół, ku przystankowi. Niemądry odruch! Nigdy w życiu Danki nie widziała, jakże więc wypatrzy ją między przechodniami? Latarnie jak kule świecącej mgły, w dole ciemno, ludzie wysiadający z tramwaju, który właśnie nadjechał, przez chwilę widoczni na tle jasnych szyb, wtapiają się szybko w mrok ulicy. Tramwaj rusza, jeśli Danka nim przyjechała, powinna się teraz rozglądać, jak trafić pod podany jej adres, a może dobrze w tej dzielnicy zorientowana ruszyła w stronę bramy bez wahań. Będzie tu więc za dwie. trzy minuty!..

Uli wydaje się to tak prawdopodobne, a nawet pewne, że zapala w pokoju ciotek górną lampę i staje w progu przedpokoju. Wszystko gotowe, tylko zaplanowanej pewności siebie ani śladu. „Poradzę sobie” oświadczyła ojcu. „Niech się ciocia nie boi — uspokajała zatroskaną ciotkę Ewę. Ja się nie boję”. Słowa te nie całkowicie były prawdziwe, wypowiadając je sądziła jednak, że samo gorące pragnienie by sprostać sytuacji, pomoże opanować strachy i uzyskać jaką taką chociaż odwagę i swobodę. W ciągu ostatnich dni i nawet jeszcze dzisiaj doznawała parokrotnie krzepiącego uczucia, że to się udało: jest spokojna i będzie spokojna. Teraz spokoju ani śladu, a najsilniejsze ze wszystkich skomplikowanych do/nań jest pragnienie, żeby było „po wszystkim”. „Źle, bardzo źle” ocenia sytuację Ula.

Cofa się do pokoju, krąży koło stołu, poprawia przekrzywiony abażur, odkłada przeczytane gazety na dolną półkę szafki, gdzie zbiera się makulaturę. Przechodzi do okna jeszcze raz, skoro Danka tamtym tramwajem nie przyjechała, trzeba czekać na następny.

Pół godziny spóźnienia. Może nie przyjdzie wcale? Termin został ustalony wyraźnie: „Umówiłam się z wychowawczynią, że Danka przyjdzie do ciebie w sobotę o piątej” powiedziała ciotka Ewa. Niewykluczone, że coś jej wypadło. A jeśli... z wewnętrznego chaosu wyłania się wątpliwość tak zaskakująca, że przez chwilę Ula uważa ją za absurdalną: a jeśli Danka nie ma ochoty na to spotkanie?

„Przecież to zupełnie możliwe” — ocenia Ula ochłonawszy z nagłego zdumienia. Nie Danka zabiegała o poznanie Uli, Zenek i Marian całą tę sprawę ułożyli. Mama Mariana napisała do internatu, podała adres, ciotka zatelefonowała, no i w porządku, „załatwione”. A jak do całego pomysłu ustosunkowała się Danka, o to właściwie nie zatroszczył się nikt. Jakby z góry było wiadome, że dla niej to wielka przyjemność!

Ona, Ula, także się wcale nad tym nie zastanawiała, wyłącznie własne zranione uczucia miała na uwadze. Nie przyszło jej nawet do głowy, że i w Dance spotkanie z nią może

wzbudzać niechęć, że mogła się na nie zgodzić dla świętego spokoju, nie chcąc się tłumaczyć (taki stan ducha Ula rozumiała doskonale), powiedziała wychowawczyni „tak”, a potem zdecydowała, że nie. Albo nawet, niczym się nie zdradziwszy, wyszła na ulicę bez zamiaru skorzystania z zaproszenia, pospaceruje sobie albo zajdzie do jakiejś koleżanki, wróci jakby nigdy nic. Jeżeli wiele dziewcząt mających własną rodzinę tak postępuje, to dlaczego by nie miała tak postąpić Danka, która mieszka w domu dziecka?

„Przyjdź, proszę cię, przyjdź!” — bezsłownie zwraca się Ula do tej wymyślonej, błakającej się postaci, wstydząc się swego zarozumiałstwa. Bo czyż to nie zarozumiałstwo uważać z góry, że spotkanie z nią będzie dla Danki czymś cennym? Że Zenek tak sobie wykombinował, to inna sprawa, z jego strony to „dowód zaufania” (na dnie tej myśli jest oczywiście coś gorzkiego, Ula nie dopuszcza jednak, by to „coś” doszło w tej chwili do głosu i zatruło życzliwe dla Danki uczucie), ale żeby ona sama uznała to za pewnik?

„Przyjdź!” — nagle powtarza w myślach Ula, składane samej sobie obietnice, że będzie dla Danki serdeczna, odzywają w niej wyraźnie. „Zdawało się, że Dance jest u nas dobrze” — pisał Marian. W ciągu tych kilku dni, które ubiegły od powrotu z Olszyn, Ula wiele razy przypominała sobie to zdanie, postanawiając, że u niej musi być Dance dobrze. Ojciec, wcale o tym nie wiedząc, przeciął rozterkę, w którą popadła po otrzymaniu listu i którą Pestka rozjątrzyła tak boleśnie i skutecznie, że niewiele brakło, by prośba chłopców spotkała się z odmową. Od chwili kiedy w nocnej z ojcem rozmowie padły słowa „odpiszę, że się zgadzam”, nie było już miejsca na wahania, choć nie brakło go na upokorzenie i gorycz. Starła się o Zenku nie myśleć i choć nie- zawsze te starania dawały skutek, świadomość, że podjęła decyzję, której jakkolwiek się sprawa dalej potoczy, nie trzeba będzie się wstydzić przynosiła ulgę. Ulgę wyraźnie odczuwalną, choć, oczywiście, dosyć smutną. W miarę upływu dni na pierwszy plan zaczęły się zresztą wysuwać sprawy całkiem praktyczne, a mianowicie, jak to zrobić, by wizyta Danki doszła do skutku. Różne czynniki wchodziły w grę. różne trudności należało pokonać.

Przede wszystkim: uprosić ciotkę Wandę (ciocia Ewa z reguły akceptowała postanowienia siostry), żeby się nie tylko na wizytę Danki zgodziła, ale by zechciała ją „zorganizować”: nie wiadomo, jakie są w internatach obyczaje, zaproszenie wysłane przez I'lę mogłoby być niewystarczające. Ciotka, zgodnie z przeświadczeniem Uli, w zasadzie zajęła życzliwą wobec całej sprawy postawę, miała jednak i zastrzeżenia.

— Owszem, mogę tam zatelefonować czy nawet pójść, jeśli będzie trzeba. Ale... — skierowane na Ulę spojrzenie stało się w tej chwili szczególnie przenikliwe. — Czy jesteś pewna, że tego chcesz? Zupełnie pewna?

— Tak.

— Namyśl się dobrze.

— Przecież to nic wielkiego.

— Teoretycznie. A w praktyce może wyniknąć z tej wizyty jakaś przykrość. Nie dla nas, dla ciebie. — Ciotka miała teraz w oczach miłą, ciepłą troskę. — Nie jesteś zanadto śmiała.

— Ona pewno też nie.

— Nie wiadomo. Pamiętaj w każdym razie, że może ci być z nią bardzo trudno.

„Wiem, że mi będzie trudno, tylko że z zupełnie innych powodów, niż to sobie ciocia wyobraża” — zjawiała się w myślach natychmiastowa i, oczywiście, przemilczana odpowiedź. Nie był to temat do rozmowy, nie miała też chęci słuchać na niczym przecież nie opartych przypuszczeń ciotki, że Danka będzie się zachowywała w niemiły sposób. Co do niej samej, to pokonawszy pierwszą odruchową niechęć, dbała o to — z pewną nawet zaciętością — by myśleć o Dance z sympatią i zrozumieniem. „Dzikość” dziewczyny to nic innego, jak tylko nieśmiałość, aż nadto zrozumiała u kogoś, komu przypadło w udziale sieroctwo i życie wśród obcych. „Najważniejsza rzecz to ją ośmielić, sprawić, żeby zechciała o sobie mówić...” — myślała wielekroć, zakładając z góry, że będzie to niełatwe. Zdumiewającą ucieczkę Danki z domu Mariana usunęła z pola uwagi (może z czasem czegoś się o niej dowie, na razie wszelkie domysły byłyby jałowe), a przed ciotkami wcale dziwaczego wyczynu Danki nie zdradziła, mógłby źle je usposobić. „Niech się ciocia nie boi, nie ma o co” — powtórzyła na zakończenie rozmowy. Ciotka uśmiechnęła się co prawda na te słowa, dzisiaj jednak przed odejściem zdradzała pewne zaniepokojenie. Trudno, na to rady nie ma, dobrze w każdym razie; że ciotki nie mają do Uli żadnej pretensji.

Inaczej z. Pestką. W Olszynie, nazajutrz po pamiętnym popołudniu przy kominku i nocnej rozmowie z ojcem, nie było dogodnej okazji, by Pestkę o zmianie decyzji powiadomić, Ula zresztą ogarnięta głęboką niechęcią do poruszania drażliwego tematu wcale tej okazji nie szukała. W Warszawie nie można było jednak z tym zwlekać. Wracaly ze szkoły, no i trudne wyznanie, zawarte w skąpych słowach, zostało wreszcie dokonane. „Musiałam tak postąpić. Musiałam — mimo wszystko”.

Zaskoczenie Pestki było tak silne, że długą, długą chwilę nie odezwała się ani słowem. Szły koło siebie jak obce i Ula zdawała sobie sprawę, że milczenie Pestki (tak u niej rzadkie) oznacza głęboką urazę, która niełatwo da się zabiżnić. Przez tyle lat było normą, że sądy Pestki są dla Uli obowiązujące, że jeśli nawet budzą jakieś zastrzeżenia, to drobne, z łatwością dające się pokonać: przecież nie Pestka Ule, ale Ula Pestkę uważała za wzór do naśladowania. A tu nagle nie tylko opór, a coś w rodzaju buntu: list do Mariana wysłany bez

najlżejszej choćby próby, by sprawę na nowo omówić i uzgodnić. „Nic dziwnego, że jej przykro”.

— Chciałam ci powiedzieć od razu. Ale nie mogłam się zdobyć, żeby rozmawiać jeszcze raz. To dlatego...

Ani słowa odpowiedzi. Pestka patrzy prosto przed siebie, z miną, jakby nic nie zaszło. Jest to tak obce jej obyczajom, że Ulę ogarnia prawdziwe zgnębienie. Jak ją ułagodzić? Trzeba by sięgnąć do tego, co najdrażliwsze, bolesne, do czego Ula sama przed sobą niechętnie powraca. Ale innej rady chyba nie ma.

— Co do Zenka, no wiesz — wyjąkała z trudem — to na pewno jest tak, jak mówiłaś. Nie pisze, i w ogóle... Nie mam żadnych złudzeń, nie myśl.

— Normalne, mówiłam ci — odezwała się wreszcie Pestka. Wyraz jej twarzy zmienił się nieznacznie, najgorsze przeszło.

— Mnie chodzi tylko o Danke — rzekła wyjaśniającym tonem Ula. — Jeśli rzeczywiście chciałaby przyjść, to niech wie, że może.

— Może masz rację — rzekła Pestka obojętnie, jakby na dowód, że uraza, choć nie tak ostra jak przed chwilą, trwa nadal. Pomilczały, po czym Ula dobrą chwilę wysilała się, by nawiązać zwykłą, codzienną rozmowę o szkolnych i domowych drobiazgach, a nie uzyskując żadnego odzewu, zniechęciła się i zamilkła. Trudno. Upłynie zapewne sporo dni, zanim Pestka jej przebaczy. Czują przykrość, nie żałowała jednak tego, co zrobiła.

Nie żałowała i wie dobrze, że nie pożałuje nigdy. Pod jednym tylko względem jest z siebie nierada: że tak tchórzowsko odkładała przyznanie się do „winy”. O to rzeczywiście Pestka ma prawo do rozżalenia. Ma prawo, nie wykorzystuje go jednak, nie robi wymówek, w ogóle o Zenku i Dance ani słowem podczas spotkań nie wspomina. Nie są to już spotkania jak dawniej, czegoś im brak. Czy się kiedyś odmienia? Ula pragnęłaby tego bardzo, choć nigdy jeszcze tak wyraźnie jak w rozmowie o liście Mariana nie poczuła, że dzieli ją od Pestki coś istotnego, coś, co tkwi w niej bardzo głęboko i czego nie należałoby chyba w sobie zmieniać.

„Ale Pestka jest kochana i miła, taka miła! I dobra! — myśli Ula. — Na pewno dobra, na pewno”. Czyż przez parę minionych, lat dom Pestki nie był dla Uli prawie domem rodzinnym? Był. Najmilsze dni i godziny — to dni i godziny z Pestką. Ma wady, naturalnie, któż ich nie ma. Ostatnio w Olszynch... „Taka już jest — podsumowała szybko Ula, pragnąc zwalczyć niszczące działanie przykrego wspomnienia. — W innych sprawach zachowuje się jak trzeba”.

Za dwadzieścia szóstą, Danką nie przyjdzie. „Nie chce przyjść” — z goryczą uściśliła własną myśl. Rozległ się ostry dźwięk mocno i długo naciśniętego dzwonka, serce zabiło

niepokojem i Ula na miękkich nogach i z uczuciem, że nie będzie w stanie wykrztusić ani jednego sensownego słowa — poszła do przedpokoju.

— Ty jesteś Ula?

— Danka?

— Tak.

— Wejdz.

Danka nie wchodziła, stała sobie za progiem jak ktoś, kto ma oddać paczkę czy list, zaraz odejdzie, nie interesuje się więc, z kim ma do czynienia. Czerwona czapka i szalik, bawi się frędzlami tego szalika... duża, rozrośnięta. Inna, zupełnie inna, niż sobie Ula wyobrażała.

— No, wejdz rzekła serdecznie, opanowując zaskoczenie.

Oczy Danki, bardzo niebieskie, na krótką, króciusienką chwilę błysnęły badawczym, uważnym spojrzeniem. Weszła, z hałasem zatrzęsła za sobą drzwi.

— Kazali mi, żebyś przyszła, to przyszłam — oświadczyła, stając przy wieszaku i nie czyniąc żadnego gestu, który by wskazywał, że ma zamiar się rozebrać. — Ale jak ci nie pasuje, nie musisz się krępować, pójdę do kina.

— Ależ... — bąknęła Ula. „Kazali” jej? Co to znaczy? Czekałam na ciebie... bardzo się cieszę.

— Z czego?

— Że przyszłaś.

Danka roześmiała się głośno.

— Rozbierz się rzekła Ula, zbita z tropu.

— Jeśli ci zależy.

Ula czekała, nic nie mówiąc przestraszona i bezradna w obliczu dziewczyny, która stała przed nią i z którą miała spędzić najbliższe godziny. Bała się spotkania, wyobrażając sobie nieśmiałość Danki i jej skrępowanie w obcym domu. te wszystkie uczucia, których wielekroć doznawała sama i które udawało się opanować tylko przy pomocy ludzkiej dobroci. „Gość”, którego miała przed sobą i który ściągnąwszy palto i czapkę spoglądał właśnie w lustro, wysuwając naprzód brodę i oblizując usta. zdaje się wcale tej serdeczności nie potrzebować. Dziewczyna jest swobodna, pewna siebie i chyba niczym się nie przejmuje. Są takie... tylko że Ula nie ma z nimi nic wspólnego. Jak z tą Danką rozmawiać? Ach, nie chodzi o żadne prawdziwe zbliżenie (to chyba niemożliwe?), byle tylko zeszło jakoś to popołudnie, ten czas, kiedy trzeba będzie się „nią zajmować”.

— To twój pokój? Danką ogarnia wewnątrz pobieżnym spojrzeniem.

— Nie. Moich ciotek. — Powinno by teraz nastąpić jakieś pytanie, mało kto mieszka z ciotkami. Ula jest więc gotowa udzielić wyjaśnień, o ojcu dałoby się powiedzieć trochę więcej i nawet z przyjemnością. Cóż. kiedy twarz Danki nie zdradza najmniejszego zainteresowania. Przy tym stoliku odrabiam lekcje informuje Ula u mnie jest za mało miejsca.

— To znaczy gdzie?

— Mam taki maleńki pokoik. Pokażę ci, jeśli chcesz. Danka unosi brwi. co zapewne oznacza, że owszem, może obejrzeć, choć tak znowu specjalnie jej na tym nie zależy. Idąc korytarzykiem Ula objaśnia, że mieszkanie jest z podziału, w starym budownictwie dużo jest podzielonych mieszkań, przy kuchni bywały służbówki i właśnie tutaj...

— Ciotki kazały zrobić wejście z korytarza, a od kuchni zamurować, no i mam taki kącik.

— Aha.

Trudno się zorientować, co to mruknięcie oznacza. Stoją w progu.

— Za wiele miejsca to tu nie masz. Tapczan i krzeselko!

— Bardzo lubię swój pokoik.

— Przyzwyczyłaś się, to lubisz.

Ula sztywnieje. Ileż miłych godzin spędziła tu z Pestką! Pestka uwielbia „dziurkę”, uważa, że „nigdzie nie gada się tak dobrze, jak tu”. Powiedzieć o tym?... Można by dodać, że ojciec obiecał nową narzutę, a także małą toaletkę do zawieszenia na ścianie: lustro z półeczką i szufladką (marzenie!). Wewnętrzny głos, który nieraz daje znać o sobie w niespodziewanych momentach, sprzeciwia się temu zamiarowi. Satysfakcja trwałaby krótko, a uczucie niesmaku długo, chwalić się przed Danką swoim ojcem, swoją przyjaciółką? — Nie.

Cisza przeciąga się. Twarz Danki nadal obojętna, ale oczy zaczynają błędzić po fotografiach i pocztówkach przypiętych do słomianej maty. Może ją zainteresowały?

— Podobają ci się? — pyta z nadzieją Ula.

— Niektóre. Na przykład ten biały miś.

— Ja też go lubię, ale moje ulubione to z psami. Strasznie lubię psy, zbieram i pocztówki, i zdjęcia.

— Cóż to za rasa? — Danka wskazała na dużą fotografię, wyciętą z pisma. — Nigdy takich nie widziałam,

— To są psy afgańskie. Śliczne, prawda?

— Dziwaczne.

— No tak, raczej dziwaczne.

— A...

— Co?

— A Dunaj?

— O!... — Ula poczuła niespodziewane ciepło w sercu. — Wiesz o Dunaju?

— Tak.

— Chłopcy ci opowiadali?

— Marian.

— Dunaj to kochany pies!

— Marian mi mówił. Zdjęcia nie masz?

— Nie. Pożyczyliśmy aparat przed końcem wakacji, na krótko, a Dunaj akurat gdzieś sobie poszedł.

— Aha.

Rozmowa zaczyna się urywać, Danką jest jednak inna niż zaraz po przyjeździe, miększa, bliższa. Zastanawia się nad czymś.

— A króliki?

— Co: króliki? — zdziwiła się Ula.

— Czy lubisz?

— Nie wiem. nie zastanawiałam się.

— Niektóre są cudowne — głośno i prawie karcąco orzekła Danką. — Na przykład białe angory.

— Tak, naturalnie — potwierdziła skwapliwie Ula, pragnąc, by dobry nastrój nie uległ zmianie. A że na temat królików wołała nie rozmawiać (czerwone królicze oczy zawsze robiły na niej niemiłe wrażenie), rzekła szybko:

— Właściwie to już przestałam zbierać pocztówki ze zwierzętami. Zbieram teraz zabytki Warszawy.

Danką skrzywiła się, na szczęście nieznacznie, można udać, że się niczego nie dostrzegło.

— Mam już sporo, pokażę ci, chcesz? Wrócimy do tamtego pokoju.

Żadnej odpowiedzi, znowu zrobiło się ciężko. Ile jeszcze można wymyślić tematów? Pocztówki, dobrze, obejrzą — a potem co? Podwieczorek, przy podwieczorku też trzeba rozmawiać. Trudno przecież wypytywać Danką o dom dziecka, o rodzinę, można by o tym mówić, gdyby tamta zaczęła pierwsza. To samo, jeśli chodzi o chłopców, o Jurocin, skoro zaszyły tam przykre dla obu stron zdarzenia. Ach, wszystko to razem wygląda inaczej, niż sobie Ula wyobrażała! Podejrzanie, że Danką przyszła wbrew własnym chęciom — utrwalała się z każdą chwilą. Przecież gdyby było inaczej, nie zachowywałyby się tak okropnie!

— Siadaj mówi Ula, wskazując fotel, na którym Pestka usadawia się „z nogami”, bardzo to sobie chwając. Danka przysiadła na brzegu, jak ktoś, kto ma zamiar zaraz wyjść, bardzo to denerwujące.

Pocztówki, dwie paczuszki w grubych kopertach i trochę luzem, przechodzą kolejno z ręki Uli do ręki Danki, czasem pada nieporadne słowo komentarza. Wiadomo z góry, że nie wywoła oddźwięku, ale zupełne milczenie trudne jest do wytrzymania. „Aha” — odpowiada Danka i czasem od razu odkłada pocztówkę na stół, a czasem udaje, że coś ją zainteresowało, i przygląda się dłużej, wszystko to zresztą jak z łaski, jakby odwaliała nudne zadanie, które oby jak najszybciej się skończyło. (Więc obie czują to samo? — zastanawia się Ula. Chyba tak, a nie umieją się wyzwolić, jakby je kto zaczarował).

Kiedy wszystkie już zwierzęta i widoki Warszawy zostały obejrzone, Danka oznajmia, że co do niej, to zbiera tylko zagraniczne.

— No i trochę aktorów — uzupełnia po chwili. — Ale bardzo trudno dostać.

— Mam parę zagranicznych pocztówek, ciotki czasem dostają od znajomych — i Ula, rada, że jeszcze przez chwilę będzie się czym zająć, grzebie w szufladzie. — To Jugosławia, widzisz?... A to Krym. I jeszcze ze Szwecji, ze Sztokholmu. Jakie dziwne domy, prawda?

— Nowoczesne.

— Mogę ci dać te pocztówki, jeśli chcesz.

— Po co? Nie zależy mi.

— Ale weź.

— No dobrze — Danka przysuwa zagraniczne pocztówki ku sobie. — Dziękuję.

— Ach, drobiazg.

Palce Uli bawią się porzucanymi na stole pocztówkami, w głowie żadnej myśli, a nad wszystkim ciąży uczucie, że podjęty przez nią wysiłek jest absolutnie jałowy.

— Zaraz zrobimy sobie podwieczorek.

— Wcale nie chce mi się jeść — odpowiada natychmiast Danka. Mimo to kręcenie się z talerzykami, szklankami, parzenie i nalewanie herbaty sprawia Uli ulgę. Wątpliwość rozmowy mniej jest dokuczliwa, kiedy trzeba coś robić, no i może, jak to nieraz bywa, wspólny posiłek ułatwi nawiązanie pozornego choćby kontaktu. Siadają przy okrągłym stole, Ula podsuwa Dance tackę z grubo krajonym plackiem, po który chodzi się do małej prywatnej cukierenki. Pestka nazywa ten placek „pyszność nad pysznościami” i bezwstydnie wybiera kawałki, na których jest najwięcej kruszonki. Danka dziobie swój placek łyżeczką, jak przejedzone dziecko, a po herbatę nie sięga wcale.

— Może wolisz wodę z sokiem?

— Dlaczego?

— Bo wcale nie pijesz.

— Wypiję.

Zwykle powszednie słowa, a z jakim trudem się je wypowiada! Obie się męczą, Ula jest o tym przekonana. Danka zresztą jest już znowu trochę inna. Może smutna, może po prostu zamyślona? „Tak — utwierdza się Ula. — Ona bardzo o czymś myśli”. Nie powie, o czym, jest między nimi przegroda i tylko przez chwilę podczas rozmowy w pokoiku wydawało się, że uda się przegrodę przekroczyć. Ula doznaje z tego powodu uczucia przykrości. Nie jest to wielka przykreść, Danka zbyt jest niesympatyczna, by martwić się takim odtrąceniem poważnie, ale... „Ja ją — a ona mnie uważa za obcą”. I taki stosunek Danki do niej wydaje się Uli krzywdzący, choć niczym swej „bliskości” nie umiała dotąd okazać.

— Może zjesz jabłko?

— Mogę zjeść.

Danka sięga po jabłko i nagryza kawałek.

— Lubisz banany? — pyta.

— Lubię.

— Ja szalenie. U mojej przyjaciółki zawsze się objadam bananami.

Informacja brzmi tak głupio, że Ulę ogarnia niesmak. O co tej dziewczynie chodzi? Chce dać do zrozumienia, że przyjęto ją tu zbyt skromnie? Nie bardzo to miłe.

— Masz przyjaciółkę? — pyta Ula spokojnie. Nie okaże przecież, że wygłoszone dopiero co słowa w jakikolwiek sposób ją dotknęły.

— Mam. Dlaczegoż bym miała nie mieć?

„Marian pisał, że według Zenka ona musi być bardzo samotna”. Domysł, jak się okazuje, całkiem nietrafny! Może i w tej chwili Danka miałaby chęć lecieć do znajomego domu, gdzie ją karmi bananami, zamiast siedzieć tutaj i nudzić się?

— A ty? — głos Danki szorstki jakiś, może ochrypnięty. W każdym razie brzmi nieprzyjemnie.

— Co?

— Masz przyjaciółkę?

— Mam.

— No, tak.

Co: tak? Ula przestaje bawić się przegarnianiem okruchów placcka na talerzyku. Danka, cały czas tkwiąca przy stole bokiem, siedzi teraz z głową podpartą na rękę i patrzy przed

siebie. Dziwnie jakoś, jakby o trzy metry przed nią nie było pomalowanej na kremowo ściany i obrazka ze słonecznikami, tylko jakaś jałowa i pusta przestrzeń, w której nic się nie dzieje.

— Danka?

— Hm?

— Nic... Może weźmiesz jeszcze placka? Proszę!

Danka nie odpowiada, patrzy, jak patrzyła, i Ula wbrew dopiero co przeżytemu atakowi niechęci do gościa doznaje uczucia, że musi temu zaradzić, koniecznie, i to szybko. Musi jakoś Dankę „przywołać”, wyrwać ją z tego nagłego smutku i przygnębienia!

— Mam parę zdjęć z Olszyn, z chłopcami. — Decyzja pokazania fotografii powstaje nagle, bez namysłu, co z tego wyniknie — Chcesz zobaczyć?

Danka ani słowa, wyprostowała się tylko i czeka. Jest zainteresowana, to widoczne.

— Ale Zenka dosyć trudno rozpoznać — zastrzega się Ula.

Mówi to z twarzą odwróconą ku szufladzie, grzebanie w papierach można przedłużyć, gdyby poczuła, że się czerwieni.

— Na jednym zdjęciu schowany za drzewo, na drugim chyba poruszony.

— To co? — Danka wyciąga rękę po zdjęcia. — Zenek nic mnie nie obchodzi.

Nie obchodzi jej ? Zdumienie trwa bardzo, bardzo krótko. „Kłamie” — myśli Ula. Wystarczy na Dankę spojrzeć, pochyliła się nad stołem, ale i tak nie ukryje, że czerwona, czerwona jak burak, policzki, czoło, szyja. ' Przygląda się fotografiom z bliska, jakby miała krótki wzrok. Kogóż by to zwiodło? I nagle Ulę ogarnia bunt, ostry, pełen goryczy. Przeciwno czemu? Komu? Ach, czyż to wiadomo? Przeciwno losowi, że Danka musiała Zenka poznać, jej samej (mało jest innych chłopców? Dlaczego właśnie tego sobie wybrała?), ach, i Zenkowi także! Przede wszystkim przeciw Zenkowi! Jakie słowa tej dziewczynie powiedział? Takie same, jak jej, Uli? Jak na Dankę patrzył? Co jej obiecał? A może ją pocałował? — Ula?...

Drgnęła, jak przyłapaną na gorącym uczynku, podniosła głowę i jej oczy spotkały się z oczami Danki. Uważnymi, patrzącymi wnikliwie — i chyba od dłuższej chwili. ' Czyżby się czegoś domyślała?... „Niemożliwe — odpowiada sobie z popłochem Ula. — Niemożliwe!...” Jest jednak przestraszona, zaczyna mówić coś szybko i bez sensu na temat fotografii, że to właśnie doktor Zaleski, że była niepogoda, więc robione na czas, Julek błaznował... Nie odnosi to żadnego skutku, Danka zdaje się w ogóle jej słów nie słyszeć, rzuca spod czoła ukradkowe spojrzenia, które nie wiadomo co mają znaczyć.

— Powiedz, a w Jurocinie?... — O Jurocinie, świętach, o chłopcach nie miało być przecież mowy, Ula jest jednak zanadto zbита z tropu, by powzięte uprzednio postanowienia

miały znaczenie. Każdy temat wydaje się dobry, byle Dankę zainteresował i odwiódł ją od podejrzliwych myśli. — Chyba ci tam było bardzo przyjemnie?

— Dlaczego tak myślisz?

Dziwne pytanie, Uli ani by na myśl nie przyszło, że może paść, nie od razu znajduje więc odpowiednie wyjaśnienie.

— No, Jurocin jest podobno śliczny, a rodzina Mariana...

— Co? — ostro i nieprzyjemnie zabrzmiało to słówko.

— Nic, wyobrażam sobie, że musi być sympatyczna — banalne wyrazy z trudem przechodzą przez gardło, jakby mówiło się coś niewłaściwego. — Więc święta w takim domu...

— Nic takiego — przecina wzgardliwie Danka.

— Nie podobało ci się? Naprawdę? A ja myślałam...

— Że to sam raj dla kogoś takiego jak ja, prawda?

— Tak dziwnie mówisz.

— Normalnie. I dowiedz się, że to żaden raj, tylko zwyczajna prowincjonalna dziura.

Wściec się można z nudów. No, i co tak patrzysz?

— Ja przecież nic.

— Żadnych rozrywek, a ja jestem przyzwyczajona do Warszawy. — Głowa Danki uniesiona, broda naprzód, jak wtedy, kiedy stanęła w progu. Nie spuszczać z Uli uważnego spojrzenia mówi z werwą: — Wiesz, jakie tam miałam atrakcje? Nie wiesz, to ci powiem: pójść do Samu, nawet dosyć porządny jest ten Sam — i coś sobie gwizdnąć.

— Gwizdnąć?...

— No, na przykład czekoladę — wyjaśnia swobodnie Danka. — Trzeba umieć, naturalnie, mieć sposób, byle komu się nie uda. Mnie się udaje. — I roześmiewszy się głośno, spytała prowokacyjnym tonem: —Cóż tak milczysz?

— Nie mam nic do powiedzenia — odezwała się Ula drętwo. Żadne właściwe słowo nie przychodziło do głowy — ani, rzecz jasna, zrozumienia czy uznania, ani potępienia. Sytuacja przerosła ją, nie miała pojęcia, jak się zachować.

A Danka czeka. Tak, Danka czeka, jak też ona, Ula, na zwierzenie zareaguje. Ciekawi ją! Nie miała przecież żadnego powodu, żeby się z nim do Uli zwracać, nie prosi o radę, nie wygląda na kogoś, kto „potrzebuje pomocy”. Więc dlaczego?... Żeby Ulę „zgorszyć”, sprowokować do morałów, które można by wyśmiać? Możliwe. Jeżeli tak, to się przeliczyła, żadnych morałów nie usłyszy. Niech sobie idzie, skąd przyszła, i więcej tu nie wraca. Niech

się przyjaźni z takimi, którzy jej „rozrywki” zrozumieją i ocenią. Ula do nich należeć nie będzie, nie ma ochoty.

— Powinna byś wygłosić do mnie jakąś przemowę, nie uważasz?

— Nigdy żadnych przemów nie wygłaszam.

Cisza. Po chwili Danka parska śmiechem:

— Po co się męczyć, prawda? Polecisz z ozorem do swoich ciotek i masz z głowy.

— Nie polecę z ozorem do nikogo.

— Dlaczego?

„Dlaczego?” Ula milczy, zmieszana pytaniem, na które niełatwo odpowiedzieć.

— Ale tej swojej przyjaciółce opowiesz, naturalnie.

— Nie — zaprzecza Ula bez namysłu.

— Nie? — Danka, dopiero co taka impertynencka, obca, pochyła się ku Uli, w jej spojrzeniu lśni coś szczególnego. Niedowierzenie? Nadzieja?... Jest zupełnie inna niż przed chwilą.

— Nie — powtarza Ula, czując, że musi tak powiedzieć. — Są rzeczy, które zachowuję przy sobie, nie tylko cudze, własne też.

— Masz takie rzeczy... te własne?

— Mam.

„Oczywiście, że mam. Zawsze miałam. Dawniej: ojciec, teraz — Zenek”. Czasami nawet z jakiegoś drobiazgu nie sposób się zwierzyć.

— Myślałam, że jej mówisz wszystko — odzywa się Danka.

Te słowa budzą w Uli niepokój sumienia.

— Ale ja bardzo Pestkę lubię! — stwierdza gorąco. — Bardzo!

— „Pestkę”?

— To właśnie moja przyjaciółka, tak ją nazywają od dzieciństwa.

— Głupio, uważam.

— Wspaniała dziewczyna. Nie tylko ja tak myślę, chłopcy też. Poznali ją dobrze, spędziliśmy razem całe wakacje.

— W tych waszych Olszynach? — Danka znowu jest wzgardliwa.

— Właśnie, w naszych Olszynach — przeciwstawia się jej humorom Ula.

— Zwyczajna wiocha, nie?

— Marian, Julek... i Zenek bardzo tę „wiochę” lubią. Chcą tam jechać znowu.

— Co do mnie, jeżeli w Jurocinie nudziłam się na śmierć, to cóż dopiero w takim grajdole! I jeszcze z tymi smarkaczami.

Ach, dość tego! Ulę ogarnia gniew. Rzadko się to zdarza, ale kiedy się zdarzy, nie zważa na nic, staje się twarda jak rzemień.

— Toteż od nich uciekłaś — mówi, a właściwie prawie krzyczy, patrząc na Dankę z nie hamowanym już żadnymi względami oburzeniem. — Nie licząc się z nikim! Bo ci się znudziło! Bo taka ci przyszła fantazja?

— Ano, przyszła. I co z tego?

— Czy ty nic nie rozumiesz? — krzyczy dalej Ula. — Nic? Szukali cię parę godzin!

— Nikt im nie kazał. Mogli nie szukać.

— Pewno, że mogli. Ale oni są właśnie tacy, że szukali! A potem... — gniew opada, głęboka niechęć trwa jednak i podsuwa same ostre słowa. Ula nie przywykła ich jednak używać, zacina się więc i milknie.

— No co? Mów. Nie krępuj się.

Ula opanowuje się, względny spokój wraca. Nie znaczy to, żeby miała zamiar Dankę oszczędzać.

— Zachowałaś się okropnie, sama wiesz. Można sobie wyobrazić, jak się tam wszyscy zdenerwowali, rodzice Mariana przede wszystkim. I po tym wszystkim, po przykrościach, które im sprawiłaś, Marian napisał do mnie list! O tobie... że się tobą martwi. Więc...

— Co? Jak to? — zająknęła się Danką. — O mnie? Marian? Marian napisał?

— A ty myślałaś, że kto? — Gorycz zawodu na nowo daje o sobie znać i Ula mówi z ironią, od której nie umie się wstrzymać: — Myślałaś, że Zenek? Nie, Zenek nie lubi się na listy wysilać.

W odpowiedzi — milczenie, Danką jakby wcale tych przykrych słów nie słyszała. Przechyliła głowę, usta lekko otwarte, rozważa coś w sobie z głębokim zastanowieniem.

— Nie myślałam, że Marian zrobi coś takiego — odzywa się wreszcie prędkim, jakby zdyszczanym od przejęcia głosem. — Marian! Pokaż mi ten list!

Pokazać list?... Zaskakujące żądanie budzi w Uli sprzeciw, natychmiastowy i gwałtowny. Nie robi tego! Tego — nie! Spełniła zawartą w liście prośbę, postąpiła, jak chcieli, przemogła się, choć to było bardzo dla niej trudne, a teraz ma jeszcze ujawnić, że cały pomysł wyszedł od Zenka? Ach, niech chociaż to pozostanie sekretem, przykrym, smutnym, ale jej własnym!

— Wiesz, myślałam, że pani Pietrzykowa napisała do internatu, i koniec. Ona jest taka, że mogła to zrobić — mówi Danką pogodnie i z ożywieniem, jakby ostra wymiana zdań wcale nie miała miejsca.

— Zanim ona napisała, ja dostałam* list od Mariana — mówi chłodno Ula.

— Gdzie go masz?

— Ten list jest do mnie.

Danka rzuca na Ulę uważne spojrzenie spod czoła.

— Nie pokażesz mi?

— Nie.

— Co on tam o mnie napisał? Powiedz prawdę!

— Nic złego! — odpowiada pośpiesznie Ula, wyczytawszy w oczach Danki coś jakby, strach. — Naprawdę!

— Więc dlaczego nie chcesz pokazać?

Natarczywość źle na Ulę działa. Wołałaby nie odpowiadać, ale że Danka nie spuszcza z niej wyczekującego spojrzenia, bąka opornie:

— Bo nie.

— Mniejsza z tym! — wzgardliwemu okrzykowi towarzyszy wzruszenie ramion. Nie, to nie, nie mam zamiaru się prosić. — Chwilka namysłu, Danka dodaje zjadliwie: — A swoją drogą ciekawe, dlaczego Marian chciał, żebym ciebie poznała? Pojęcia nie mam!

Teraz milczenie zapada na długo. Ula kryjąc pod powiekami łzy gwałtownej urazy zabawia się przekładaniem porozrzucanych fotografii i kartek. Wreszcie, z wyraźnym staraniem, żeby to wypadło spokojnie, całkiem zwyczajnie, podsuwa w stronę Danki barwne pocztówki zagraniczne.

— Twoje pocztówki, nie zapomnij wziąć.

Danka drgnęła nieznacznie, czerwieni się. Czy zrozumiała, że ma odejść?

— Nie zależy mi, już mówiłam.

— Ale weź.

Dziewczyna zgarnia niedbałym gestem dwie czy trzy pocztówki, wsuwa do torebki, wstaje.

— Pójdę już.

Wychodzą do przedpokoju, Danka ubiera się w milczeniu. Przed wyjściem znowu patrzy w lustro, przeciągając nad miarę poprawianie włosów i czapki.

— Może jeszcze kiedy do mnie przyjdiesz? — pyta Ula.

— Może — odpowiada bardzo niedbale Danka. Ton, którym słówko zostaje wypowiedziane, jest jednoznaczny: nie przyjdzie, ani jej się śni.

— No to bywaj.

— Bywaj.

Trzaśnięcie drzwiami. Koniec! Inny, zupełnie inny, niż sobie Ula wyobrażała. Przez dni oczekiwania nie mogła się wyzbyć lęku przed tym spotkaniem, ale prócz strachu była w niej także nadzieja. Nie, coś silniejszego niż nadzieja. Była wiara, że się uda, że musi się udać — skoro tak bardzo tego pragnie. Istotną przeszkodę na tej drodze widziała tylko w sobie: w uczuciu krzywdy doznanej od Zenka, która nie przedstawiała boleć, i w odruchowej niechęci do Danki. Pokonała te uczucia, nie zaważyły na jej decyzji, zrobiła wszystko, by opanować głupią nieśmiałość wobec obcych, nie mówiąc już o przeciwstawieniu się Pestce, przyjętym tak źle! I cóż z tego wszystkiego wynikło? Nic. Odniosła porażkę.

Chłopcy pomylili się gruntownie w swoich sądach o tej dziewczynie. „Ona nikogo takiego jak ja nie potrzebuje — myśli z przykrością Ula. — A poza tym... poza tym jest antypatyczna!”

Porozrzucane na biureczku papiery i pocztówki, na okrągłym stole brudne talerzyki i szklanki, nadgryzione przez Dankę jabłko, okruchy... Należałoby sprzątnąć porządnie, „zatrzeć ślady” i nie myśleć więcej o nieudanej, budzącej niesmak wizycie.

Zniechęcenie niweczy na razie ten plan. Ula ogranicza się do zgaszenia górnej lampy, włącza radio, które nadaje niegłośną muzykę, i jak zwykle w godzinach smutku czy rozterki staje przy oknie.

Na przystanku mniej teraz ludzi, godzina szczytu minęła. Niektórzy stoją prawie bez ruchu, inni drepczą, popatrując niecierpliwie w stronę, skąd powinien nadejechać tramwaj. Przy samym słupku dziewczyna w czerwonej czapce. Czyżby Danka?... Tak. Szalik czerwony jak czapka, jasny płaszcz. W świetle latarni jego kolor jest trochę inny niż w mieszkaniu, ale to na pewno jej płaszcz.

Już dobrych piętnaście minut, jak stąd wyszła, i jeszcze czeka, w tamtą dzielnicę tramwaje chodzą dość rzadko. Stoi nieruchomo, ręce w kieszeniach, głowa spuszczone. Nie rozgląda się, można by pomyśleć, że wcale ją to nie interesuje, czy tramwaj nadejdzie prędko, czy nie.

„Wiadomo, wcale jej się nie spieszy” — myśli z ironią Ula. Nie odrywa od Danki oczu, czekając, kiedy tamta odwróci się, zrobi jakiś gest, jej nieruchomość jest denerwująca. No, jak nadejdzie tramwaj, poruszy się na pewno, niepilno jej, ale przecież wsiądzie.

„Może liczyła, że będzie u mnie dłużej?” — ta myśl również zabarwiona jest ironią — i wystarczy paru sekund, by Ula poczuła z powodu tej ironii coś jakby wstyd. Jeżeli Danka odeszła wcześniej, niż miała zamiar, to widocznie i ona inaczej sobie to spotkanie wyobraziła. Myślała, że jej będzie przyjemnie, że może nawet odczuje przykrość, jak trzeba się będzie rozstać? A teraz ma przed sobą pusty czas i jazdę do domu, gdzie zapewne nikt się na jej powrót nie cieszy, a w tym, co się tu odbywało, też nic jej nie raduje. „Zmarnowane

popołudnie” — tak pewno o ich spotkaniu sobie myśli. Ach, jak niemiło to wszystko wypadło!

Tramwaj nadjeżdża, Danka prostuje się leniwie i wsiada bez pośpiechu, jedna z ostatnich. Ula towarzyszy jej w myślach aż do odległej, prawie nie znanej dzielnicy, zabudowanej wielkimi blokami, doznając uczucia, że ślad dziewczyny gdzieś się tam zgubi i ona nigdy go już nie znajdzie. Niepokój jest bezsensowny, adres Danki zapisany, umie go zresztą na pamięć, tak jak w ogóle cały list Mariana.

List Mariana... Uli przychodzi nagle do głowy dziwaczna myśl, że dziewczyna, o której jest w liście mowa, to wcale nie ta, która dopiero co stąd wyszła. „Dziwna”, „trochę dzika” — pisał Marian o tamtej, określenia „pasują i do tej, ale z innych zdań wynika, że tamtą nie tylko Zenek polubił, rodzina Mariana także. Troszczyli się, żeby jej było dobrze, nawet po jej nieudanej ucieczce! Musiała się tam zachowywać zupełnie inaczej niż tu. Ale czy ona potrafi się inaczej zachowywać?

„Nie wiem myśli Ula. Nie wiem! - powtarza sobie po chwili. I w ogóle nic z tego nie rozumiem”. Chciałaby zrozumieć. Pragnienie, by raz-dwa o niemiłej sprawie Zapomnieć, trwało chwilę, znikło i teraz pamięć odtwarza wszystko, co między nimi dwiema zaszło, słowa, gesty, nastrój. Nie wyjaśnia się nic! Jakby ktoś zsypał razem po kilka klocków z różnych łamigłówek: nie sposób ułożyć z nich sensownej całości. Czy dlatego, że Danka kłamie, że co chwila zmienia się jej nastrój?

Kłamie na pewno. Na przykład o Zenku powiedziała, że „nic ją nie obchodzi”. Śmieszne! Nie tylko rumieniec zdradził, jak naprawdę jest, zrobiła się na chwilę cała sztywna, nie podnosiła oczu znad fotografii i czuło się, jaka jest czujna, jak uważa, żeby się nie zdradzić.

„No, dobrze — rozważa dalej Ula, czując, że wątpliwości mnożą się i mnożą. — Jeśli Danka tak jest przejęta Zenkiem. to dlaczego ucieszyła się, że list jest od Mariana? Bo na pewno się tym ucieszyła! I wtedy właśnie, chyba jeden jedyny raz w czasie całej tej godziny uśmiechnęła się pogodnie i zrobiła się ładna (ma bardzo niebieskie oczy i duże. miłe usta, a w nich pełno białych zębów). Czy nie przyszło jej do głowy, że to raczej Zenek powinien był w jej sprawie napisać? A może... tu myśli Uli zaczęły niepokojąco plątać się i tracić ostrość — a może, skoro list od Mariana tak ją rozradował, to wszystko jest inaczej, niż się wydaje? Może wcale nie Zenek, tylko Marian jest dla Danki tym najważniejszym?”

„I cóż z tego?” — wystarcza bardzo krótkiej chwili, by Ula zadała sobie to trzeźwe pytanie. O Zenka chodzi, nie o Dankę, o jego uczucia, które się zmieniły. Ale nie trzeba, nie ma po co do tego wracać! Odczekawszy chwilę, by rozżalenie przestało dopiekać, Ula znowu pogrzeza się w zawile rozważania o niepokojącym gościu. Że lubi Mariana, nie ulega to

żadnej wątpliwości, a przecież nazwała go „nieznośnym smarkaczem”, powiedziała też, że się „śmiertelnie” w Jurocinie nudziła. Że dlatego stamtąd uciekła! Uciekła od Zenka, w którym się kocha, i od Mariana, którego polubiła? O mamie Mariana też się jakoś miło wyraziła... Ach, przecież nie ma w tym żadnego sensu!

Przy innych okazjach też trudno było jakiś sens wysledzić. Na przykład opowiadka o „bananowej” przyjaciółce była rażąco głupia. Z początku Ula nabrała się na to, teraz jest pewna, że nikt taki nie istnieje. A „rozrywka” w postaci kradzieży czekolady w Samie? Może to prawda, a może kłamstwo, jedno jest pewne, że Danka chwaliła się umyślnie, prowokacyjnie.

„Jest antypatyczna. Naprawdę antypatyczna” — powtarza Ula w myśli, jakby starając się usilnie kogoś o tym przekonać.

Tylko że ten ktoś przekonać się nie daje, jest nierad, niepokoi się, a taką kategoryczną ocenę uważa za krzywdzącą i niesprawiedliwą. „Nieszczęśliwe stworzenie” — powiedział o Dance ojciec, uważając, że to przesądza o wszystkim. W Jurocinie kłopotczą się o nią, choć przecież zachowała się tam okropnie. „A ją? — zastanawia się Ula. — Więc dla mnie decydujący był fakt, że nie

jest miła?”

I pomyśleć, że chłopcy zaufali jej, liczyli na nią! Nie sprostała temu. Przełamała wprawdzie wszelkie trudności, by Danka mogła tu przyjść, a kiedy już do tego doszło, popsowała wszystko. I nie dlatego, że jest zazdrosna o Zenka! Jest zazdrosna, to prawda, nie to jednak zadecydowało o jej postawie. Coś zupełnie innego: że, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, uważała, że ktoś taki jak Danka powinien być sympatyczny. Nie dość, że jest sam, że nie ma domu, że los go skrzywdził, ponadto ma jeszcze zachowywać się tak, żeby ludziom naokoło sprawiać przyjemność.

A teraz Danka wraca do swojej dalekiej, prawie podmiejskiej dzielnicy i zamiast uczucia, że znalazła tu kogoś bliskiego, myśli sobie: „Nigdy już do tej Uli nie pojedę, nigdy”.

„Ach, Danko!” — szepce Ula w zgnębieniu.

ZNAK

Okno półpiętra, okazja, żeby się zatrzymać. Danka wyjrzała przez mętną szybę na podwórze. Dziwne, że coś takiego istnieje w Warszawie, w samym centrum. W nowych dzielnicach każdy dom to jakby jedna ściana i wokoło tej ściany powietrze, a tu cztery zwarte razem, zupełna studnia, trzeba by się dobrze wychylić, żeby zobaczyć niebo. I jedno okno patrzy w drugie. Niektóre ciemne, inne oświetlone, te oświetlone szczelnie pozasłaniane, jeśli gdzieś świeci się szpara, to z boku, tuż przy futrynie, niczego się przez taką szparę nie zobaczy. Poodgradzali się doskonale, nie pozwolą popatrzeć, jak u nich jest, w tych mieszkaniach. A każde mieszkanie to czyjś dom, śpią tutaj, jedzą i rozmawiają, i cały czas tylko trzy czy cztery, czy może pięć osób, zawsze te same, rodzice i dziecko albo rodzice i dzieci, czasem jakiś dziadek czy babka albo ciotka, albo siostrzenica i nie ma tak, żeby nagle ktoś się wyniósł, bo go przenieśli do innej miejscowości. Ciekawe, o czym się w takim domu rozmawia, kiedy się wróci ze szkoły, z pracy, ze spaceru? Czy dużo sobie wzajemnie opowiadają? Chyba tak. Znają się doskonale, nie trzeba niczego udawać ani ukrywać. No, oczywiście, bywają też rodziny bardzo złe, kłócą się, nienawidzą, piją wódkę albo kradną, nie sposób wytrzymać, przychodzi jakaś komisja i zabiera rodzicom dzieci, jak chociażby Henię i Weronkę.

W dobrych rodzinach, takich prawdziwych, jest inaczej. W Jurocinie, u Uli. U Uli jest trochę dziwnie, mieszka z ciotkami, a ojciec zupełnie gdzie indziej, w tych Olszynach. Może jej matka nie żyje? A może się rozwiodła i wcale o Ulę nie dba? W każdym razie nie jest to dom, jak się należy, z rodzicami i dziećmi. A jednak jest miły, czuje się to od razu, jak się wejdzie. Duży pokój, nieładny zresztą (meble jakieś ciężkie, staroświeckie, po kątach ciemnawo), nieważne, pośrodku okrągły, stół i wisząca lampa z żółtym abażurem i nie wiadomo, dlaczego człowiekowi się wydaje, że nic przykrego go tu nie spotka, że jest bezpieczny, chyba że sam narobi głupstw — tak jak to właśnie się stało.

A pokoik Uli? Stąd go nie widać, okno jest w tej samej ścianie, co klatka schodowa. Danką, zatrzymawszy się na podwórzu, usiłowała rozpoznać, które to i czy pali się w nim światło; chyba tak, nie jest jednak pewna, czy się nie pomyliła. Zresztą brak światła o niczym nie świadczy, może Ula odrabia właśnie lekcje przy swoim biurczku w pokoju ciotek?

Jeśli chodzi o nią, o Dankę; to gdyby miała taki pokoik, to chyba nigdy by z niego nie wychodziła. Ach, bezsensowna myśl, nie o to chodzi, żeby tam tkwić bez przerwy, tylko żeby mieć swój własny kąt, zupełnie własny, gdzie nie wejdzie nikt, kogo się nie chce, gdzie można być samemu, jeśli taka ogarnie ochota, albo z kimś miłym, tylko z nim — to przecież

cudowne! Czy Ula rozumie, jakie to szczęście? Powiedziała co prawda „bardzo lubię ten pokoik”. I sama go chyba urządziła, w każdym razie sama dobierała fotografie i pocztówki.

Nie wszystkie udało się wtedy obejrzeć. Mogłoby się udać, oczywiście, gdyby ona, Danka, tego chciała. Właściwie to chciała, wołała jednak udawać, że ją to nudzi. Dlaczego? Żeby Ulę dotknąć? Chyba nie, raczej ze strachu, że to, co się wymarzyło, znowu się nie uda! Przywitanie było dosyć drętwe. Było drętwe, i co z tego? W pokoiku, kiedy zaczęło się o Dunaju, głos Uli tak jakoś zabrzmiał, jakby zaraz miała powiedzieć: „Siądźmy tu, tu jest dobre miejsce na rozmowę... na prawdziwą rozmowę”.

Może powie tak dzisiaj? „Najpierw się zdziwi, oczywiście, wcale się mnie przecież nie spodziewa — rozważa Danka. — Zdziwi się i ucieszy. Zaprowadzi mnie do siebie, zapali małą lampeczkę nad tapczanem, a wtedy ja... To nie powinny być zwyczajne słowa. Może: Marzyłam, żeby się tu znaleźć. Albo: Cudownie tu u ciebie. A Ula na to: Dobrze, że przyszedłeś, musisz mi o sobie opowiedzieć.

Opowiesz, prawda? I wtedy ja — że tak, bo mam do niej zaufanie. Nie wiadomo dlaczego, ale mam. Wiem, że niczego nie wygada, nie wyśmieje mnie i będzie się starała zrozumieć, że z człowiekiem bywa różnie. No, i wtedy coś niecoś jej opowiem. Nie wszystko, nie od razu, przecież nieraz będziemy sobie w tym jej kąciku razem siedziały”.

Ramię oparte wygodnie o framugę okna, jakby miała tu stać i stać, wyprostowało się gwałtownie, Danka odwróciła się i zdecydowanie ruszyła ku schodom. „Czy ja zwariowałam? — myślała zbiegając. — Zwariowałam, naprawdę!”

Po chwili szła Marszałkowską, nie rozglądając się, nie patrząc na wystawy, wypełniona po brzegi goryczą i zmiennymi jak chmury, buntowniczymi uczuciami.

Zadzwoń, drzwi się otworzą i co? Przecież Ula nie ma najmniejszej chęci na to spotkanie! Nawet jeśli nie da tego po sobie poznać (jest grzeczna, jest cholernie grzeczna, do diabła z taką grzecznością), obie będą czuły, że to zgrywa, zaczną się cedzenie słówek, dziękuję bardzo! A zresztą w ogóle — cóż one mają z sobą wspólnego? Nic! Tamta to „panienka”, wychowali ją pięknie, ma wszystko, co potrzeba, ojca, ciotki, „wspaniałą dziewczynę” za przyjaciółkę, w szkole na pewno jak po maśle, lekcje odrabia przy własnym biurczku. Co tu porównywać, śmieszne po prostu!

I to denerwujące zachowanie: „proszę”, „bardzo cię proszę”, „będę się cieszyła, jeśli weźmiesz”! Jak na jakimś popisie albo w telewizji w staroświeckiej sztuce z falbaniastymi sukniami do ziemi. Idiotka! Ach, mniejsza z tym, nie warto sobie zawracać głowy. < Zwolniła kroku, gniew opadł i nie podniecał do szybkiego marszu. Spojrzała na jedną i drugą wystawę, przystanąła przed sweterkami, przed papierową galanterią, nic tu ciekawego, szła dalej.

Kwiaciarnia, wielka szyba, za nią zielono i kolorowo, goździki, tulipany, jest też parę różowych hiacyntów.

„Jeszcze nigdy w życiu nie kupiłam kwiatów — myśli Danka przyglądając się małym czerwonym tulipanom w złotych koszyczkach. — I tylko raz je ofiarowałam, na akademii, bo mnie wyznaczili. Ale żeby tak samemu wybrać i komuś dać, to nie. Ludzie, którzy niosą kwiaty, są trochę uroczyści, a czasem tacy jakby rozjaśnieni, myślą o kimś, komu mają zrobić przyjemność. A ja...”

I myśli Danki pobiegły nowym torem w poszukiwaniu tych, którym, gdyby tylko mogła, chciałyby dać kwiaty, Pannie Zofii, oczywiście! Pannie Zofii coś ślicznego, powiedziałyby „szalona dziewczyno”, schwyciłaby ręką za ramię, zawsze tak robiła, jak ją coś wzruszyło. Pani Pietrzykowej?... Tak, pani Pietrzykowa jest dobra. A dalej?... „Babcia Domańska”? Można by, owszem. Dalej?... Dalej już nikt?

Nad tapczanem Uli jest wąska półeczka, mała lampka, parę książek, jakieś figurki. Gdyby tam postawić złoty koszyczek z czerwonym tulipanem, wyglądałby ładnie. Czy Ula ucieszyłaby się? Musiałaby się cieszyć! Na pewno byłaby trochę speszona, łatwo się peszy, choć udaje, że niby nie. Jest nieśmiała.

Bardzo nieśmiała. Ciekawe dlaczego? Chyba niemożliwe, żeby ją kto skrzywdził. No, co prawda jeśli matka ją odumarła albo, co gorsze, rzuciła, to wystarczy. Może i inne ma zmartwienia? Parę razy miała taki wyraz twarzy, jakby ją coś gryzło, a może przypomniał jej się jakiś dawny smutek, którego nie może zapomnieć? Oczy to w ogóle ma smutne i nie wygląda na kogoś, kto umie się bronić.

Ciekawe, czy chociaż ta Pestka jest przytomna, jeśli tak, to chyba jakoś Uli pomaga? Ale czy potrafi, czy zawsze jej się chce? Ula nie mówi jej wszystkiego, więc może to nie jest prawdziwa przyjaźń? O prawdziwą przyjaźń jest trudno, a Uli na pewno jest potrzebna, cóż ona wie o życiu? Nic. Jakie głupstwa mówiła o „ucieczce” z Jurocina, wyobraziła sobie, że to „dla fantazji”! Dla fantazji wiać od Mariana? Z takiego domu? Naiwna jest, bez pojęcia, nawet sobie nie wyobraża, co się z człowiekiem wyrabia, jak mu życie za bardzo dokuczy. Nie ma doświadczenia i bardzo się może kiedyś naciąć. „Mogłabym jej się przydać — myśli Danka. — Ona nawet tego nie rozumie, ale naprawdę mogłabym się jej przydać”.

I co z tego? Podniecająca myśl przepłynęła przez głowę i znikła, zostawiając po sobie pustkę. „Nie przydam się ani Uli, ani Marianowi, ani nikomu. Sama wszystko popsulałam, sama, z własnej woli, tak samo jak w Jurocinie”.

Nie Warto patrzeć na kwiaty, nic z tego nie wyniknie, nawet gdyby jakimś cudem miała pieniądze: panna Zofia gdzieś w świecie, nikt nie zna jej adresu, Ułę trzeba sobie wybić z głowy, panią Pietrzykowa także.

Danka wędruje znowu, prawie nie patrząc na przechodniów, z głową spuszczoną, przepełnioną myślami, które porzuciwszy pokoik Uli, krążą wokół Jurocina. „Tam było jednak ze mną trochę inaczej — rozważa mozolnie. — Z początku to rzeczywiście psułam, co mogłam, starczyło byle głupstwo, żebym wpadła w złość. Ale potem się starałam, bardzo się starałam!” Gdyby nie to, co z Zenkiem, gdyby się tak okropnie nie przestraszyła i nie uciekła, byłoby chyba dobrze do końca. A teraz to już o Jurocinie, żeby tam kiedy jechać, ani marzyć! Jak komu wypadł zły los, to już wiadomo; że zawsze jest przeciw niemu.

A u Uli?... Danka z gniewem zaciska wargi. Nie, u Uli to nie żaden los, tylko własne idiotyczne usposobienie. Czy nie cieszyła się na to spotkanie? I to jak!... Kiedy pani Aniela oznajmiła: „Przyszedł list od twoich przyjaciół z Jurocina. mają tu w Warszawie znajomą dziewczynkę, proponują, żebyś ją odwiedziła” — to aż tchu w piersi zabrakło. Milczała, jak zamurowana, i wreszcie z trudem bąknęła, że przecież nie zna tej dziewczynki, więc jakżeż? „Pani Pietrzykowa pisze, że ona jest już uprzedzona. Masz ochotę, to pójdziesz, a nie, to nie. Co do mnie — pani Aniela spojrzała tak jakoś przenikliwie to radziłabym pójść. Ale przymusu nie ma”.

„Przymusu nie ma”. No i wobec tego ona, Danka, od samego progu oświadczyła, że przysłała, bo jej kazali. I przecież wypowiadając ten idiotyzm orientowała się doskonale, że Ula jest speszona, nieśmiała i wcale nie taka, żeby chciała czymkolwiek imponować. Widocznie na głupie usposobienie nie ma siły! Najłżejsze podejrzenie, „na niczym nie oparte: „Wyobraża sobie, że mi zależy!” albo: „Współczuje, bo jestem nieszczęśliwa sierota”, i z punktu człowiek się jeży. „Czy to się nigdy we mnie nie zmieni? Nigdy?”

Ach, jeśli nawet kiedyś się zmieni, teraz trwa i marnuje każdą okazję. Czy można się dziwić, że przy pożegnaniu Ula była chłodna? Jaka miała być, skoro ona, Danka, robiła wszystko, żeby tamta dotknąć i zrazić, wymyśliła nawet taką bzdurę jak kradzieże czekolady! Nieliczne momenty, kiedy zachowywała się przyzwoicie i następowało między nimi jakieś takie porozumienie, nie przeważają mnóstwa innych, kiedy była niemożliwa!

Więc nigdy Uli nie zobaczy? Oszła, krytyczna ocena samej siebie przekształca się w żal — tak gorący i bolesny, że do oczu napływają łzy. Obraz ulicy zamazał się. Łzy nie kapią jeszcze, ale skurcz już trzyma za gardło, zaraz zacznie się regularny płacz. Płacz na ulicy? Żeby ktoś podszedł i zaczął się dopytywać?

„Nie chcę. Nie chcę. Nie chcę”. Zakłęcie nie działa, twarda kula w gardle rośnie i tak dławi, że trudno przełknąć ślinę, zdradzieckie krople wymykają się spod powiek. Nie do zniesienia! I znikąd żadnej rady, żadnej pomocy. Tylko Ula. Więc mimo wszystko iść do niej i próbować? Chociaż to nie decyzja, tylko taka sobie przelotna myśl, a już kroki tracą rozpęd ucieczki. Po co właściwie wędrować w nieznanym kierunku, coraz dalej od przystanku... i od tamtego domu?

Zatrzymuje się na chwilę, jakby powzięcie ostatecznego postanowienia wymagało bezruchu. „Tak mówi sobie. Tak. Pójdę „do niej”.

Dla zorientowania się, jak Ula jest usposobiona, wystarczy „rzut oka. Jeśli źle trzeba po prostu podać . fotografię, powiedzieć od niechcienia: „Odnoszę, widocznie zawieruszyła się między pocztówkami, no to cześć”, i obrócić się na pięcie. Odejść jakby nigdy nic.

Szkoda swoją drogą tej fotografii, strasznie szkoda. Przypatrywała jej się wiele razy. Zapamiętała wszystkie szczegóły, ale to nie to samo, co mieć na własność. Marian tak miło na niej wygląda. Zamyślony, jak zwykle.

Już po chwili utrwaloną na zdjęciu twarz chłopca przesłania wspomnienie twarzy żywej. Poważnej, nawet jakby surowej, zmarszczone brwi, usta zaciskają się po każdym słowie... Wszedł niespodziewanie do jurocińskiej kuchni, znalazła właśnie jakąś szmatkę i usiłowała zetrzeć plamy z okładki albumu, zauważył to od razu i poczerwieniał. Myślała, że się cofnie, a on nie, stoi i mówi szorstkim, urywanym głosem: „Po co go z sobą zabrałaś?” „Przecież to od ciebie” odpowiedziała bez namysłu. Poczerwieniał znowu, miał taką minę. jakby postanowił, że się więcej nie odezwie. I nagle się załamał, powiedział zupełnie jak dziecko: „Nic nie rozumiem. Dlaczego uciekłaś? Dlaczego?” To była okropna chwila, nie przychodziło do głowy ani jedno słowo, którym można by go pocieszyć czy przeprosić, więc zaczęła głupio tłumaczyć, że te plamy, to jak album upadł na stopień wagonu.

Nie słuchał, poszedł sobie, potem aż do wyjazdu ani przez chwilę nie byli sami, ona zresztą wcale się o to nie starała. Nie mogła przecież w żaden sposób swego postępuku wytłumaczyć! Przy pożegnaniu stał z boku i tylko spojrział na nią krótko, ciągle z tym samym żalem. Pani Pietrzykowa pocałowała ją, uśmiechnęła się tak trochę dziwnie, z wysiłkiem, pan Pietrzyk powiedział: „No... życzę ci, żebyś na przyszłość mniej sprawiała ludziom kłopotów”. Julek mruknął: „Bywaj, Danko”, co niby brzmiało jak przy normalnym rozstaniu a wszyscy razem wiedzieli doskonale, że dla niej z Jurocinem koniec: źle się tu zapisała.

I nagle ten list w rękach pani Anieli! Długą chwilę nie była w stanie uwierzyć, że to prawda, patrzyła na kartkę papieru, jakby to był tajemniczy znak, przesłany z daleka cudownym jakimś sposobem. „Troszczymy się o ciebie, nie chcemy, żeby ci było źle,

pamiętamy o tobie” mówił ten znak. Marian go przesłał poprosił swoją mamę, żeby napisała do pani Anieli, a do Uli napisał sam. Ula zgodziła się i dlatego, choć speszona, powiedziała z wyraźnym naciskiem: „Czekałam na ciebie”.

* * *

Tym razem Danka wchodziła na ponure schody nie zatrzymując się. zdecydowanie i szybko, by niespodziewane strachy czy niemiłe, na nowo ożywione wspomnienia nie miały czasu zmienić jej decyzji. Parę razy z przykrą uporczywością przewinął się co prawda przez pamięć obraz napiętej i jakby stężałej twarzy Uli z najgorszych chwil ich spotkania, udawało się jednak przywołać i chwile dobre: uśmiech Uli podczas rozmowy w pokoiku, jej parokrotne, wyraźne o Dankę zatroskanie.

„Żeby tylko nie popsuć! — powtarzała sobie uporczywie. Żeby tym razem niczego już nie popsuć!” Stanąwszy przed drzwiami, otworzyła torebkę i zerknęła na fotografię, z którą za chwilę wypadnie się rozstać. Marian. Czy jest teraz ktoś, kogo lubiłaby bardziej niż Mariana? Nie. nie ma.

Ręka naciska dzwonek i nagle lęk, paraliżujący, obrzydliwy: że zostanie źle przyjęta, że dozna upokorzenia. Trudno. Co ma być, to będzie.

Ula w progu. Bez ruchu, jak zastygła. Nic nie mówi, patrzy szeroko otwartymi oczami. Zaskoczona? Przestraszyła się?

— Ja tylko tak... na chwilę bąka Danka.

— Wejdz.

Danka wsuwa się do przedpokoju, nie spuszczać oczu z twarzy Uli. Nie zatrasnęła za sobą drzwi, zatrzymała się tuż przy wejściu. Może za chwilę trzeba będzie obrócić się na pięcie i odejść?

— Rozbierz się.

— Nie, po co? Przyszłam, żeby ci oddać zdjęcie — zacina się na chwilę i zaraz, odchrząknąwszy, dodaje głośno, z pewnością siebie, której wcale nie czuje: Zawieruszyło się jakoś między pocztówkami... no, tymi, które mi dałaś.

— Zawieruszyło się?... Ula zdumiona. Ula nie uwierzyła! „Uważa mnie za złodziejkę!” Obraza, szybsza niż myśli, zalewa krwią policzki Danki, w głowie błyskawiczne pogotowie ostrych słów. Co z tego, że niesprawiedliwe i głupie? Przyniosą ulgę, przetną dwuznaczną sytuację, do diabła z tym wszystkim! „Będzie przynajmniej wiadomo, że mi nie zależy!” Dotknięcie drobnej dłoni, która, jeszcze przez chwilę niepewna, obejmuje zdecydowanym uściskiem rękę Danki. pociągając ją ku sobie — i niszczyielski zamiar, nie spełniony, rozplywa się równie szybko, jak się pojawił.

— Rozbieraj się — mówi zachęcająco Ula. Zamknęła wejściowe drzwi, cofnęła się, czeka, żeby Danka ściągnęła płaszcz. Wahania skończone, o „zawróceniu na pięcie” ani mowy, nie wiadomo jednak, co dalej.

Płaszcz, czapka, szalik na wieszadle. Włosy rozczochrane, to nic, oczy śledzą twarz Uli, uroczystą jakby, a może i wzruszoną? Ale czym miałyby się wzruszać? W każdym razie nie jest niechętna, to pewne. Jej wargi poruszyły się, czy chce coś powiedzieć? Nieśmiała, strasznie nieśmiała!

— Cieszę się, że przyszłaś. Bardzo chciałam, żebyś przyszła.

— Naprawdę?

— Tak.

Usłyszy się takie słowa i od razu jakby się człowiek wyprostował. Lżej oddychać, można podnieść głowę, można patrzeć nie w ziemię, tylko przed siebie. O wyjaśnienia prosić nie należy, niech Ula mówi, co chce. kiedy chce, bez żadnego wymuszania.

— Wolisz być tutaj czy u mnie? Tylko że tam ciasno.

— Wolę u ciebie.

— Ja też! Ula uśmiechnęła się, cieszy się, że taką właśnie usłyszała odpowiedź. — Chodźmy.

— Jesteś w domu sama?

— Tak. Ciocia Ewa jest nauczycielką, ma poobiednią zmianę, a ciocia Wanda pracuje w bibliotece do siódmej wieczorem.

— Aha.

Mijają korytarzyk, w pokoiku Uli pali się mała lampka, na tapczanie rozłożona książka. „Była tu, kiedy stałam na schodach” — myśli Danka. Ach, jaka szkoda straconych niepotrzebnie minut! Łaziła po Marszałkowskiej, becząc, a tutaj jest tak dobrze.

— Siadaj.

Siedzą blisko siebie, Ula podciągnęła nogi i oparła się o ścianę. Danka pragnęłaby tak samo, ale może gościowi, jeśli chce być delikatny, nie wypada tak wygodnie się rozsiadać? Sięga po torebkę i wyjmuje olszyńskie zdjęcie.

— Masz, zwracam ci — słowa są sztywne, nie ma na to rady, zresztą nie tylko w sobie wyczuwa Danka napięcie, w Uli także. — Schowaj.

— Mogę ci je dać, jeśli chcesz.

— Jak to? Na zawsze?

— Na zawsze.

— Ale dlaczego?

— Mam jeszcze inne, a tobie na nim zależy, prawda?

Danka czerwieni się nieznacznie.

— Trochę.

— No widzisz, A jednak odniosłaś, dziękuję ci. No weź.

Ula uśmiecha się zachęcająco, odsuwając zdjęcie od siebie, Danka po nie nie sięga, siedzi bez ruchu, ogarnięta gwałtowną pokusą. Przyznać się, powiedzieć szczerze, jak było! Żadne tam „zawieruszenie się”, wzięła zdjęcie całkiem świadomie, kiedy Ula poszła do kuchni, bo strasznie chciała je mieć, przyjrzeć mu się. przypomnieć sobie Jurocin, Mariana, to właśnie Marian...

Bieg rozhuśtanych myśli urywa się, zahamowany nagłym lękiem, jak zwierzenie zostałoby przyjęte. Poprzednim razem Ula nie zareagowała ani słowem na historyjkę o czekoladzie, jej twarz nie wróżyła nic dobrego. A jeśli pomyśli, że Danka stale tak postępuje, że to dla niej normalne? Gotowa się zrazić, oburzyć i wszystko się popsuje. Trudno, póki co, trzeba się z wywnętrzaniem pohamować.

— Schowaj je od razu, bo jeszcze potem zapomnisz.

— Dobrze.

Zdjęcie wsunięte w przegródkę torby i w małym pokoiku zalega cisza, pełna wyczekiwania. Która odezwie się pierwsza? Danka czuje rozterkę, powinna by powiedzieć, że wie, jak głupio się zachowała, kiedy była tu pierwszy raz, że bardzo jej tego wstyd. Tylko że mówić o tym także wstyd! Może inni umieją przeproszać. Danka nie umie •-i pierwszy raz w życiu przychodzi jej na myśl, że jest to jakiś brak. Należałoby umieć.

— Wiesz — zaczyna. Ula. Zdanie urywa się, jakby chciała głębiej zaczerpnąć tchu, żeby je dokończyć. — Od czasu, kiedy tu byłaś, dużo o tobie i o sobie myślałam. Nie zachowałam się wtedy, jak powinnam.

— Ty?!

— I bardzo... bardzo mi przykro.

— Ależ... Nie mów tak!

— Dlaczego? Zależy mi, żebyś o tym wiedziała. Miałam zamiar do ciebie napisać. Ale przyszłaś...

— Musiałam przyjść.

Zapadła cisza. Jak i poprzednim razem przerwała ją Ula:

— Jeszcze jedno muszę ci powiedzieć.

— Co?

— Muszę — powtórzyła Ula, jakby umacniając się w trudnym postanowieniu. — Choć może będziesz nierada. Z tą twoją ucieczką to ja nie wierzę. To nieprawda, że uciekłaś z nudów.

— Skąd wiesz?!

Przerażenie ściska gardło. Zenek nie dotrzymał słowa, zdradził! Danka zsuwa się odruchowo na brzeg tapczana, jakby lada chwila trzeba było bronić się lub uciekać.

— Danka?... — Ula jest wyraźnie zdziwiona. — Dlaczego się tak przelęknęłaś? Ja przecież nic... i tylko dlatego, że nie chcę udawać. Wtedy uwierzyłam, dopiero później pomyślałam sobie, że to tylko takie słowa, pierwsze lepsze, jakie ci przyszły do głowy.

Więc nie wie, co za ulga! Strach rozprasza się, sparaliżowane uczucia nie od razu jednak mogą odżyć, Danka mówi więc sucho:

— I teraz uważasz, że należy ci się „prawda”.

— Nie.

— Nie?

— Nic mi się nie należy.

Głowa Uli pochylona, głos jeszcze bardziej przyciszony niż zwykle.

„Zrobiłam jej przykrość — myśli Danka. — Dlaczego właściwie tak się odezwałam? Przecież o nic się nie dopytuje”.

— Widzisz... — mówi miękko, usiłując wrócić do nastroju, który dopiero co między nimi panował. — Ja nie mogę ci tego wytłumaczyć.

— Jeżeli już miałabyś tłumaczyć się, to przecież nie przede mną.

— A przed kim?

— Przed Marianem, może przed jego rodzicami, nie wiem...

— To niemożliwe.

— Oni to bardzo przeżyli — mówi Ula z lekkim naciskiem.

— Skąd wiesz? — Niepokój znowu daje o sobie znać. — Czemu tak myślisz?

— Marian pisał.

— Znowu pisał?

— Nie. Pisał o tym w liście, o którym ci już mówiłam.

„Nie pokazała mi go! Nie chciała pokazać, bo jest tam coś, czego nie powinnam przeczytać! Coś złego! Że popsulam im święta? Że jestem niemożliwa, odetchnęli, kiedy odjechałam? Czy Marian mógł takie rzeczy napisać?... Mógł, był rozgoryczony! A może... — Niepokój narasta, jeszcze trochę, a trudno będzie go ukryć. — A może Zenek nie wytrzymał, dopuścił Ulę do sekretu, zażądał, by zachowała go przy sobie. Ach, Boże!”

— Danka?...

Drgnęła i spojrzała na Ulę bacznie. Podejrzanie, że tamta „wie”, jest oczywistym idiotyzmem. Ale że w liście Mariana jest „coś złego”, to niewykluczone.

— Słuchaj... — dalszy ciąg urywa się, prośba o pokazanie listu nie chce przejść przez gardło. Ula odmówi, jak się wtedy zachować? Poprzednim razem skończyło się niedobrze, gniewem, głupimi słowami.

— Co?

— Nie, nic.

— Pokażę ci ten list — mówi cicho Ula.

— Naprawdę?

— Tak.

— Wtedy... wtedy nie chciałaś.

— A teraz chcę.

Dziwne uczucie. Tak bardzo pragnęła mieć ten list w ręku, a teraz się boi, teraz wołałaby chyba oddać go Uli, nie czytając.

— Czytaj.

— ...Tak — bąka Danka, wyjmując z koperty zapisany papier.

Kochana Ulko! Pewno się zdziwisz, że piszę do Ciebie... Danka niecierpliwie przebiega pierwsze, nic nie mówiące zdania, skoro już ma się dowiedzieć, co tu zostało o niej napisane, niech się to stanie jak najprędzej. *Na święta była do nas zaproszona jedna dziewczyna z Warszawy...* Od chwili kiedy wzrok dobiegł do tych słów, serce wali jak młotem aż do końca. Końca zresztą nie ma, Danka odczytuje list na nowo, jeszcze i jeszcze, oszołomiona, wzburzona, pełna wspomnień Jurocina. Dobrych i złych, dobrych jest więcej, o wiele więcej! *Mama ją polubiła i wszyscy też... Wilia była bardzo wesola...* Ach, jaka wesola! Na drugi dzień rozmowa w drwalce, w pokoju Mariana, Marian wpisuje się do albumu i już nie tylko sama ta chwila jest dobra, dobra będzie także i przyszłość.

I potem, aż do jej wyjazdu, wszystko było w porządku, ale już nie tak jak przedtem, bo nikt nie wierzył, że jest jej u nas dobrze... „Ach, Marianie! — myśli Danka. — Ostatnie dni były okropne, nie możesz sobie nawet wyobrazić, jakie okropne!” Pani Pietrzykowa niby bez zmiany, ale powściągliwa, prawie jakby się jej, Danki, bała, pan Pietrzyk z miną, która zdawała się mówić: „Niczego innego nie należało się po niej spodziewać”, zdziwione, badawcze spojrzenia Julka... A Marian? Milczy, o nic nie pyta, unika najkrótszej nawet rozmowy, czasem tylko, kiedy sądzi, że nikt tego nie zauważy, patrzy z rozżaleniem. I nic, nic, nic nie można było na to poradzić!

...*Jak się komu życie krzywo ułożyło, jak Dance...* To prawda, że krzywo, to prawda I Choćby i w Jurocinie: zaczęło się nie bardzo, ale nic, szło ku dobremu, ku coraz lepszemu, była już pewna, że nareszcie coś jej się uda, mało jest przecież takich chłopców jak Marian i właśnie Marian ją polubił! Polubił ją, był dla niej dobry.— więc go skrzywdziła! Nie chciała tego, a tak wyszło.

Oczy wracają ku niektórym zdaniom i wyrazom, tylko że trudno je odczytywać: pod powiekami zebrały się łzy. Coraz ich więcej, już się ich nie wstrzyma, zresztą będzie chyba lżej, jeśli popłyną. Tyle czasu się powstrzymywała, od przyjazdu zdarzyło jej się to tylko raz, w nocy, kiedy-wszystkie dziewczęta spały, no i dzisiaj, na ulicy. Na ulicy okropnie źle jest płakać. Tu inaczej.

— Przeczytałaś?

Danka kiwa głową, że tak, przy czym łza odrywa się od rzęs i spada na białą kartkę. Trzeba wytrzeć plamę, choćby palcem, słowa zamazują się nieco. Jakie słowa? *Mama ją polubiła, my wszyscy także.* Mama Mariana! Łzy zaczynają płynąć coraz szybciej, w gardle skurcz szlochania.

— Nie płacz — prosi cicho Ula, obejmując Dankę ramieniem. — Nie płacz, nie trzeba. Jak drugi raz pojedziesz do Jurocina, będzie ci lepiej, zobaczysz!

— Nigdy... Ja nigdy!

— Co: nigdy?

— Nigdy nie pojedę!

— Ktoś ci tam zrobił przykrość?

Odpowiedzią na pytanie jest wzmożony płacz, innej Danka nie jest w stanie udzielić. Ramię Uli obejmuje ją mocniej, pocieszający, ciepły szept rozlega się znowu:

— Nie znam rodziców Mariana, ale Marian i Julek... no, i Zenek, oni są dobrzy, naprawdę. I polubili cię. Nie martw się tak strasznie, jeszcze się jakoś ułoży.

— Nigdy się nie ułoży!

— Dlaczego?... Nie, nie — wycofuje się szybko Ula. — Ja tylko tak zapytałam, bez zastanowienia. Nic mi nie mów, nie trzeba.

— Powiem! — wybucha Danka. Tak! Powie wszystko, wszystko, to jest jedyne, co może przynieść ulgę. Dość ma swojej obrzydliwej tajemnicy. Ula potępi ją, oczywiście, trudno, niech potępi, najważniejsze to pozbyć się nienawistnego ciężaru milczenia. Nie wytrzyma dłużej, nie może!

— A nie będziesz potem żałować?

— Nie, ja muszę! Nie mówiłam nikomu, tylko Zenek wie, tylko on... — Ramię Uli jakby się trochę cofnęło, może to zresztą złudzenie? Danka, choć łzy ciągle jeszcze napływają do oczu i gardła, mówi dalej: — Ale i z Zenkiem nie mogłam porozmawiać, nie było kiedy, więc on także nie rozumie, dlaczego ja tak... Źle zrobiłam, wiem.

— Z tą ucieczką?

— Nie, przedtem. A uciec... uciec to musiałam! Myślałam, że umrę, jeśli się dowiedzą.

— Czekaj, o czym mogli się dowiedzieć?

Zaraz... — Danka milknie, starając się opanować chaos tłukących się po głowie myśli i rozbolałych uczuć. Niełatwo będzie przekazać, jak się z nią w Jurocinie działo, wszystkiego nie sposób, trzeba tylko to, co ważne. Tak... tylko że właśnie o „ważnym” najtrudniej jest mówić. A może Ula i tak zrozumie?

Ula rzeczywiście zdawała się rozumieć. Słuchała poszarpanych zdań, nie spuszczać z Danki szeroko otwartych oczu, w skupieniu, czasem tylko przerywając relację pytaniem czy westchnieniem. Kiedy wstyd, skrępowanie czy nagły szloch dławili Dance gardło i plątały słowa, gładziła ją uspokajająco po rękę, mówiąc: „Nic, nic... nie śpiesz .się” albo: „Wiem, jak to jest”, i po chwili milczenia można było opowiadać dalej.

— Chłopcy wymyślili, że ja „zabłądziłam” — kończyła gorzkie sprawozdanie Danki. — Na nic to się nie zdało, od razu poznałam, że pani Pietrzykowa nie uwierzyła. Pan Pietrzyk to nie wiem, ale ona na pewno nie — i miała do mnie żal. Ja jej się wcale nie dziwię. Ja rozumiem.

— Tak... Było jej przykro.

Na jakiś czas zapadło milczenie, po czym Ula, odsunawszy się trochę, spytała nie swoim głosem:

— W tym sklepie... zobaczyłaś wtedy Zenka pierwszy raz? Pierwszy raz w życiu?

— Gdybym go znała, może nie przeraziłabym się tak okropnie! Najpierw się przeraziłam, a potem, kiedy nie chciał odejść, byłam wściekła. Dopiero później zrozumiałam.

— Co?

Danka zawahała się chwilę.

— No... że się wtedy zachował bardzo fajnie.

— Nie tylko wtedy, szukał cię przecież z chłopcami przez parę godzin.

— Zenek w ogóle jest fajny, prawda?

— Tak — rzekła Ula po dłuższej chwili? jakby ta odpowiedź wymagała namysłu. Danki. zdziwiła się, zaraz jednak zaprzętnęły ją własne kłopoty.

— Więc teraz sama widzisz... — podsumowała swoją spowiedź. — Sama widzisz, że już mnie do Jurocina nie zaproszą.

Nie było odpowiedzi na te słowa. Ula, objawszy rękoma kolana, zadumała się tak głęboko, że Dankę ogarnął niepokój.

— Myślisz pewnie, że ty nigdy nie postąpiłabyś tak, jak ja.

— Co? — ocknęła się Ula.

— Nie postąpiłabyś tak, jak ja, prawda?

— Ja jestem tchórzem.

— A gdybyś nie była tchórzem?

— Nie wiem... bywają czasem trudne sytuacje, jak choćby twoja... Ale na ogół...

— Na ogół?... Powiedz.

— Nie warto chyba robić czegoś, czego człowiek się wstydzi, jeśli się inni dowiedzą.

— Tak — bąknęła Danką. — Ja rozumiem... I teraz... Więc teraz... — plątała się, czując, że serce się w niej tłucze, a policzki zaczynają płonąć. — Nie wiem, jak teraz z nami będzie...

— Z nami?

„Czy mogę tu przychodzić?” Pytanie jest gotowe, jasne, ważne, ach, jak ważne ! I niemożliwe do wypowiedzenia.

— Nad czym się tak przed chwilą zamyśliłaś? — pyta Danką, by odwrócić uwagę Uli od siebie. — Nad czym?

— Myślałam o Olszynach.

— O Olszynach?

— Naprawdę nie lubisz wsi?

— Dlaczego pytasz? — serce Danki znowu daje o sobie znać. — Marian... Marian opowiadał, że macie tam wyspę. Na rzece.

— Tak. I tam jest ślicznie. Myślałam właśnie, że może w lecie... może udałoby się, żebyś tam przyjechała na wakacje?

— Nie wiem — odpowiada zdławionym szeptem Danką. Nagle znowu napływają do oczu łzy. — Nie! Nie!

To niemożliwe!

— Dlaczego?

— Przecież Marian nic nie wie, ma do mnie żal! Nie chcę go widzieć, nie mogę.

— A jeśli mu powiesz prawdę?

— On nie zna takiego życia, jak moje. Nie zrozumie.

— Zrozumie, zobaczysz. Marian jest mądry.

Niedługo potem stoją obie w przedpokoju. Danka włożyła płaszcz, poprawia palcami rozczochrane włosy i wciąga czapkę.

— Kiedy do mnie przyjdiesz? — pyta Ula.

— Mnie najłatwiej w sobotę.

— To przyjdź w sobotę.

— Bywaj.

— Bywaj.

Ula uśmiecha się, Danka spogląda na nią uważnie. Dopiero teraz, w ostatniej chwili, kiedy się już pożegnały, zdaje sobie sprawę z czegoś, co ją nurtowało prawie cały czas i czego nie umiała sobie uświadomić.

— Jesteś smutna. Dlaczego?

— Smutna?... Zdaje ci się.

— Nie. Masz zmartwienie?

— Każdy ma jakieś — Ula uśmiecha się znowu, jakby chciała dać do zrozumienia, że nie ma się czym przejmować.

— Nie powiesz mi?

— Nie myśl o tym. Nie warto.

— Będę myślała.

— Dlaczego?

— Chcę, żebyś była szczęśliwa — mówi prędko Danka i zaraz, zawstydzony się swego wyznania, dodaje z energią: — Lecę już. Serwus!

PODAJ DALEJ

Niedługo po wyjściu Danki Ula rozłożyła na stole zeszyty i podręczniki, ale że myśli jej krążyły w rejonach bardzo odległych od matematyki i wypracowania z polskiego, zajęła się czymś zupełnie innym: napisała do Mariana. List był krótki, zawierał parę najważniejszych wiadomości o Dance: widziały się dwa razy, za pierwszym razem Danką rzeczywiście była trochę „dzika”, dzisiaj jednak („przyszła nie umówiona, z własnej chęci”) poszło o wiele lepiej, oglądały fotografie z Olszyn i rozmawiały o Jurocinie... (tu Ula po chwili zastanowienia dopisała: „którym Danką jest zachwycona”) w przyszłą sobotę Danką ma przyjść znowu.

Pozdrowienia, podpis i Ula wsuwa arkusik do koperty. Jeszcze adres i gotowe, Marian będzie chyba zadowolony.

A Zenek?... Choć chętnie by się o tym zapomniało, wiadomo jednak, że jego także — i może o wiele bardziej niż Mariana! — interesuje nawiązanie jej kontaktów z Danką. Ula z powrotem wydostaje arkusik z koperty, gotowa dodać: „Zawiadam o tym wszystkim Zenka, jak będziesz do niego pisał”.

Nie. List do Mariana pójdzie, jak jest, ona sama do Zenka napisze. Zrobi to, bo powinna to zrobić. W ciągu ostatnich miesięcy ani razu nie przyszło jej na myśl, by się do niego odezwać, milczał — więc i ona milczała także. Teraz jednak ma dla niego wiadomość dość szczególną, która go na pewno obejdzie, bo dotyczy Danki, a za pośrednictwem Mariana tej wiadomości przekazać nie można.

*Kochany Zenku... Początek normalny, wszyscy tak piszą, a że w niej przy tych słowach mocniej zabiło serce, o tym nikt się przecież nie dowie. Dalszy ciąg prawie jak w liście do Mariana, nie sprawia więc żadnego kłopotu, dopiero sformułowanie ostatnich zdań wymaga namysłu. Najlepiej krótko i zwięźle: *Danka opowiedziała mi, jak zobaczyła ją w Samie, a potem w domu Mariana, o próbie ucieczki i jak ją odnaleźliście na dworcu. Uważa, że zachowałeś się bardzo fajnie (ja uważam tak samo). Oczywiście, nie powiem o tym wszystkim nikomu, ale dobrze, że mi się zwierzyła, lepiej ją teraz rozumiem i może będę mogła trochę pomóc, tak jak chciałeś. Jak zakończyć?**

Ach, najzwyczajniej, ten list niczym nie powinien się odróżniać od innych. *Pozdrawiam Cię serdecznie. Ula.* To wszystko.

* * *

W dziesięć dni później, wracając ze szkoły, zauważyła, że za przejrzystą kratką zawieszoną na parterze skrzynki pocztowej coś bieleje. Nie miała kluczyka przy sobie, po wejściu do mieszkania zajęła się domowymi drobiazgami, obieraniem kartofli, sprzątaniami i oglądaniem telewizji, i dopiero po godzinie przypomniało jej się, że w skrzynce coś jest.

Zeszła na dół, bez zainteresowania sięgnęła po listy, za białą kopertą kryły się jeszcze dwie niebieskie, zawiadomienia o zebraniach lub coś w tym rodzaju. Wracała z wolna, odczytując adresy nie bez trudu, zapadał już wczesny zimowy zmierzch i na schodach było ciemnawo.

Biała koperta: do ciotki Ewy z Radomia. Niebieska koperta: do ciotki Wandy ze Związku Bibliotekarzy. Druga niebieska... Ula zatrzymała się na chwilę, a potem, schowawszy rękę z listami do kieszeni, jakby się złękła, że ktoś może jej wyrwać, pędem pobiegła do mieszkania.

Tutaj z wolna ochłonęła. Trzymała w ręku list, myśląc rozsądnie, że nie ma co się cieszyć, jeśli Zenek napisał, to przecież tylko dlatego, że chodzi o Dankę. Przez chwilę zapragnęła nawet wykazać samej sobie, że panuje całkowicie nad nikomu niepotrzebnymi uczuciami — i otworzyć kopertę dopiero za jakiś czas. dajmy na to, za godzinę. Ale czy warto tak? Nie warto! Lepiej przeczytać od razu i dać temu wszystkiemu spokój.

Kochana Ulo! — pisał Zenek. Tym razem banalny zwrot, za którym „wiele może się kryć”, nie zrobił na Uli wrażenia, nie zatrzymał jej uwagi, ani na chwilę. Nie pisałem dawno, bo nie umiem pisać do Ciebie tak, jak bym chciał. A ostatnio złożyło się bardzo głupio, bo po drodze do Jurocina mieliśmy się na jeden dzień zatrzymać w Warszawie, więc byłem pewny, że się z Tobą zobaczę i wszystko Ci powiem. Dopiero w ostatniej chwili okazało się, że to się nie da zrobić, była awaria i wujek mógł wyjechać dopiero na same święta.

Cieszę się, że Danką była u Ciebie, wiedziałem, że jak Ciebie zobaczy, to jej to jakoś pomoże. A w Jurocinie jak jej szukaliśmy, myślałem sobie, że gdyby nie Ty, to nie wiem, czy chciałoby mi się tak za kimś ganiać. Pamiętam wyspę i że spotkałem tam takich chłopaków i Pestkę, a Ciebie przede wszystkim. I zawsze tak o Tobie myślę, jak wtedy. W czasie wakacji bardzo chciałbym pojechać do Olszyn, choć na krótko. Czy tam będziesz? Pozdrawiam Cię. Zenek.

* * *

Koło dziesiątej wieczorem w zamku wejściowych drzwi zachrobetał klucz i Ula pobiegła do przedpokoju. Ciotka Ewa weszła, odsapnęła po swoim i rzuciwszy okiem w głąb mieszkania spytała, bardzo zdziwiona:

— Co to, nie skończyłaś jeszcze odrabiania lekcji?

— A nie! — słówko zabrzmiało tak lekkomyślnie, że ciotka spytała podejrzliwie:
— Co robiłaś po południu?
— Nic takiego!
— Byłaś w domu?
— Tak.
— Słuchaj no. Czy ty przypadkiem nie masz gorączki?
— Nie. Na pewno nie.
— Jesteś jakaś dziwna.
„Dziwna? — zastanawiała się Ula. — Ach, nie! Jestem szczęśliwa”.

Koniec